

Czesław M. Szczepaniak

Trzeci alfabet

wspomnienia z okolic *Kwitnącej Jabłoni*

W spisie treści książki znalazły się narracje liryczne o krajanach z okolic *Kwitnącej Jabłoni* oraz gmin sąsiednich. Zebrałem teksty publikowane na łamach prasy, oraz te, które nie obliżało światło druku. Zamiast liczyć na to, że ktoś zajrzy do pożółkłych zszywek gazet, przepisałem, bo bezpieczniej jest, gdy znajdą się w książce (druk zwarty).

Publikuję w porządku alfabetycznym, żeby łatwiej było odszukać tych, co byli i odeszli.

Innymi słowy, gdzieś się zapodziali, więc przedłużają się ich powroty.

Czesław M. S.



Trzeci alfabet

Czesław Mirosław
Szczepaniak

Trzeci alfabet

wspomnienia
z okolic

Kwitnącej Jabłoni

Tarczyn 2020

Projekt okładki:

Paweł Piotr Szczepaniak

Opracowanie typograficzne:

Andrzej Tomaszewski

Redakcja, korekta:

Alfred Kohn

© Copyright by Czesław Mirosław Szczepaniak
i Grażyna Szczepaniak, 2020

ISBN 978-83-945398-7-0

Wydawca:

Gminny Ośrodek Kultury w Tarczynie,

ul. J. Stępkowskiego 17, 05-555 Tarczyn,

www.gok-tarczyn.pl, e-mail: gok@tarczyn.pl

Druk i oprawa:

Drukarnia J. J. Maciejewscy,

06-300 Przasnysz, ul. Gdańska 1

Na stronie tytułowej zamieszczono fotografię Apolonii Siejka (trzyma lejce) ze (Starej) Kopanej z siostrą Anną Mulewicz, Rynek w Tarczynie, lato 1957 roku. Niewiasty peregrynują fikuśną *bitką*, co jak łupina orzecha włoskiego, przez okolicę *Kwitnącej Jabłoni*; szerszy ślad o tym odjeździe bez bata można znaleźć w książce.

Wydanie I

Spis treści

- 11* Uwagi wstępne
- 18* Krystyna Antosiewicz
- 19* Jan Ardatiew (19 VII 1897–1972)
- 22* Urszula Baranowska (1949–2016)
- 23* Czesław Baranowski (1939–2016)
- 25* Roman Białkowski
- 26* Tadeusz Błaźniak [1]
- 28* Tadeusz Błaźniak [2]
- 30* Tadeusz Błaźniak [3]
- 31* Janusz Brzeziński
- 33* Feliksa Chodecka (z domu Jarzyna) (1894–4 IV 1978)
- 33* Józef Chodecki (17 VII 1903–12 VIII 1969)
- 36* Józef Chodecki [2]
- 38* Józef Chodecki [3]
- 39* Józef Chodecki [4]
- 40* Józef Chodecki [5]
- 43* Józef Chodecki [6] i Feliksa Chodecka [2]
- 46* Józef Chodecki [7]
- 47* Mirosława (1916–1996) i Hubert (1915–2007) Czacharowscy
- 48* Stanisław Czekanowski (17 IX 1868–10 II 1963)
- 55* Andrzej Dąbrowski
- 56* Pan Defrys
- 58* Państwo Defrysowie
- 61* Apolonia Dorocińska (28 IX 1924–30 VII 1985)
- 63* Stanisław Fijałkowski (1 I 1945–29 VIII 1996)
- 64* Mieczysław Fogg (właśc. Mieczysław Fogiel,
30 V 1901–3 IX 1990)

6 Spis treści

- 65 Józef Gaczkowski
- 66 Jacek Galicz (1955–2006)
- 67 Inż. Adam Gertsmann
- 66 Aniela Górską (1858–1918)
- 70 Wojciech Górski (23 IV 1849–11 II 1935)
- 73 Wojciech Górski [2]
- 74 Wojciech Górski [3]
- 76 Wojciech Górski [4]
- 79 Wojciech Górski [5]
- 82 Wojciech Górski [6]
- 84 Wojciech Górski [7]
- 86 Aleksander Grabowski
- 87 Bolesław i Lucyna Grządkowscy
- 90 Stanisław Grzesiuk (6 V 1918–21 I 1963)
- 91 Zofia i Szczepan Grzondkowscy
- 92 Zygmunt Grzondkowski (1934–22 VIII 1991)
- 94 Henryka i Henryk Horstowie
- 96 Władysław Izak
- 97 Walter Edward Jagiełło (1 VIII 1930 w Chicago –
17 VIII 2006 w Miami na Florydzie)
- 98 Andrzej Jakubowski
- 99 Marianna Jakubowska (8 IX 1932–10 XII 2019)
- 102 Witek Kacprzak (1951–23 XI 1967)
- 104 Władysław Feliks Kamiński (1844–1935)
- 105 Marian Kamizela
- 107 Józef Kania
- 108 dr Izydor Karwot
- 109 Izydor Karwot [2]

- 110* Franciszka Korzeniewska
112 Jan Korzeniewski
114 Marcysia Krajewska
116 Halina i Edward Kruszewscy
118 Jacek Lech (15 IV 1947–25 III 2005)
118 Władysław Leszczyński (1873–1963)
121 Tadeusz Leszczyński
122 Stefania i Antoni Łukasiak
123 Henryk Magiera
126 Jan Majdecki (1919–2015)
127 Józef Małecki
128 Michał Małecki
128 Józef Krzysztof Matulka
132 Jadwiga Mielec [1]
133 Jadwiga Mielec [2]
134 Ludwika Neufeld [1]
135 Ludwika Neufeld [2]
136 Ludwika Neufeld [3]
138 Janina Niedolisteck
139 Władysław Niedolisteck
141 Irena Teresa Nizińska
142 Stefan Niżyński
144 Jerzy Ofierski (11 I 1926–24 XI 2007)
145 Daniel Ogrodny
147 Jan Ogrodny (1902–17 IV 1980)
150 Józef Olszewski i Szczepan Grzondkowski
151 Wanda i Zygmunt Ostrowscy
153 Wacław Pawlak (1909–7 IX 1989)

8 Spis treści

- 155 Waław Pawlak
- 156 Prof. dr Szczepan Aleksander Pieniążek
(27 XII 1913–1 VII 2008)
- 158 Bogdan Przyborowski
- 160 Apolonia i Lucjan Rajewscy
- 163 Edward Rek (1915–1979)
- 165 Marta i Franciszek Rylscy
- 167 Waław Sankowski
- 169 Apolonia i Władysław Siejkowie
- 172 Franciszek Skibiński
- 175 Jan Stach (1918–2011)
- 176 Augustyn Studniarek
- 179 Józef Studniarek
- 180 Prababcia Studniarkowa
- 181 Czesław Szczepaniak (9 II 1930–18 X 1986)
- 184 Czesław Szczepaniak [2]
- 186 Włodzimierz Szczepaniak (13 IX 1950–21 I 1951)
- 187 Włodzimierz Szczepaniak [2]
- 187 Prof. Zdzisław Szelaę (4 XI 1932, Ochmanów k. Wieliczki–
24 X 2011, Grójec)
- 190 Prof. Zdzisław Szelaę [2]
- 191 Zbigniew Szymańczak
- 192 Stefan Śledź
- 194 Tola
- 195 Tadeusz Tomecki (10 V 1924–19 V 2016)
- 197 Celina Tomecka (16 III 1924–16 V 2019)
- 198 Tadeusz Urbanek
- 199 Jan Wasilewski (25 V 1949–26 VII 1995)

- 200 Jan Wasilewski [2]
201 Jan Feliks Wasilewski [3]
202 Jan Wilk
204 Bronisława i Jan Wrotek
205 Genowefa Wróblowa
206 Genowefa i Stanisław Wróblowie
208 Zygmunt Wysocki (1911–1993)
211 Aleksandra Zarzycka (1909–5 I 1987) i Andrzej Zarzycki
(1906–1990)
215 Aleksandra Zarzycka
217 Edward Zarzycki
219 Krystyna Zarzycka
221 Stanisław Zasada
224 Zbrukowie
224 Aleksandra Zrobek (2 V 1901–11 IV 1968, z domu Nojbrandt)
226 Aleksandra Zrobek [2]
228 Aleksandra Zrobkova [3]
229 Ryszard Zrobek (3 IV 1901–1944)
239 Władysława i Stanisław Zykubkowie

235 Posłowie

239 Bibliografia alfabetów, jakie wydałem
własnym sumptem

Uwagi wstępne

Pierwszy alfabet poznałem w szkole podstawowej, kiedy uczyłem się z *Elementarza* Mariana Falskiego. W spisie treści było 12 wierszy takich poetów jak Aleksander Fredro, Maria Konopnicka, Antoni Słonimski, Julian Tuwim. Kolorowe ilustracje do szkolnej prozy, krótkiej i zwięzłej. Wyrazy starannie napisane.

Wnikałem w literki od *a* do *z* – i łączyłem je w słowa, a potem w zdania, tj. przelewałem atrament na papier i chuchałem, oraz dosuszałem bibułą. (Nieraz wpadałem w rozpacz, gdy zrobiłem kleksa).

Z czasem dowiedziałem się, że jest porządek alfabetyczny, jak na liście uczniów w szkolnym dzienniku. Że każdy z nas jest przypisany do literki. Że ma swoją kartotekę. (Kiedyś były zabawy literkowe pn. *Złote obiecadło*, czyli abecadła, w którym każda zwrotka miała przypisaną literę alfabetu. Stąd zapewne wzięło się przysłowie, że mowa bywa srebrem, zaś milczenie jest bezcenne).

Nauka czytania rozpoczynała się od poznania wszystkich liter alfabetu. Małych i dużych. Była synteza. Na analizę musieliśmy poczekać, żeby nam wytłumaczono w starszych klasach, gdzie już nie gubiliśmy mlecznych zębów.

Alfabet z I klasy szkoły podstawowej przerabiałem w domu w Kopanie, bo nie poszedłem – jak moi zdrowi rówieśnicy – do szkoły w Pamiętce. Tak zdecydowali rodzice. I nikt się za mną nie upomniał, więc w roku szkolnym 1962/63 uczęszczałem do Szkoły Podstawowej przy Zakładzie Leczniczo Wychowawczym w Zagórzku koło Warszawy powiat, otwocki. Oto dane z cenzury: *Uchwałą Rady Pedagogicznej ucz. Mirosław Szczepaniak otrzymał promocję do klasy drugiej. Ocena ze sprawowania: bardzo dobry, ogólna ocena z przedmiotów nauczania dostateczny.* (W roku szkolnym opuściłem 22 dni. Świadectwo wypisano dnia 29 czerwca 1963 roku. Wychowawca klasy: Jurga).

Potem poznałem inne alfabety: niewidomych (Brajla), głuchoniemych (migowy), muzyczny, filmowy... Z czasem wyodrębniono

z niego nawet dział stylu pisania literacko-dziennikarskiego (taki *kogel-mogel*, z felietonu i eseju). W wielkim uproszczeniu – powieść w odcinkach.

Drugi alfabet – napisałem w ramach pracy domowej. Wydałem go nakładem własnym w 1997 roku. Liczył 300 stron. Potem skrobnałem jeszcze kilka alfabetów, żeby udoskonalić lekką formę.

Trzeci alfabet w całości dotyczy krajanów z okolic *Kwitnącej Jabłoni*, oraz tych, którzy się otarli o strony między Tarczynem a Grójcem. Większość tekstów była publikowana na łamach gazet, więc się już uleżała i można ją przebrać do książki.

Pierwotnie tytuł roboczy brzmiał: *Trzeci alfabet, czyli wspomnienia/pożegnania o tych, co byli i odeszli z okolic Kwitnącej Jabłoni*.

Alfabet – wziął swój początek od dwóch pierwszych liter alfabetu greckiego *álpha* i *béta*. Rzymianie przyjmując alfabet grecki zmienili go nieco i przekazali światu.

Stąd się pewnie bierze powiedzenie, że jeżeli powiedziałeś *a*, powiedz *b* i resztę alfabetu.

W pisaniu jest to szerzej, bo *od A do Z*, czyli od początku do końca, w porządku alfabetycznym.

W trakcie pracy nad zbiorem wypadła z biblioteki *Księga piasku* Jorge Luisa Borgesa (1899–1986), wyd. polskie 1980, z której odnotuję trzy cytaty.

Pierwszy: *Śmierć (lub aluzja do niej) czyni ludzi cennymi i patetycznymi. Są oni wzruszający, gdyż są widmami; każdy czyn, jakiego dokonują, może być ostatnim; nie ma twarzy, która nie miałaby się zatrzeć, jak twarz z jakiegoś snu. Wszystko wśród śmiertelnych posiada wartość jako bezpowrotne i zależne od przypadku (Nieśmiertelni)*.

Drugi zawiera pytanie, w którym jest tyle życia: [Sir Alfred] *Tennyson* [1809–1892] *powiedział, że gdyby udało się nam zrozumieć choćby jeden kwiat, dowiedzielibyśmy się, kim jesteśmy i co to jest świat. Może chciał przez to wyrazić, że nie ma rzeczy, najskromniejszej nawet, która*

by nie zawierała w sobie historii wszechświata wraz z jej nie kończącym się łańcuchem przyczyn i skutków. Może chciał powiedzieć, że widzialny świat jest całością w każdym swym przejawie, (...) (Zahir).

Trzeci: (...) Człowiek zapomina, że sam jest umarłym, który rozmawia ze zmarłymi. Odczułem to, co zazwyczaj odczuwamy, gdy ktoś umiera; rozpacz jest zbędną, gdyż nic nas nie kosztowało być lepszymi, niż jesteśmy. (...) (Jorge Luis Borges, *There Are More Things w: Księga piasku*, Przełożyła Zofia Chądzyńska, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1980).

Wracajmy do katalogu z fiskkami, na których zapisano imię i nazwisko albo pseudonim.

Henry David Thoreau (1817–1862), poeta i eseista amerykański, w szkicu pt. *Poletko fasoli* skreślił szczytne zasady, które sprawdzają się w pisaniu, więc zacytuję, bo brzmią jak miara: *Nigdy nie należy robić ceremonii ze szczerością. Jeśli istnieje w nas jądro wartości i przyjaźni, nigdy nie powinniśmy oszukiwać się, obrażać i odpędzać nawzajem swoją nikczemnością. Przeto nie należy odbywać pośpiesznych spotkań. Z większością ludzi w ogóle się nie spotykam albowiem nie mają chyba na to czasu, zajęci swoją fasolą. Nie powinniśmy zatem obcować z człowiekiem wciąż zaharowanym, wspierającym się na motyce czy łopacie jako ten kotek pośród własnej pracy, atoli z takim, co podnosi się nad ziemią wyżej aniżeli grzyb, jedynie częściowo nad nią wyniesiony, z kimś podobnym do jaskółek, które właśnie sfrunęły z wyżyn i stąpają po ziemi.*

Nie opowiadam faktów; to jest narracja do tego, co widziałem albo usłyszałem.

Starałem się, żeby to się dało czytać od deski do deski, więc unikałem, jak tylko mogłem, drewnianego języka, choć to było trudne, bo rzecz dotyczy tego, jak drzewiej bywało w okolicach *Kwitnącej Jabłoni*. Tam, gdzie był mój sad dzieciństwa i młodości. Stamtąd wyszedłem w świat. Za widnokres, zabierając ze sobą wspomnienia/pożegnania i milczenie, oraz poczucie humoru, które jak sito, co precedza grozę.

Jestem wyrwany z wioszczki Kopana, co leży między Tarczynem a Grójcem – na stałe zameldowany na Ursynowie, gdzie moja żona *Graszka* stworzyła mi takie warunki do życia i pracy, że mogę rozmyślać oraz peregrynować w czasie przeszłym. Nie wychodzę z domu na dwór, więc żyję trochę inaczej.

Uprawiam literaturę sylwiczną (*silva rerum* – las rzeczy), z lekkim przegięciem w stronę eseju, który jest gatunkiem otwartym. Nie sadzę się ani nie przesadzam jak ogrodnik; raczej (w)szczepiam.

Przeżyłem czasów wiele – w dzieciństwie, *co ludzie powiedzą*, zaś w młodości, co napiszą. Powolutku zbliżam się do tego, co przemilczą. (Siej ciszę, a zbierzesz owoce spokoju).

Skoro *jutro* niepewne, żyj *wczoraj*, staraj się wspomnień nie zaniedbywać.

W rzemiośle życia najtrudniejszą ze sztuk jest pamięć, choć to takie krótkie słowo, więc trzeba ją ćwiczyć, aby nie wpadła w zapomnienie.

Póki w dłoniach mogę utrzymać garstkę ciepła – będę słowa rozchmurzał i zdania wypiekał na słończku, a przy księżycu ostudzał.

Oczywiście, że w tego typu formie literacko-dziennikarskiej trzeba uważać, aby nie obrazić. Żeby nie robić pralni z magłem. Nie chłostać nagrobków. Zebrać to, co ustało i nasączyć liryzmem – w ryzach myśli, w szacie poetyckiej. Być po trochu jak z wiersza Leopolda Staffa (1878–1957 *Wędrówka wesołego pielgrzyma: Że mi na oczach sen mój złoty śni, / Przeto pieśń moja nie jęczy w żałobie... / Każdy sam siebie ciągle jeno śni, / Przeżywa swoją własną baśń o sobie...* Cytuję Autora *Wikliny* nie przez przypadek.*

Innymi słowy, wspomnienia/pożegnania są objęte otwartymi nawiasami, co jak para łuków lub klamer – bez granic. Oczywiście że z czasem się zamykają, jak brama i furtka, i zarastają w pamięci.

Powiedzieć, że łąza się w oku kręci, to trochę za mało, więc się rozpisalem, bo nie miałem innego wyboru.

* W Archiwum Akt Nowych w Warszawie znajduje się *Archiwum Haliny Martin*, sygn. 6. W papierach ocalało wspomnienie prof. dr hab. Anny Sławińskiej-Grabowskiej *Nasze okupacyjne wakacje*, w którym jest wzmianka: (...) *Spotkanie, które pozostawiło w mojej pamięci żywy ślad, to wieczór autorski Leopolda Staffa, który sam recytował swoje wiersze, (...)*.

Sygnaturą 124 opatrzone zapiski Jana Krzysztofa Libina, rocznik 1933, pochodzącego z rodziny polsko-żydowskiej, który często przebywał w majątku Pawłowice w latach 1939–1940, a wśród nich taki oto passus: *Gdy spadł pierwszy śnieg, do majątku przyjechał Leopold Staff. W skupieniu słuchaliśmy jego wierszy.*

Poza tym w archiwalnej teczce znajduje się wspomnienie M[ieczysława]. Lurczyńskiego pod wersalikiem *WIECZORYNKI PAWŁOWICKIE, CZYLI ATENY POD WARSZAWĄ*.

Malarz, pisarz i poeta wspomina lata z początku 2. wojny światowej w dworze Pawłowice koło Tarczyna, którego odwiedzali nietypowi goście, co przyjeżdżali koleją wąskotorową, która ich zabierała ze stacji Warszawa Szopy (późniejsza Warszawa Południowa). *Expressis verbis: Gdy uspaniały Leopold Staff ustalił się w Pawłowicach (pamiętam podróż z nim tak zwaną kolejką grójecką i bliski poety, olśniewającego bogactwem metafor na temat tak prosty jak zachód słońca, widoczny za oknem wagonu), wspominam jeden z wieczorów, na którym był i [Karol Wiktor] Zawodziński. (...)*

Halina Martin, z d. Duma de Vajda Hunyadi, pseudonim «Dorota», «Maja», «Zakos», 1911–2007, ówczesna właścicielka *Majątku Pawłowice* wraz z gruntami zwanymi *Janówek*, w sumie 200 hektarów ziemi, organizowała wieczory autorskie, na których byli tacy literaci i krytycy jak Leopold Staff (1878–1957), Jerzy Andrzejewski (1909–1983), Czesław Miłosz (1911–2004), Stanisław Ryszard Dobrowolski (1907–1985), Tadeusz Hollender (1910–1943), Karol Wiktor Zawodziński (1890–1949) i inni.

Dzięki takim wizytom nobilitowane są wioski, jak Pawłowice i Kopana, i nie tylko.

Oto fragment z maszynopisu Mieczysława Lurczyńskiego, który brzmi jak nota: *Jak wszystkie rzeczy uspaniałe, powstały owe wieczory z przypadku.*

To Halina Martin, troszcząc się o dostarczenie solidnej strawy dla wszystkich półukrytych i całkiem ukrywanych, a pracujących we dworze w Pawłowicach (z wyjątkiem mnie, nigdy nie potrafiącego sięgnąć po laur użytecznej pracy), skorzystała z okazji odczytywania przeze mnie wierszy zebranych, mówiąc: – «A może byśmy tego rodzaju wieczorynki urządzali częściej i na szerszą skalę?»

Postanowiono, że ja miałem sprowadzać prelegentów, wszyscy zebrani zaś zobowiązali się dostarczyć godnych zaufania słuchaczy. Prelegenci mieli być płatni. I znając Halinę, wiedziałem, że to część zadania, całkowicie spadająca na nią, zostanie spełniona po królewsku. Rzeczywiście, jednorazowy przyjazd poety, pisarza, krytyka czy satyryka do dworu w Pawłowicach, dwugodzinna jego rozrywka odczytywania prac, zaopatrzyła prelegenta w zasoby zdolne utrzymać go przez miesiąc albo i dwa. Wielu zresztą prelegentów pozostawało dłużej w Pawłowicach lub też staowało się stałymi klientami dworu, wracającymi do niego periodycznie. Dla niektórych Pawłowice odmieniały się w Mekkę.

*I pomyśleć, że w pewien zimowy dzień wysiada z wagonu pociągu wąskotorowego na stacji Pawłowice–Kopana Leopold Staff, poeta-miara, *Czciciel gwiazd i mądrości, Wyznawca snów i piękna i uczestnik godów, (...) Pogodny mądrym smutkiem i wprawny w cierpieniu*. I czyni zaszczyt, że u nas ożywił *jaskółki, co zmarzły w chmurze (Zima)*. Zapewne saniami zabrali go do dworu, żeby mógł przejechać przez Biel zacisza, jak z wiersza: *Na niebie mróz siarczasty gwiezdne iskry krzesze, / Śnieg skrzypi pod nogami, jak jedwab surowy, / Ogień strzela w kominie, a wiązania w strzesze, / Którą tuli puszysta pierzyna ponowy (Zacisze)*.*

*W niegdyśniejszym śniegu dopełnia się to, co opisał Autor *Gałęzi kwitnącej* w liryku *Wspomnienie*: *Było mi dobrze niegdyś w słodkiej wsi dalekiej... / Jakże niedawne czasy – a zda się, że wieki, / Sadyba wiejska czarem starości owiana / Jak książka przez nikogo od lat nie czytana. (...) / Za dworem chłopskie chaty budowane krzywo, / Spracowane jak ręce i marzące żniwo / A na strzesze pan bocian, co pierś dumnie oduł, / Postrach grających bagien i opiekun stodół. / Dwór jak święto – w pogodę, przytulny w dni słotne...**

Uwaga edytorska

W tekstach znajdują się powtórzenia (nazwa szkoły albo okolic), nie czyściłem tego, ponieważ chciałem to zachować, jak wizytówkę. Skorzystałem z tego, że powtórki utrwalają pamięć, z którą jest różnie, więc nie ma co oszczędzać i skreślać. Nie na darmo mawia się, że dziennikarstwo to cmentarzysko talentów. Jorge Luis Borges w *Księdze piasku* przesypał taką oto garść słów: *Dziennikarz pisze dla zapomnienia, podczas gdy chciałby pisać dla pamięci i czasu.* Ponieważ gazety traktuję jak brudnopis, więc zawsze mam na uwadze, żeby to, co skrobię, dało się zamknąć w druku zwartym.

A Krystyna Antosiewicz

Mieszkała w budynku stacji kolei wąskotorowej Pawłowice–Kopana. Na dole była kasa, a po drugiej stronie ściany mieszkania. Na parterze zakwaterowano państwo Zbruków, a po nich kobietę ze starszym panem. Mieli syna. Poddasze (mansardę) zagospodarowali Krystyna i Ryszard Antosiewiczowie z Januszkiem. Jej mążzonek był pracownikiem fizycznym w brygadzie, co pracowała na torach o prześwicie 1000 mm. Po wsi mówili, że ich drugi chłopczyk zmarł. Oboje byli niewysocy. Pamiętam, jak zimą mnie matka zabrała do nich saneczkami. Weszliśmy po drewnianych schodach na górę. I poczułem strumień ciepła z kuchni węglowej. Buchnął tak, że aż mi się kule ugięły. Zobaczyłem za szybkami perony i dym z ciuchci. Był taki nastrój jak w baśni.

Obok stacji była studnia na pompę, komórki i drewniana wygodka (WC).

Antosiewiczowie hodowali króliki, owce i kury. Pani Krystyna nosiła sweterki przez siebie wydziergane. Na głowie miała chustkę w kwiaty. Mrużyła oczy, bo światło raziło jej źrenice. Dbała o dom i o czystość budynku, pokrytego cynobrową dachówką.

I tyle zapamiętałem. Maluczko.

Pamiętam 1 listopada 1986 roku. Stoję przy grobie ojca na cmentarzu w Rembertowie koło Tarczyna. Nieopodal zobaczyłem świeżą mogiłę. Nad nią pochylał się pan Rysio. Matka powiedziała do mnie szeptem, że pani *Rysiowa z Góry* poszła do Lasu Lesznowskiego zrobić sobie trwałą, żeby *ładnie wyglądać na Święto Zmarłych*. Po wizycie u fryzjerki, wracając do domu, poczuła się źle, upadła. Lekarz z pogotowia stwierdził zgon.

W 2014 roku budynek stacyjny ktoś podpalił. Zostały zgliszcza i cegła, na której można wyczytać wersalik *PAWŁOWICE*. Wszystko zarosło. Trawa i krzaczory. Obiekt stacyjny popadł w ruinę. Dawną światłość pokryła coraz większa ciemność. Krótka jest pamięć w Polsce. O ludziach po ich śmierci szybko się zapomina. Zamazują się ślady zostawione przez mieszkańców z okolic *Kwitnącej Jabłoni*. Sta-

ram się, jak mogę, ich przypominać, jakich ich zapamiętałem w dzieciństwie i młodości. Dlaczego to czynię? Nie potrafię na to odpowiedzieć własnymi słowami, więc posłużę się strofami Stanisława Wyspiańskiego: *I ciągle widzę ich twarze, / ustawnie w oczy ich patrzę – / ich nie ma – myślę i marzę, / widzę ich w duszy teatrze.*

Krystyna Antosiewicz. Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 4 sierpnia 2016 roku.

Jan Ardatiew (19 VII 1897–1972)

Urodził się w Laszkowicach, powiat Kamieniec Podolski (dziś Ukraina), nad Smotryczem (lewy dopływ Dniestru). W 1916 roku zdał maturę w Gimnazjum w Podolskim i podjął studia z zakresu matematyki na Uniwersytecie Warszawskim, które ukończył w 1927 roku.

1 września 1927 roku rozpoczął pracę w warszawskim Gimnazjum Żeńskim Świerczewskiej. A następnie pracował w Gimnazjum Sejmikowym w Sochaczewie (1928/29–1930/31), Gimnazjum Miejskim w Płońsku (1931/32), Sejmikowym Gimnazjum Koedukacyjnym w Grójcu (1932/33–1938/39; pracę nauczycielską łączył z funkcją zastępcy dyrektora.

11 czerwca 1931 r. otrzymał tytuł nauczyciela szkół średnich do nauczania matematyki.

W 1935 r. odebrał kolejny dyplom, tym razem z Wydziału Elektrycznego Politechniki Warszawskiej. W czasie 2. wojny światowej, od października 1940 roku do 15 stycznia 1945 roku, brał udział w tajnym nauczaniu w zakresie szkoły średniej. Uczył fizyki i chemii w legalnie działających Koedukacyjnych Kursach Przygotowawczych do Szkół Zawodowych II stopnia Józefa Świątkowskiego (20 października 1940–31 stycznia 1942). Poza tym w Prywatnej Szkole Handlowej uczył arytmetyki handlowej, towaroznawstwa i fizyki (1940–sierpień 1944). W roku szkolnym 1946/1947 został oddelegowany do Gimnazjum Samopomocy Chłopskiej w Wilkowie, które było filią grójeckiego Liceum Ogólnokształcącego.

W Grójcu pracował 44 lata (34 lata, na pełnym etacie, do 1966 roku, 5 lat na kontrakcie, w niepełnym wymiarze godzin – do 1971 roku). Przez 5 lat był dyrektorem Technikum Ekonomicznego w Grójcu (1 wrzesień 1956– 31 marzec 1961). Aktywnie działał w Towarzystwie Szkół Świeckich. Dzięki jego staraniom Technikum Ekonomiczne pozyskało dworek w Kobylinie, który zaadaptowano dla potrzeb internatu dla młodzieży oraz na mieszkania dla nauczycieli.

Zmarł w 1972 roku. Spoczywa na cmentarzu w Grójcu, ul. Mszczonowska.

W monografii *W przeddzień 100-lecia Liceum Ogólnokształcącego imienia Piotra Skargi w Grójcu 1912–2009*, tom 2. *Z tradycją w XXI wiek*, Opracowanie pod redakcją Zdzisława Szeląga, Towarzystwo Literackie im. Adama Mickiewicza. Oddział w Grójcu, Grójec 2011, s. 312 jest spora garść słów o profesorze fizyki, chemii, matematyki i astronomii.

Pan dr n. med. Jerzy Golański, maturzysta z 1959 roku grójeckiego LO, powiedział, że go pamięta, bo *zaciągał*, jak ktoś ze wschodu, tj. z Kresów. I stąd być może brało się to, że do uczniów zwracał się *obywatelowi*. Oczywiście, że licealiści poza jego plecami obśmiewali takie rusycyzmy. Mój krajan z Tarczyna mówił, że to był nauczyciel, który potrafił nauczyć przedmiotu, nie opierając się o podręcznik. Pan mgr inż. Michał Golański, brat pana doktora, dodał – *to właśnie Jego wspominam jako wspaniałego nauczyciela, po prostu duża klasa. Jego lekcje były bardzo barwne, nie były sztamkowe, tematy okraszone anegdotami tworzonymi ad hoc. Do dzisiejszego dnia pamiętam niektóre z tych historyjek i jego sposób mówienia – uśmiecham się – duża inteligencja.*

Oto garść uczniowskich wspomnień, jakie można znaleźć w monografii prof. Zdzisława Szeląga, polonisty i erudyty z Grójca.

Krzysztof Jasiorowski, matura 1960, we wspomnieniu *Kilka mgnień z życia w grójeckim „ogólniaku”* m.in. skreślił: (...) *Nieoceny i niezapomniane w moich wspomnieniach pozostał prof. Jan Ardatiew. Jego niektórych zadań z fizyki, np. z ruchu jednostajnie przy-*

spieszonego, nie da się zapomnieć. Jedno z nich brzmiało: «Facet zjeżdżał rowerem z głuchowskiej góry, jego prędkość początkowa wynosiła... km/godz., (inne niezbędne parametry)..., jaka była jego prędkość końcowa po przejechaniu 1 km?» (...).

Maciej Kolwasa, maturzysta 1967 roku, w tekście *Jak zostałem fizykiem?* przywołał z pamięci takie oto wydarzenia: (...) *Lekcje fizyki były nieustannym występem jednego aktora, szczupłego, zgarbionego, z małym wąsikiem. Ardatiew – tak o nim mówiliśmy, nie miał nigdy żadnego przydomku. Zbyt go wszyscy szanowali. W zajęciach wkładał serce i duszę, żartował i krzyczał: «Ciamcia glaaamcia!!!» (...).*

«W czasie jazdy z góry rowerem do Głuchowa machnęło się żabę. Skórka żaby miała 4 cm, koło przejechało po niej w 0,1 s. Jaka była prędkość roweru? Ile zajęłaby podróż z Grójca nad rzekę do Głuchowa (3,5 km), gdyby ta chwilowa prędkość była jednocześnie średnią prędkością podróży?» (...).

«Dlaczego woźnica musi batem zaciąć konie, żeby ruszyły z miejsca wóz z węglem? Ty wiesz? A ty?»

Według listy z dziennika pytani byli kolejno od najstarszych uczniów aż do lepszych. W gardłach sucho. Paraliż zupełny. Następny Darek Słupek, a potem już ja.

– Nie wiesz?

Bo wóz stawia opór!!!

A z czym związany jest ten opór?

Z masą!!! i czym jeszcze?! – zmianą prędkości, czyli przyspieszeniem!!!

Żeby go pokonać, potrzebna jest końska siła!!! baty na końskie grzbiety, by zmienić prędkość! Wam by się też przydały, żebyście myśleli.

Taki był kawałek wykładu o drugiej zasadzie dynamiki i bezwzględności.(...).

Maciej Kolwasa przytacza pewien epizod z życia grójeckiego nauczyciela: *Kiedyś [Jan Ardatiew] usnął w łóżku z papierosem – spowodowało to mały pożar. Może ktoś przez okno wrzucił niedopałek? Sugerował milicjant, by nie obciążać powszechnie szanowanego Profe-*

sora. «Nie, to ja usnąłem z papierosem w zębach. Papieros by nie wleciał na pierwsze piętro». Fizyk jest ponad drobne trudności i kręactwa (...).

Nietuzinkowa postać z Grójca i na dodatek z polorem i polotem. Typ, jakiego rzadko można spotkać, niestety.

B Urszula Baranowska (1949–2016)

Urszulka, z domu Horst. Mieszkała w Kopanie, przy stacji kolei wąskotorowej. Miała siostrę Danusię i braci: Władysława (mówiliśmy na niego Andrzej) i Janusza. Była ode mnie starsza. Pamiętam, jak szła drogą. Ładna i zgrabna, pszczelowośosa dziewczyna. Urodziwa. Zawsze taka radosna. Kiedy się do niej zwracałem – proszę pani, to prosiła: *Mirus, mów mi na ty*. Oczywiście, że ze wstydem się kłaniałem. Nie rozmawialiśmy nigdy dłużej.

Wiem, że jest na liście absolwentów Szkoły Podstawowej im. Wojciecha i Anieli Małżonków Górskich w Pamiętce koło Tarczyna, rocznik 1963/64, jej wychowawczynią była pani Ludwika Neufeld.

Pani Marianna Jakubowska, emerytowana nauczycielka, mówiła, że ją pamięta, bo do szkoły chodziła w *szarym, harcerskim mundurku, z czerwoną chusteczką, i lilijką*. Tak zapamiętała ją pani Maria, która prawie 50 lat uczyła dzieci z klas I–III z okolic *Kwitnącej Jabłoni*.

Pamiętam jej ślub z Czesiem z Grójca, bo matka powiedziała, żebym poszedł *w pitasy*. Czyli zgodnie z weselnym zwyczajem, jako nieproszony gość. I kiedy na dobre wesele się rozkręciło, stanąłem z chłopakami ze wsi pod siatką (płotem). Byliśmy *goście wiecorkowe*. Kapela grała, biesiadnicy jedli, dało się słyszeć – *gorzko, gorzko*. Dobiegały odgłosy z tańców. Lampy oświetlały jabłonie w sadzie i szpaler smolinosów (liliowce rdzawe), który prowadził do domu państwa Marty i Franciszka Ryłskich. Za dnia okwiat rdzawych kwiatów (*He-merocallis fulva*) był w pełni rozwinięty, zaś w nocy stulony. I nagle

państwo młodzi wyszli do nas. Zatrzymali się przed bramą, więc wykrzyczeliśmy życzenia. Ze zdrowiem i szczęściem. Dzieci dostały kanapki, zaś starsi coś z procentami do popicia. Typowa polska gościnność. Jedliśmy, aż nam się uszy trzęsły i buzie zamykały.

Urszulka w ślubnej sukni wygadała jak z baśni. (Dzisiaj by powiedzieli – jak milion dolarów).

Dzięki temu, że poszedłem pod płót, szybko zrozumiałem, co to są *pitasy*. Wiem, że to słowo odeszło do lamusa.

Na ślubie po raz ostatni ją widziałem. Nie wiem, czy po uroczystościach w domu panny młodej urządzono obrzęd zwany *przebabiny*, to znaczyło, że panna młoda weszła w szranki mężatek.

Będąc już mężatką, opuściła Kopanę i zamieszkała w Grójcu.

Zawsze się o nią pytałem, gdy spotykałem się z jej bratem Andrzejem, moim starszym, uczonym kolegą, historykiem, archiwistą.

Od kilku lat chorowała. Słabła. Traciła siłę. Gasła. Współczesna medycyna była bezradna, nie pomogło ziołolecznictwo. Cierpiała. Uśmierzano jej ból.

W maju 2016 roku poczuła się gorzej.

Miała 66 lat, gdy zasnęła na zawsze. Było to w porze, gdy kwitły sady i bzy; pąki się nie domykały, żeby przyciągnąć lato.

Aż się nie chce wierzyć, że nie ma Urszulki, mojej sąsiadki z Kopanej. Że została na wieki wieków w Grojcu.

Była i zapodziała się pod darnią. Zabrała ze sobą urodę, czyli najczulszą kobiecą wizytówkę.

Urszula Baranowska (1949–2016). Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 18 lipca 2016 roku.

Czesław Baranowski (1939–2016)

W „Gazecie Wyborczej Stołecznej” z 18 lipca 2016 roku zamieściłem wspomnienie o Urszuli Baranowskiej. Jakie było zdziwienie, kiedy pod koniec lipca zadzwonił pan Czesław z Grójca, żeby podziękować za to, co wystukałem na komputerze. Poza tym poinform-

mował, że już ukończył pomnik dla żony, która z takim heroizmem zносиła przez lata nieuleczalną chorobę. *Mężczyzna by tego, proszę pana, nie zniósł, co moja żona przeszła*, dodał. Milczałem, bo słowa moje byłby chyba nie na miejscu.

Pan Czesław podziękował za garść słów.

Telefon zaskoczył mnie, bo to rzadkość, aby ktoś tak się zachował.

W sierpniu 2016 roku zadzwonił Andrzej Horst i powiedział, że *Umarł Czesio Baranowski, mój szwagier. Odszedł w trzy miesiące po mojej siostrze Urszulce.*

Z panem Czesławem nigdy nie rozmawiałem w Kopaniu, bo byłem za młody i nieśmiały. Żdziebko o nim wiem. Widziałem go wraz z żoną podczas wesela.

Rozmawialiśmy przez telefon, kiedy smutek go dławił. Oczywiście, że ujął mnie grzecznością, która do łatwych nie należy. Tym jednym słowem – dziękuję. Było to w czasie, kiedy już obrobił się z robotą. Łzy wytarł, troszeczkę się uspokoił i pogodził z losem, jak mężczyzna.

I nagle przysłała śmierć. Odszedł. Zostawił wspomnienia, które zaczynają się od pożegnań.

Z tego, co wiem, to był równy gość z Grójca.

Czesław Baranowski (1939–2016). Pożegnanie,
„Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 4 stycznia 2017 roku.

PS

Tekst wysłałem 16 sierpnia 2016 roku i przeleżał w „Gazecie Wyborczej Stołecznej”.

Czesław Baranowski odszedł 15 sierpnia 2016 roku, jak napisał Zarząd i Członkowie Koła Łowieckiego «Jenot» w Grójcu, do Krainy Wiecznych Łowów. Na grójeckiej witrynie internetowej znalazłem cytaty: *Pierwej niż pasterzem, rolnikiem, rzemieślnikiem, uczoneym – byłeś kupcem, przemysłowcem, żołnierzem, myśliwym, synem kniei i borów*, Władysław Gacki, *Szkice myśliwskie*, 1932.

O tym, że Czesław Baranowski był łowczy («urzędnik pełniący nadzór nad sprawami łowieckimi»), nie wspominałem, bo tak daleko się nie posuwam. Nawet w szczerym polu i w lesie. To nie moja ambona.

Roman Białkowski

Mieszkał we wsi Skrzeczeniec, w południowej części wsi Kopana, poczta Tarczyn. Dzisiaj to jest przysiółek, który należy do sołectwa Kopana. To była strona bogatych i zaradnych sadowników. Tam rosły olbrzymie sady, z których wystawały dachy budynków z cegły. To na pewno robiło wrażenie. Raz tylko tam się zapuściłem i potem długo nie mogłem ochłonać. Piękne miejsce. Na lekkim wzniesieniu; troszeczkę z góry.

Latami piastował urząd sołtysa. Był częstym gościem na podwórkach, bo zbierał podatki, dostarczał urzędowe pisma. Zatrzymywał się na dłuższą chwilę. Pogadał. Troszeczkę pożartował. Pośmiał. Nie straszył. Nie słyszałem, żeby narzekał. Po prostu, swój chłop. Dzięki niemu ludzie nie musieli chodzić do sołtysa, bo sołtys sam przychodził. Mogę napisać, że mógłby być wzorem dla terenowych urzędników. To był spokojny gość. Postać znana i szanowana w okolicy *Kwitnącej Jabłoni*. Miał parę dobrze zadbanych koni, elegancki wóz i bat, którym nie okładał wałachów, choć lubił sobie strzelić z... bata. Orał, bronował, siał, kosił, doglądał sadu, nożyczkami rozsądka przycinał wszelkie dziczki. Z chwastami walczył. Był przypisany do ziemi. Na dobre i złe. Ponieważ miał do obrobienia spory kawałek, więc nie będę pisał, jaki musiał być pracowity, silny i zaradny.

Z panem Romanem nie rozmawiałem, bo byłem za młody. Pamiętam, że orał naszą działkę. Starannie zruszył ziemię pługiem, nie uszkodził żadnego drzewa w naszym sadku. Plac wygadał jak zeszyt w jedną linię. Z robotą szybko się obrobił i wrócił na Skrzeczeniec. Nie wiem, skąd taka nazwa? Nie pasuje mi, bo skrzeczeć to znaczy

«wydawać głos podobny do skrzypienia, trzeszczenia». Nazwa funkcjonuje wśród lokalnej ludności. Stamtąd dochodziły ujadania psów. Z kominów snuł się dym do otwartego nieba. Skrzeczeniec był dla wiatrów przedmurzem. Musiał być w sobie skupiony i nie rozpraszał się. To było miejsce wielkich gospodarzy. Wśród nich był sołtys pan Białkowski, o którym mawiano, że mieszka na końcu wsi Kopana.

Roman Białkowski. Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 9 czerwca 2016 roku.

Tadeusz Błaźniak

Od młodych lata czekałem na listy i gazety. Pamiętam, że w szpitalu/sanatorium w południe wyglądałem listonosza. Dawniej lubiłem pisać listy. Korespondencjami odbywałem najdalsze podróże po Polsce i za granicę. Dziś bardzo rzadko piszę listy. Przestałem podróżować i w ogóle. Ale w pamięci przechowuję zabieganych listonoszy. Jednym z nich był pan Błaźniak, listonosz z Tarczyna k. Warszawy. Wszyscy (dzieci, młodzież i starzy) byli z nim na ty. A ja nigdy nie spoufalałem się z panem Błaźniakiem. Koło południa przyjeżdżał *usk-q* pod Szkołę Podstawową im. Wojciecha i Anieli Małżonków Górskich w Pamiętce. Motor stawał pod dębem (zwanym Wojciech). Wszyscy wybiegaliśmy i czekaliśmy jak otworzy torbę. Torba była z grubej czarnej skóry. Pan Błaźniak był ubrany w czarny garnitur (chyba kolejarzski), na głowie miał kask nie zapięty. Ochronne nakrycie głowy było za małe, bo go nie dopinał pod brodą. W jego ustach tlił się niedopałek najtańszego papierosa (*sport*). Stał z torbą, a moi koledzy wykrzykiwali nazwiska, bo doręczyciel słabo słyszał. Był straszliwy zgiełk. Potem, gdy wszyscy się uciszyli, podawał listy i prosił, żebyśmy doręczyli swoim sąsiadom. Można powiedzieć, że znakomicie sobie ułatwiał pracę. Renty i emerytury przywoził, bo zawsze mógł sobie przy okazji *oderwać* końcówkę.

Tadeusz Błaźniak miał przeze mnie troszeczkę więcej roboty. Nie raz powtarzał mojej matce, że *chyba koresponduję z całym światem*.

W tomie poetyckim *Przerwane Wiersze* (Wydawnictwo „Iskry”, 1981) zamieściłem o nim króciutki wierszyk: *Błażniak listonosz jeden z najwybitniejszych / przyniesie honorarium za wiersz / weźmie procent da uśmiech zapyta jaksiemasz i / odjedzie usk-ą ze sportem w ustach i popiołem na / plecach.*

Wyjechałem na zawsze z okolic *Kwitnącej Jabłoni*.

Czasami, kiedy odwiedzałem rodziców, to zdarzało mi się z nim spotkać na drodze. Zatrzymywał się. Już nie sięgał do pocztowej skórzanej sakwy. Chwilę powstał, o coś zapytał, i pędził przed siebie.

Latem pan Błażniak handlował owocami. Jeździł wozem i skupał owoce. Na skrzynkach leżała torba; przy okazji roznosił listy.

Pewnego razu pojawił się jesienią u moich rodziców. I znów nie odmówiłem sobie, żeby tego spotkania nie utrwalić w wierszu (inc. *W Kopanie przed zimą kwaśno-ciepło*), który potem znalazł się w spisie treści *Po naszej stronie* (Młodzieżowe Centrum Kultury, Gdynia 1988).

Tadeusz Błażniak zmarł kilka lat temu, jak mówili mi na poczcie w Tarczynie.

Ilekrót otrzymuję listy, honoraria, to stoi mi w oczach listonosz z Tarczyna, który miał do wargi przyklejony okrucuch papierosa, dużo pytał i zawsze się dziwił, gdy mu opowiadałem, co słyhać za widnokresem.

Po śmierci o nim zapomnieli jak o wybitnych fryzjerach, zegarmistrzach, krawcach, kowalach, stolarzach, rymarzach i szewcach...

No cóż!

Niepamięć niejedno zlizwała imię i nazwisko. Głośne za życia.

Tadeusz Błażniak. Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 16 kwietnia 2003 roku.

Tadeusz Błaźniak

Listonosz z Tarczyna, województwo warszawskie. Do dziś mam taki obrazek. W południe, po dzwonku na dużą przerwę, wjeżdża na teren Szkoły Podstawowej im. Anieli i Wojciecha Małżonków Górskich w Pamiętce mężczyzna w kasku rozpiętym, z okruczem papierosa w ustach, na motorze WSK. Zatrzymuje się przed dębem Wojciech, gdzie jest zakopany akt erekcyjny. Jednośląd opiera o stary dąb, który jest niemym świadkiem historii. I nagle hurmem biegną uczniowie. Krzyk i radość. Pan Błaźniak rękę wkłada do wielkiej skórzanej torby i wyjmuje kartki i listy, i telegramy. Czyta. Co ja piszę? On wykrzykuje nazwisko adresata i nazwę wsi. Dzieciaki biorą. Las rąk w górze, jakby wszyscy chcieli odpowiedzieć Błaźniakowi. Takiego entuzjazmu, jaki jest pod dębem, nie ma na lekcji. Jedno przez drugie mówi. Obiecują, że zanoszą. Ale tych zapewnień nie słyszy dzielny pan listonosz z urzędu pocztowego z Tarczyna. Niewielu wie, że pan Błaźniak ma kłopoty ze słuchem. Po prostu – jest głuchy. No, może nie jak pień, ale... A zresztą, czy to ważne? Nieraz mnie wywoływał. Krzyczał: *Mirek! Do Ciebie list!!!* Szedłem onieśmielony. Podawał kopertę i komentował: *Do Ciebie to pisze cały świat!* Dzisiaj, gdyby takie wydarzenie miało miejsce na terenie szkoły, to od razu by go pogoniła ochrona. A może monitoring by ktoś przesłał do telewizji. Za to, że pali. Że wyręcza się dziećmi zamiast własnoręcznie dostarczać. A może by został celebrytą?

Wszyscy czekaliśmy na tego posłańca, co miał na czapce metalowe trąbki, które były ówczesnym logo polskiej poczty. On wnosił w szkolne życie uśmiech. Wzruszało mnie to, że nigdy nie mówił spokojnie, tylko krzyczał. Nawet mi nie przeszkadzało, że nosił dwudniowy zarost. Dzisiaj by powiedzieli: hipsterski zarost, zwany też *ironicznym zarostem*. Był wiecznie zgrzany. I z papierosem marki *sport*, tj. bez filtra. Palacz nad palaczy. Dla kolegów, którzy sztachali się w krzakach, zapewne mógł być wzorem. (Pewnie był, bo niektórzy koleżkowie powtarzali: *kto pije i pali, ten nie ma robali*).

W czasie wakacji, poza roznoszeniem listów, zajmował się handlem owocami. Jechał wozem z łubiankami truskawek, platonami czereśni, wiśni. Oczywiście, że miał torbę listonosza. Uprawiał handel wiązany. Potrafił pogodzić pracę z prywatnym interesem. Tak to sobie sprytnie radził. Uczył nas, jak zdobywa się zaskórniaki. Czyli potocznie mówiąc, leksykalnie znaczyło: *nieduże pieniądze zaoszczędzone w tajemnicy przed kimś*.

Latami przynosił do mnie listy i honoraria, z których sobie obrywał końcówkę. A przy okazji mnie komplementował. Tak na wyrost. To jedyny listonosz, który wszedł do moich wierszy. Zdaniem profesora Tadeusza Kotarbińskiego: (...) ... *wszak poezja, jeżeli ma być jędrna, musi pasożytować na prozie* (z listu do Bogdana Danowicza, Warszawa, 20 II 1955 roku).

Oto, co napisałem o listonoszu z Tarczyna, który – choć cały na czarno ubrany – wnosił w okolicę *Kwitnącej Jabłoni* tyle kolorów i uśmiech.

Jak jechał motorem, to zawsze pomachał ręką. Taki miał wzrok. Nikogo nie przegapił.

*Błażniak listonosz jeden z najwybitniejszych
przyniesie honorarium za wiersz
weźmie procent da uśmiech zapyta jaksiemasz i
odjedzie wsk-ą ze sportem w ustach i popiołem na
plecach*

(z tomu *Przerwane Wiersze*, Wydawnictwo „Iskry”,
Warszawa 1981)

Dodam, że zawsze odjeżdżał na pełnym gazie. Nie słyszałem, żeby miał wypadek albo stłuczkę. Słabo?!

*Tadeusz Błażniak. Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza
Stołeczna” z 29 sierpnia 2013 roku.*

Tadeusz Błażniak

Mieszkałem w Kopanie, 5,5 kilometra od Tarczyna. Ilekroć pisałem kartki/listy, to zawsze na kopercie skreślałem: Kopana, nr domu 55, poczta: Tarczyn, powiat: grójecki, woj. warszawskie. I wszystkie te moje dziecięce zapiski docierały najpierw do Warszawy, skąd je przewożono na pocztę do Tarczyna, a tam je odbierał i chował do swojej wielkiej czarnej, skórzanej torby pan listonosz Tadeusz Błażniak, o którym pisałem prozą (*Błażniak Tadeusz. Wspomnienie*, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 16 kwietnia 2003 roku, *Błażniak Tadeusz. Wspomnienie*, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 29 sierpnia 2013 roku) i nawet go wepchnąłem do wierszy. Dla mnie reprezentantem miasteczka Tarczyn był listonosz, który pędził przez okolicę *Kwitnącej Jabłoni* na motorze WSK-a; z okrucieństwem papierosa w ustach i z niedopiętym kaskiem. Na czarno był ubrany ten posłaniec Poczty Polskiej. Byłem za mały, żeby wiedzieć o tym, że na Zachodzie Europy, a konkretnie we Francji, mówią, że człowiek jest jak listonosz, tj. niesie dwie torby z listami przerzucone przez ramię. Ta z przodu zawiera niedostatki innych ludzi, zaś ta druga, na plecach, zawiera jego własne. Na Wschodzie Europy, w Rosji, poeta Aleksander Puszkina powiedział, że *tłumacze są jak poczta konna przynosząca oświecenie* (Borys Akunin, *Wyznania tłumacza apostaty. Borys Akunin. Jak rozczarowałem matkę*, Przełożyła Katarzyna Szymańska, „Magazyn Świąteczny, Gazeta Wyborcza” z 26–27 października 2013 roku, nr 251).

Pisałem listy do zachodnich ambasad w Warszawie. Najpierw skreślałem po polsku, ale... ktoś mi naraił w sanatorium, żebym napisał po angielsku, według wzoru. List zaczynał się od *Dear Sir!* [Szanowny Panie!]. A w środku, że interesuje się, etc. Oczywiście, że nie znałem angielskiego. Nie potrafiłem ułożyć zdania. Ambasady przysyłały mi pełne duże koperty z materiałami, które wręczał mi listonosz Błażniak z Tarczyna. Albo pod dębem w Pamiętce, albo przewoził na podwórko. Mówił: *Mirek, do Ciebie to pisze cały świat*. Nie wiem, czy się z tego powodu cieszył, czy drzał, bo ciekawość nie-

jednemu przysporzyła kłopotów. Miałem wiadomości o USA, Wielkiej Brytanii, Szwajcarii, Republice Federalnej Niemiec, Austrii. Po angielsku pisałem nawet do Ambasady Francji. Gdy o tym sobie pomyślę, to uśmiecham się do wspomnień. Jaki ja musiałem być zuchwały i łaknący wiadomości ze świata zachodniego. Gdyby ktoś na tym świecie prowadził statystykę, to zapewne bym zmieścił się na liście osób, które powinny być zaproszone do tych państw. Nie za kombatanctwo, tylko za ocalenie marzeń. Ponieważ świat jest, jaki jest, i nie ma miejsce na sentymenty, więc stało się to, co miało się stać. Nigdy nie opuściłem polskich granic. Raz tylko przejechałem pociągiem przez terytorium ZSRR, gdy jechałem w Bieszczady. Na pewno pracownicy ambasad z uśmiechem czytali i unosili brwi do góry, czytając mój angielski szymelek. Po latach nic mi nie pozostaje, jak napisać: *I'm sorry for my English*. Czyli *Przepraszam za mój angielski*. Prawdę mówiąc, to wcale nie był mój, ale... z drugiej ręki.

Tylko pan Tadeusz Błażniak chwalił mnie, że znam tyle języków. Komplementował. Roznosił wici po okolicznych wioskach. Nieraz robił mi PR pod dębem *Wojciech*, co rośnie przed szkołą podstawową im. Wojciecha i Anieli Małżonków Górskich w Pamiętce. Zapomnieć takiego listonosza, nie sposób. To był posłaniec na medal, którego nigdy nie dostał. A zresztą, nie czekał na taką blaszkę i kartonik (dyplom). Po fajrancie handlował owocami. Dzięki niemu zrozumiałem, że pieniądze nie śmierdzą. Że trzeba je mieć, a nie klepać biedne banialuki. Oto jakiego znałem gościa, co miał tarczyński sznyt.

Tadeusz Błażniak. Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 25 sierpnia 2016 roku.

Janusz Brzeziński

Jak szedłem pełną drogą do Szkoły Podstawowej im. Wojciecha i Anieli Małżonków Górskich w Pamiętce koło Tarczyna – mijałem ogrodzoną posesję Janusza Brzezińskiego i zwalniałem, bo już było bliźniutko do szkoły. Za siatką stał wielki ceglany dom, z balkonem,

a za winklem garaż. Na frontonie jak tarcza była figura Matki Boskiej. Zza szklaną szybką paliła się żaróweczka. Co za bogobojni ludzie tu mieszkają, myślałem. A kiedy patrzyłem na pana Janusza i jego żonę, to niczym się nie wyróżniali. Po nich nie było widać żadnej biedy. Nie zauważyłem, żeby ich jakaś aureola uwierała w głowę. Pan Janusz jeździł dużą ciężarówką. Był krępy. Średniego wzrostu. Najczęściej widziałem go w stroju roboczym. Oczywiście, że się kłaniałem. Dyskretnie patrzyłem na kapliczkę w niebieskim kolorze i złocie. Z koroną gwiazd wydłubanych z nieba. Lata 60. XX wieku – PRL. (Wyprzedzę nieco fakty i dodam, że w XXI w. polną drogę zalano asfaltem. Przybito do posesji tabliczkę al. Wojciecha i Anieli Górskich).

Odszedł pan Janusz. Pozostały szkolne wspomnienia. Ze świętą figurą, która stała między czereśniowymi sadami. Mijaliśmy ją w drodze do szkoły i do domu. Od poniedziałku do soboty. Traktowaliśmy jak codzienność. Nie widziałem, żeby ktoś się przy niej żegnał, czy modlił. Było to ciche wotum, zakłęte w seryjnej rzeźbie, gdzie palec wskazujący był leciutko uniesiony w górę, jak się zwykle podnosi, żeby zwięźle powiedzieć: Chwileczkę! Pomono (z rogiem obfitości, siedząca na koszu pełnym owoców i kwiatów). Między nimfą etruską, którą włączyli do wierzeń rzymianie, a Maryją, Matką Żydowskiego Króla, była zgoda, jaka jest między kobietami, co mają 6. zmysł. [Redakcja dopisała: Boginiami.]

Ludwik Kondratowicz, 1823–1862, *sielski gaduła*, co kraszył wierszyki dla braci w kapocie i siermiędze, uczył: *O kwiatach trzeba mówić, że to dzieci Flory; / Zboże zaś w pięknej mowie to Cerery zbiory.*

Na jabłko nie mów: jabłko, lecz owoc Pomony. / A tak wszyscy poznają, żeś człek wyuczony (Fragmenta o Filipie z konopi).

Cytat jakby wydłubany z okolic *Kwitnącej Jabłoni*, gdzie rosły wysokopienne drzewa. A więc z koroną.

Janusz Brzeziński. Wspomnienie, „Magazyn Warszawa. Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 19 października 2018 roku.

PS

Otrzymałem list, z którego zacytuję fragment:

Szanowny Panie Mirosławie,

(...) Czytałam Pana wspomnienie (...). Zastanowiło mnie jego imię. Wszyscy znaleźliśmy p. Brzezińskiego jako Janka. Może tak był potocznie nazywany?

Serdeczne pozdrowienia dla całej Pana Rodziny i dla Pana zawsze życzliwa Jolanta Sas.

Kopana 8.03.19.

Feliksa Chodecka (z domu Jarzyna)

(1894–4 kwietnia 1978)

Muszę się przyznać, że niewiele mogę napisać o żonie pana kierownika Szkoły Podstawowej w Pamiętce – absolwentce Prywatnego Seminarium Nauczycielskiego Żeńskiego Katolickiego Związku Polek w Warszawie. Po wojnie pracowała w Pamiętce, do 1959 roku. Działała w Kole Gospodyń Wiejskich. Nieraz widziałem panią Feliksem jak krzątała się wokół zachodniego skrzydła szkoły, gdzie mieszkała z mężem i wnukiem. Drobną, szczupłą. Widzę ją jak stoi przy studni i wiesza na żerdzi świeżo wyprane ciuszki. W szkole jej nie dostrzegalem. Była wiecznie zapracowana. Nosila fartuszek, to znak, że dbała o dom. Kuchnia to był jej wszechświat. Można napisać, że nakręcała zegar i dbała o to, żeby nie zagaśł ogień w domu, choć w Pamiętce palono gazem.

Feliksa (z domu Jarzyna) Chodecka. Pożegnanie (1894–4 kwietnia 1978), „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 1 kwietnia 2009 roku.

Józef Chodecki (17 lipca 1903–12 sierpnia 1969)

Uczyłem się pod dwiema tablicami ze złotymi wersalikami:
SZKOŁA POWSZECHNA IMIENIA WOJCIECHA I ANIELI
MAŁŻONKÓW GÓRSKICH W PAMIĘTCE, OTWARTA OD

C

ROKU 1925. GMACH WYBUDOWANO W 1927-8 R. – wyryto na zjiesienniałym marmurze, PAMIĄTKA PIĘĆDZIESIĘCIOLECIA GIMNAZJUM POD WEZWANIEM ŚW. WOJCIECHA ZAŁOŻONEGO W WARSZAWIE 31-VIII-1927 R. PRZEZ WOJCIECHA GÓRSKIEGO – głosiła marmurowa tablica nad wejściem.

Do szkoły uczęszczałem z przerwami, tzn. wiosną i latem. Śmigałem z Kopanej ponad kilometr drogi przez sady, pola i... nie narzekałem.

Szkoła w Pamiątce jest położona w cudownym miejscu. Z jednej strony objęta lasem, z drugiej – sadem, w którym rosną czereśnie. Te owoce nieraz kusiły (już nie kuszą, bo je wytrzebiono!) uczniów. Ówczesny kierownik szkoły Józef Chodecki płoszył z drzew to człękoksztatne ptactwo. Wyjmował z dna kieszeni paseczek zwinięty w ślimaczek. Jak prawdziwy mężczyzna, nigdy nie rozstawał się z pręgą. I słusznie! Rzemyk powinien być w każdym domu, jak słowo honoru. W przeciwnym razie nauka pójdzie w las, albo w sad. (Oczywiście, że żartuję).

Gdy przebywałem w sanatorium, kierownik szkoły pisał do mnie listy. Na niebieskiej kopercie obok mojego nazwiska był dopisek *Uczeń-pacjent*. Informował mnie, co się wydarzyło w okolicach *Kwitnącej Jabłoni*. Miałem z nim kontakt listowny. Jego epistoły są prawdziwą ozdobą w mojej korespondencji. *Mirku – pisał w przesyłce – Twój list-laurkę odczytałem i pokazałem wszystkim nauczycielom w kancelarii – wszyscy byli Ci wdzięczni za pamięć i wszyscy byli zadowoleni, że Ty potrafiłeś narysować i przestać nam życzenia. (...) A u nas, jak to u nas, Dzień Nauczyciela odbył się – dzieci naniósłły dużo kwiatów, laurerek (jak i Ty), wierszy, piosenek – harcerze sporo zrobili. A rodzice zrobili przyjęcie (...) Życzymy Ci zdrowia i radości z życia i powodzenia w leczeniu.*

Wiosną wyszedłem z Białych ścian, by wejść w Biel sadów, pod korony drzew. Z bijącym sercem śmigałem do Pamiątki. Kierownik miał z nami lekcje biologii w przyszkolnym sadzie. Siedzieliśmy pod

pachami czereśni *pamiętkowskich*. Liczyliśmy płatki, słupki, pręciki. Oglądaliśmy w słońcu liście, pień, gałęzie. Podglądaliśmy wiecznie zapracowane pszczoły-dobrodziejki. W wielkiej ciszy i dostojenstwie słuchaliśmy naszego Wielkiego Kierownika. W czasie lekcji pytał, i choć nigdy nie zabierał do sadu dziennika, to jednak w klasie wiedział, jaka się komu należy ocena.

Te listy, pisane przez Kierownika, kazały mi kiedyś odwiedzić szkołę. Zawsze posądzałem Kierownika o to, że po lekcjach pisze dziennik. Za życia był wspaniałym gawędziarzem. O wielkim poczuciu humoru. Umiał zaciekawić, a to już jest bardzo dużo. Nie myliłem się. Do domu dzieciństwa powracałem z grubym zeszytem w kratkę (format A4) z czerwonymi marginesami. Skoroszyt położyłem na stole, przy którym zwykle odrabiałem prace domowe. Wolniutko otworzyłem na oścież *«Kronikę szkoły w Pamiętce»* zaprowadzoną przez *Józefa Chodeckiego*. To ważny zapis lat 1947-1969. Wspólna troska o szkołę od samego początku zaprzętała głowę kierującego placówką oświatowo-wychowawczą. Był to prawdziwy gospodarz, co z ołówkiem w rękę, inwestował. Obejście szkoły świadczyło, że był mądry i nie zaprzepaszczał pokładanych w nim nadziei. Jego dewizą było: *mniej mówcie – a więcej czyńcie*.

Te kilkanaście stron zapisanych spracowaną ręką *Józefa Chodeckiego*, to symbol walki o polskość, o miejsce szkoły w środowisku wiejskim – mówiąc jaśniej – o więcej światła i pomysłu, troszeczkę innego niż chłopski rozum.

Czytałem. O szybę ocierała się gałąź jabłoni.

Zakończenie roku szkolnego także było nieopodal sadów szkolnych. Z jednej strony czereśnie, a z drugiej jabłonie i orzechy. Pędziliśmy ze świadectwami pod drzewa. Radości nie było końca. W oknie stał Kierownik jak stróż w sadzie i patrzył na nas. Wybaczał nam tego dnia krzyk i psoty.

A potem były słodkie wakacje. Łaziłem po łąkach i po sadach. Po obiedzie szedłem do Górnego Dołu (wykop w lesie pawłowic-

kim). Było to wówczas moje ulubione miejsce. Nieopodal łąk, sadów, za plecami lasów mieszanych. Stamtąd było widać naszą wieś, jak na głębokim talerzu. Była po kolana w sadach. Tu czytałem i dumałem; wypoczęty, wracałem do domu.

W 1996 r. własnym sumptem wydałem w nakładzie 80 egzemplarzy druczek pt. *Pamiętka*, w którym znalazła się *Kronika szkoły zaprowadzona przez Józefa Chodeckiego* i fragmenty *Kroniki parafii Rembertów pw. św. Jana Chrzciciela*. Dług uczniowskiej wdzięczności kazał mi opracować i ocalić od zapomnienia.

W pamięci zawsze pozostaje mój Kierownik Szkoły Józef Chodecki jako ktoś o nienagannych manierach i specyficznym smaku (nie zawsze dla mnie zrozumiałym!). I gdyby potrafił pogodzić szkołę z kościołem, to byłby na pewno moim przewodnikiem na dalszą drogę życia, choć niekoniecznie.

A jednak... dzięki takim ludziom zrozumiałem przesłanie anonimowego autora: *żyj w zgodzie z Bogiem, czymkolwiek On ci się wydaje, czymkolwiek się trudzisz, i jakiegokolwiek są twoje pragnienia w zgiełkliwym pomieszczeniu życia, zachowaj spokój ze swą duszą. Przy całej swej złudności, znoju i rozwianych marzeniach – jest to piękny świat.*

Józef Chodecki (1903–69). Wspomnienie, „Gazeta Stołeczna” z 27 czerwca 2000 roku, nr 148.

Józef Chodecki

Józef Chodecki, kierownik szkoły. To był postawny pan. Wysoki. Dobrze zbudowany mężczyzna. Chodził w garniturze, pod krawatem. Wyróżniał się elegancją. Zawsze czystutki, pachnący. Z uczniami był na dystans. Znaki szczególne: potrafił się tak zdenerwować, że nieraz palcem przywoływał ucznia, a potem szybkim ruchem sięgał do kieszeni, z której wyskakiwali paseczek jak miara krawiecka (tylko że z rzemienia). Miał autorytet u rodziców. Ucznio-

wie, którzy mieli olewający stosunek do nauki, bali się pana Chodeckiego. Za to ci, którzy nie mieli kłopotów z nauką, uwielbiali naszego Wielkiego Kierownika. Do mnie miał słałość, bo co rusz upominał, żebym nie wstawał z ławki, kiedy mu mówię dzień dobry. Jaki musiałem być zakuty łeb, że nigdy nie skorzystałem z dyspensy.

Kiedy szedł korytarzem, przygasały krzyki. Była taka cisza, że aż w uszach dzwoniło.

To był pedagog z prawdziwego zdarzenia.

Moja matka złego słowa nie dała powiedzieć o panu Chodeckim.

To był prawdziwy gospodarz szkoły. Po gospodarsku rządził, jak to się mówiło, z ołówkiem. Poza tym miał polityczną żyłkę. Należał do PZPR. Ten epizod, zauważyłem, wybawia się z jego życiorysu. A przecież nie ukrywał, że szkołą kierował z nadania ówczesnej władzy politycznej. Podobnie jest dzisiaj w placówkach oświatowo-wychowawczych (i nie tylko!). Wadził się z Panem, Bogiem; tak po krawędzi. Z ks. proboszczem Henrykiem Wierzbowskim nie prowadzili sporów, bo religia odbywała się w budynku poza szkołą, w salce wynajętej u pani Gadomskiej. Działał na niwie pedagogicznej. Udziela się w Związku Nauczycielstwa Polskiego w Grójcu. Jeździł na zebrania. To był taki urodzony Kierownik Szkoły. Miał dużą charyzmę i apetyt do życia.

Nieraz pisałem o tym, jak szliśmy na lekcję biologii do przyszłolnego sadu. W tym sadzie staliśmy pod pachami drzew, a Pan Kierownik perorował. Mówił z ogniem o tajemnicach owoców. To był urodzony gawędziarz. Byłem zachwycony jego listami, jakie wysłał do mnie, gdy przebywałem w Białych ścianach. Oczarowała mnie jego *Kranika Szkoły*. Do Kierownika placówki oświatowej pana Józefa Chodeckiego mam taką słałość, że nie potrafię o nim inaczej pisać niż z zachwytem. Nawet jego słałości wydają mi się po latach nie takie straszne.

Józef Chodecki (1903–1969). Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 31 lipca 2006 roku.

Józef Chodecki

Józef Chodecki był w latach 1946–1969 kierownikiem SZKOŁY POWSZECHNEJ IMIENIA WOJCIECHA I ANIELI MAŁŻONKÓW GÓRSKICH W PAMIĄTCE, OTWARTEJ OD ROKU 1925 koło Grójca, poczta Tarczyna.

Kiedy przebywałem w sanatorium dziecięcym *Górka* w Busku-Zdrój, pisał do mnie w liście:

Pamiętka, 15.XII.68 r.

Mirku –

odpisuję Ci na ostatni list, za który b. dziękuję – lubię czytywać listy, a wiem, że lubi się czytać też, gdy się jest z dala od domu, – prawda? Na przykład byłem w szpitalu i pisało do mnie dużo, dużo, dzieci i Ty też... .. mało, że wiedziałem od Was wszystko, ale każde z Was wydawało mi się, że przede mną stoi, że rozmawia ze mną, a przy tym przypomniła mi się i Mama dziecka, albo Tato – bo znam wszystkich Rodziców Waszych, jestem w Waszym środowisku 23 lata i nawet niejedną mamę dzisiejszych uczniów uczyłem.

(...)

Dobrze, że czytasz. Czytaj, bo to i czas schodzi, i przyjemnie coś wiedzieć – a tyle się wie, ile się nauczysz, a uczy się człowiek czytaniem. Czytanie to klucz do wiedzy – tak! Mirku – czytaj i gazety... a nade wszystko lecz się. (...).

Mam w swoim zbiorach opinię, jaką o mnie wydał: *Uczeń czwartej klasy Mirosław Szczepaniak jest b. miłym chłopcem – pilnym, pracowitym. Uczy się dobrze, sprawuje bardzo dobrze. Choruje od dłuższego czasu, choroba utrudnia mu pracę (18 marca 1966 rok).*

Józef Chodecki to był mądry człowiek, o lewicowych poglądach. Prawdziwy gospodarz szkoły. Pozostawił mi podziw i nieufność.

Znajdźcie dzisiaj takiego kierownika, przepraszam, dyrektora szkoły, który by napisał list do ucznia, jak mój kierownik Szkoły Podstawowej w okolicach *Kwitnącej Jabłoni*.

Kiedy o nim myślę, to przychodzą do mnie dwie refleksje.

Pierwsza: *Skoro nie można być uniwersalnym i wiedzieć wszystkiego, co się da wiedzieć o wszystkim, trzeba wiedzieć wszystkiego po trochu* (Blaise Pascal, *Mysli*).

Druga: *Cała metoda polega na porządku i rozłożeniu tego, na co należy zwrócić uwagę, aby odkryć jakąś prawdę* (Kartezjusz).

Józef Chodecki (1903–1969). Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 7 kwietnia 2011 roku.

Józef Chodecki

Kiedy słyszę słowo pamiętka, to myślę – Szkoła Podstawowa im. Wojciecha i Anieli Małżonków Górskich w Pamiętce koło Tarczyna. Kiedy słyszę słowo Pamiętka, to stają mi przed oczami nauczyciele i pani woźna z pękiem kluczy. W swoich zbiorach mam czarno-białe zdjęcia nauczycieli, w tle szkolnego sadu, w którym rosły czereśnie *pamiętkowskie*.

Józef Chodecki, kierownik szkoły. To był postawny pan. Wysoki. Dobrze zbudowany mężczyzna. Chodził w garniturze, pod krawatem. Wyróżniał się elegancją. Zawsze czystutki, pachnący. Z uczniami był na dystans. Znaki szczególne: potrafił się tak zdeenerwować, że nieraz palcem przywoływał ucznia, a potem szybkim ruchem sięgał do kieszeni, z której wyskakiwali cieniutki paseczki. Miał autorytet u rodziców. Uczniowie, którzy mieli olewający stosunek do nauki, bali się pana Chodeckiego. Za to ci, którzy posiadali dar zgłębiania wiedzy, uwielbiali naszego Wielkiego Kierownika. Do mnie miał słabość, bo co rusz upominał, że bym nie wstawał z ławki, kiedy mu mówię dzień dobry. Jaki musiałem być zakuty łeb, że nigdy nie skorzystałem z dyspensy. Kiedy szedł korytarzem, przygasały krzyki. Była taka cisza, że aż w uszach dzwoniło. To był pedagog z prawdziwego zdarzenia. Moja matka złego słowa nie dała powiedzieć o panu Chodeckim. To był prawdziwy gospodarz szkoły. Po gospodarsku rządził, jak to się mówiło – z ołówkiem. Poza tym miał polityczną żyłkę. Należał do PZPR (Polska Zjednoczona Par-

tia Robotnicza). Ten epizod, zauważyłem, wywabia się z jego życiorysu. A przecież nie ukrywał, że szkołą kierował z nadania ówczesnej władzy. Podobnie jest dzisiaj w placówkach oświatowo-wychowawczych (i nie tylko!). Wadził się z Panem, Bogiem, miał niewybredny żart na temat Watykanu. Z ks. proboszczem Henrykiem Wierzbowskim z Rembertowa nie prowadzili sporów, bo religia odbywała się w budynku poza szkołą, w salce wynajętej u pani Gadowskiej w Kopanie. Działal na niwie pedagogicznej. Udziela się w Związku Nauczycielstwa Polskiego w Grójcu. Jeździł na zebrania. To był taki urodzony Kierownik Szkoły. Miał dużą charyzmę i apetyt do życia. Nieraz pisałem o tym, jak szliśmy na lekcję biologii do przyszkolnego sadu. W tym sadzie staliśmy pod pachami drzew, a pan kierownik perorował. Mówił z pasją o tajemnicach owoców. Że to wszystko dzięki nauce. To był urodzony gawędziarz. Byłem zachwycony jego listami, jakie wysłał do mnie, gdy przebywałem w Białych ścianach. Oczarowała mnie jego *Kronika Szkoły*, którą ktoś świsnął. Do kierownika szkoły pana Józefa Chodeckiego mam taką słabość, że nie potrafię o nim inaczej pisać niż z zachwytem. Nawet jego słabości wydają mi się po latach nie takie straszne. Wręcz przeciwnie!

Józef Chodecki (1903-1969). Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 7 sierpnia 2015 roku.

Józef Chodecki

W zaginionej kronice szkoły w Pamiątce, gm. Konie, powiat grójecki pisał: *Do Pamiątki na stanowisko kierownika szkoły zostałem mianowany przez Kuratorium Okręgu Szkolnego Warszawskiego z dniem 1 lipca 1946 roku. Obowiązki objąłem 1 września tegoż roku. Inwentarz przekazała mi Ob. Zrobkowa Aleksandra, nauczycielka, pełniąca obowiązki kierownika szkoły. Stanowisko to objęła po swoim mężu, Kierowniku tut.[ejszej] szkoły. Zamordowany został przez Niemców, podczas okupacji, w roku 1944, podobno 17 marca (...).*

O szkole, wybudowanej przez Wojciecha Górskiego, skreśli: *Dom ten, całe obejście, ma swój numer hipoteczny i nazwano „Pamiętka” – istotnie pamiętka na bardzo długie wieki. Świadczy ona o bardzo szlachetnym i wielkim charakterze Fundatorów, małżonków Górskich, o Ich jasnym poglądzie na świat. I isticie demokratycznym – chociaż żyli oboje i działali prawie pół wieku temu (...)* (Pamiętka, 15.VI.1947).

To był kierownik-gospodarz. Surowy nauczyciel, ze specyficznym poczuciem humoru. Miał swój styl i język. Trzymał mocną garścią to, co zostało mu powierzone. Dbał o to wszystko, co było pod dachem szkoły. O uczniów i nauczycieli. W maju 1950 roku pisze do Zarządu Gminnego g. Konie, Gminna Komisja Oświaty: *Aby można rozpocząć naukę w tut.[ejszej] szkole z nowym rokiem szkolnym 1950/51, należy koniecznie dokonać gruntownego remontu pieców w salach szkolnych, dokonać remontu kominów na budynku szkolnym, gdyż cegły z kominów rozpadających się mogą spowodować wypadek: dzieci biegną po placu szkolnym, a cegły spadają w tym czasie z dachu. Wreszcie należy obelić sale, gdyż ubiegłego roku nie odnawiane były (...)*. Do wszystkich pism urzędowych dołączał wyliczenie, czego potrzebuje. Uczułał, że kominy wymagają naprawy, bo *walą się i tłuką dach cegły*, trzeba postawić nowe piece kafłowe, zmienić krokwie na dachu, żeby nie runął, oszklić okna w klasie i okitować, wykonać nowe drzwi frontowe, zadbać o WC, nakryć studnię, zakupić wiadra, łopaty... Dbał, żeby był opał dla grona pedagogicznego (6 pracowników, 11 palenisk). Nauczycielom dorzucał te 0,5 tony, żeby nie zabrakło. Uczułał lokalnych włodarzy, że *bez pieców, okien i kominów, nie będzie można normalnie pracować*.

Latami prowadził taką politykę oświatową, żeby szkoła promieniowała w okręgu okolic *Kwitnącej Jabłoni*. Między Tarczynem a Grójcem.

Dla mnie to był świetny gość, chociaż nie ze wszystkim się zgadzałem. Ale to nie ma już żadnego znaczenia.

Pani Jolanta Sas, absolwentka szkoły i moja starsza krajanka, sympatyczna pani, w liście do mnie m.in. wspominała serdecznego, *choć nieraz groźnego, kierownika Pana Chodeckiego. Jego pasek którym straszyl i powiedzenie do rozrabiających chłopców «ociet, choć tu do mnie», przeszły do historii.*

Zacząłem wspomnienie od kroniki szkolnej, więc zakończę to, co zwie się *intymność rękopisu*, i niech to będzie ku pamiętce. Rzeczą dotyczy Dnia Nauczyciela w Pamiętce: (...) *Komitet Rodzicielski tego dnia «wystawił przyjęcie» dla nauczycieli – nie zapominając o małżonkach nauczycielek. Przyjęcie ocenić należy jako wysokiej klasy – nie zapomniano o tradycyjnej lampce wina, i dużym pięknym koszu kwiatów dla całego grona nauczycieli (...). Przy spożyciu posiłku wzniesiono toasty ze strony rodziców na cześć naszych Władz, na cześć Nauczycieli. Odpowiedział na nie piszący te słowa Chodecki – kierownik szkoły. A gdy «rozwiązały się języki», rozpoczęto b.[ardzo] przyjemne śpiewy, którymi dyrygował jeden z rodziców – obywatel Kowalski Ryszard – z Rembertowa. I tak upłynął czas, późno w noc, jak upływa szybko życie ..., «jak potok płynie czas» (...)*.*

Przepraszam, że tyle cytuję, ale czynię to tylko dlatego, żeby się podzielić z tymi, którzy nie mieli takiego kierownika szkoły jak pan Józef Chodecki. Po prostu, ominęła ich Szkoła Pamiętka koło Tarczyna. Gwoli ścisłości dziennikarskiej przypomnę, że w 2015 roku przypadają dwie okrągłe daty: 80-lecie śmierci Wojciecha Górskiego (23 IV 1849–11 II 1935) i 90-lecie otwarcia szkoły powszechnej imienia Wojciecha i Anieli Małżonków Górskich w Pamiętce. Pamiętka leży między Grójcem a Tarczynem; sąsiaduje z Księżowolą i Kopa-

* W 1877 roku Franciszek Leśniak napisał słowa i muzykę do piosenki-pieśni biesiadnej. Przytoczę kilka jej sentymentalnych wersów: *Upływa szybko życie, / Jak potok płynie czas, / Za rok, za dzień, za chwilę, / Razem nie będzie nas. // I nasze młode lata / Upłyną szybko w dal, / A w sercu pozostanie / Tęsknota, smutek, żal. // (...) / Choć pamięć o nas zginie, / Już za niedługo czas, / Niech piosenka w dal popłynie / Póki jesteśmy wraz. // (...).*

ną. Obok trasy E77. Zza plecami lasów mieszanych mieści się placówka oświatowo-wychowawcza, która promieniuje na tzw. okolice *Kwitnącej Jabłoni*. Przypominam o tym, bo pamięć jest krótka, a wdzięczność jeszcze bardziej. Na wszelki wypadek ku Pamiętce powtórzę: (...) *szkółkę w Pamiętce uważam za młodszą siostrę Gimnazjum pod wezwaniem Ś-go Wojciecha. Chcę z niej zrobić typ szkoły powszechnej godny naśladowania*, pisał fundator. Młodsza siostra wyrosła i jest wiekową panią, dla której zachowuję szacunek i wzruszenie. Jak do pamiętek. To jest coś więcej niż wartość sentymentalna.

Józef Chodecki (1903–12 VIII 1969). Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 9 listopada 2017 roku.

Józef Chodecki i Feliksa Chodecka

Józef Chodecki urodził się w Goszczynie koło Grójca. W 1925 roku w Państwowym Seminarium Nauczycielskim w Mogielnicy uzyskał kwalifikacje pedagogiczne i od 1 sierpnia br. rozpoczął pracę nauczycielską. W 1929 roku w Mogielnicy zdał przed Państwową Komisją Egzaminacyjną praktyczny egzamin. Pracował i ciągle się dokszałcał. W 1931 roku kończy wyższy kurs nauczycielski i podejmuje w 1938/1939 roku studia w Instytucie Nauczycielskim Związku Nauczycielstwa Polskiego w Warszawie, które kończy w 1947 roku. W latach 1925–1931 pracuje w Dańkowie i Wólce Dańkowskiej, co leżą między Grójcem a Błędowem. 1 września 1931 roku zostaje kierownikiem szkoły w Wilkowie, nieopodal Leszna, od zachodniej strony Warszawy. W czasie 2. wojny światowej był organizatorem i nauczycielem w tajnych kompletach nauczania. Od września 1946 roku aż do śmierci piastuje funkcję kierownika Szkoły Powszechnej w Pamiętce.

W latach 1950–1955 został oddelegowany do prac związkowych w Związku Nauczycielstwa Polskiego w Grójcu oraz politycznych.

To był człowiek, który dał się poznać jako organizator i gospodarz, i świetny mówca, który potrafi powiedzieć a vista.

Z Pamiątki uczynił miejsce nauki i wychowania. Był pasjonatem ogrodów i sadów. Zadbał o to, żeby każdy z nauczycieli miał swoją działkę z owocowymi drzewami i krzewami oraz ogródkiem. Jest autorem kroniki szkolnej, która zaginęła oraz skomprimowanych opinii. Spuścizna jego gdzieś przepadła, jak przysłowiowy kamień w wodzie. Wspominają go zazwyczaj przy radosnych okazjach. Pomimo że to był agnostyk, można o nim śmiało napisać, że jako nauczyciel miał *taskę stanu*. Należał do pedagogów, którzy nieśli *kaganek oświaty*. A kaganek, jak wiadomo, też przygasa, więc trzeba czuwać, żeby nie zabrakło oliwy i płomienia, i dbać o to, żeby podcinać knotek.

Latami organizował dla swoich koleżanek i kolegów tak pracę, żeby mieli gdzie siać i nie pytali, jaka jest klasa gruntów. Ze wzruszeniem napisze w szkolnym diariuszu: (...) *przywiązałem się do Nauczycielek i do Rodziców, i do młodzieży. Wspólne przeżywane chwile wzniosłe, niwelują życie, czasem szorstkie, wiążą...* (Pamiątka, w lipcu 1959 roku).

Nieraz gubił się w działaniach, bo były opory, które nie sposób przebić. Trudno znosił zapewne to, że szkoła uczy, a życie daje naucki. Próbował ten świat naprawiać, od strony szkoły.

Jego słowa weszły w obieg. Przysłowie fińskie poucza – *W pamięci uczniów najlepiej zapisują się błędy nauczycieli*, więc oddajmy głos świadkom–uczniom. Pani Jolanta Sas, absolwentka szkoły Wojciecha Górskiego w Pamiątce, z 1954 roku, wspomina, że był *serdeczny, chociaż nieraz groźny*. Że pamięta Jego pasek, którym straszył i powiedzenie do rozrabiających chłopców: *«ociet, choć tu do mnie»*, *przeszły do historii* (Kopana, 2015 rok).

Grzegorz Jakubowski, syn pani Marianny Jakubowskiej, nauczycielki, mój szkolny kolega, rocznik 1955, zapamiętał, że pan kierownik nosił w kieszeni ładnie zwinięty rzemienny pasek. Wystarczyło, że go raz ruszył, a rozwijał się; tę dyscyplinę nazywał *ślimak*.

Rzemiennym razem nieraz dyscyplinował rogatych chłopców, trzymając sprzączkę w zaciśniętych palcach. Dyscyplinowanie paskiem tej części, gdzie kończy się szlachetna część pleców, to żadna metoda pedagogiczna, która obowiązywała od wieków w pedagogice całego świata, niestety. Chłosta była na porządku dziennym, stąd mawiano, że *Będzie kij w robocie* albo *Dębowy świadek*. Popularne było powiedzenie, że *Kij najlepszy dochtór/nauczyciel*. Z tego okresu pochodzi przysłowie: *Komu nie pomogą słowa, pomoże z zadkiem rozmowa*.

Pan kierownik Chodecki lekcje rozpoczynał od perswazji i od prawd, które są nieprzyjemne. Pouczał i przypominał mądrość ludową, która głosi, że *zaniedbane nauki w młodości pożałujesz w starości*.

Feliksa Chodecka (z d. Jarzyna) urodziła się w Blizocinie w powiecie ryckim. Świadectwo dojrzałości otrzymała w Prywatnym Seminarium Nauczycielskim Żeńskim Katolickiego Związku Polek w Warszawie przy Krakowskim Przedmieściu. Od 1 sierpnia 1925 roku rozpoczęła pracę nauczycielską. W 1929 roku w Państwowym Seminarium Nauczycielskim w Mogielnicy zdała praktyczny egzamin przed Państwową Komisją Egzaminacyjną. W latach 1925–1928 pracowała w szkole w Wilhelmwie koło Błędowa, powiat grójecki, a następnie w Wólce Dańkowskiej. W 1931 roku wraz z mężem Józefem zaczęła uczyć w Wilkowie pod Grójcem. W czasie 2. wojny światowej brała udział, podobnie jak jej małżonek, w tajnym nauczaniu. W 1946 roku trafiła do szkoły w Pamiętce, w której pracowała do 1959 roku. Kiedy jej mąż został oddelegowany w latach 1950–1955 do prac związkowych w Związku Nauczycielstwa Polskiego w Grójcu, pełniła funkcję p.o. kierownika szkoły; na etacie, jako osoba z kwalifikacjami; miała w tygodniu 24 godziny lekcyjne, w rozbiciu na przedmioty: biologia, geografia, matematyka, język polski, rysunek. Działała w Kole Gospodyń Wiejskich. Była matką dwójki dzieci: córka Halina i syn Janusz (zginął tragicznie). Wychowywała wnuka Zbigniewa Skibińskiego (pieszczotliwie zwali go *Zbysiulek*).

Zmarła 4 maja 1978 roku. Jej pochówek odbył się na Powązkach.

Józefa Chodeckiego pogrzeb odbył się wedle świeckiej sztuki funeralnej, z honorami i orkiestrą, i mowami na Powązkach Wojskowych (d. Cmentarz Komunalny Powązki); trumnę złożono do grobu, kwatery 140, IV rząd II i III. Na wieki wieków został na cmentarzu, gdzie znajduje się m.in. grób patrona szkoły w Pamiętce Wojciecha Górskiego (23 IV 1849–11 II 1935), Stare Powązki 67 –V–9/10, Kwatery 67, V rząd, 9/10 grób. Na Starych Powązkach, kwatery 73, II rząd, 7 grób leży jego adwersarz, ks. Henryk Wierzbowski (15 VI 1910–29 VI 1974), proboszcz parafii pw. św. Jana Chrzciciela z Rembertowa koło Tarczyna. Informuję o tym na wszelki wypadek, bo nigdy nie wiadomo, czy ktoś z okolic *Kwitnącej Jabłoni* nie odwiedzi Powązek, żeby zapalić świecę tym, co latami nieśli przez wioseczki kaganek oświaty. (Mówiąc po azersku: *Nauka – kaganek rozumu*).

Józef Chodecki

Były kierownikiem Szkoły Podstawowej im. Wojciecha i Anieli i Małżonków Górskich w Pamiętce k koło Tarczyna, województwo warszawskie. Do tej szkoły uczęszczałem z przerwami. Zmarł w wieku 66 lat. Przez lata prowadził Kronikę Szkoły, o tym pisałem w felietonach (*Pamiętka*, „Tygodnik Kulturalny” 1984, nr 26, *Á propos*, „Tygodnik Kulturalny” 1984, nr 47, *Dwa listy, ale jakie!*, „Kultura Wsi. Kwartalnik popularnonaukowy Centralnej Biblioteki Rolniczej” 2015, nr 5). W artykułach nieraz cytowałem fragmenty z dwóch listów Józefa Chodeckiego, jakie skreślił do mnie, gdy przebywałem w sanatorium. Były to majstersztyki sztuki epistolarnej. Wydrukowałem te listy, żeby pokazać, że jednak Kierownik Szkoły, jeżeli tylko chce, znajdzie chwilę czasu dla swego ucznia. W czasach, gdy polskie szkoły są coraz bardziej zniaczone i szare, i ciągle brak im tożsamości, pokazałem, jak to robiono w czasach PRL-u. Oczywiście, że niewiele tymi tekstami załatwiłem, bo po kilku latach okazało się, że zginęła *Kronika Szkoły*, a potem wyrwano sad przy-szkolny, w którym rosły czereśnie *pamiętkowskie*. A w 2019 roku wy-

karczowano aleje kasztanowców przy trasie E77, żeby doprawić pustkę. Oto przykłady, jak na serio potraktowano moje pisanki. I nikogo nie było, kto by podniósł larum i zawołał: po moim trupie!

Kolejny raz poczułem się jak człowiek, któremu jest głupio, że nie ma gdzie polizać łapę jak Mickiewiczowski niedźwiedź. Czuję przepływ przemijania, jak przyspiesza.

Józef Chodecki (1903–1969). Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 14 stycznia 2020 roku.

Mirosława (1916–1996) i Hubert (1915–2007) Czacharowscy

Obydwoje przyjechali do PGR Pawłowice z Zaborowa k. Leszna (Puszcza Kampinoska), bo tutaj były wolne dwa wakaty. Pani Mirosława pracowała w świetlicy i prowadziła mini bibliotekę, zaś jej mążzonek był księgowym w biurze. (Świetlica rozświetla jak kaganek, żarówka, świeca, odciemnia).

Mieli dwóch synów: Bogdana, rocznik 1941, polonista i nauczyciel w Słomczynie, a potem dyrektor Zespołu Szkół w Grójcu oraz Marka, rocznik 1951, absolwent Liceum Ogólnokształcącego w Zalesiu Dolnym i Piasecznie, skończył Pomaturalne Studium Zawodowe o profilu budowlanym w Tomaszowie Mazowieckim, 1971. Wedle relacji młodszego syna, matka była bibliofilem, lubiła czytać, ojciec to typ żartownisia.

Do świetlicy, w budynku parterowym Ochotniczego Hufca Pracy, przychodziłem, bo tam był 1. w naszej okolicy telewizor czarno-biały. W dużej salce stały rzędy krzeseł i kilka stolików oraz stół do ping-ponga.

Doskonale pamiętam ich, bo wyróżniali się spośród okolicznej ludności. Pani Czacharowska paliła papierosy w fifce i pomykała przez dworskie podwórze, nie szukała pretekstu do dialogu. Była wysoka. Pan Hubert preferował niespieszny styl życia, Lelum polem. Ubierał się jak urzędnik: spodnie zaprasowane w kant, koszula,

marynarka, buty wypastowane. Pielęgnował i podkręcał wąsa. Lubił przystanąć i porozmawiać, i nie narzekać. Czasami otwierał drzwi do świetlicy, kładł na stół świeże gazety i wesoło konwersował.

W świetlicy oglądałem Festiwal Piosenki Polskiej w Opolu, Międzynarodowy Festiwal Piosenki w Sopocie, oraz programy sportowe. Siedziałem obok niej. Palła papierosa i przeżywała to, co się dzieje na szklanym ekranie.

Pewnie bym zapomniał o niej gdyby nie pewne zdarzenie. Jesienią, chyba 1973 roku, pani Mirosława powiedziała, że otrzymała od Tadeusza Machnowskiego z Ostrołęki jego debiutancki tomik pt. *Wiersze*. W biurówcu pokazała mi szczupłutką książeczkę wydaną przez Korespondencyjny Klub Młodych Pisarzy przy Zarządzie Głównym Związku Młodzieży Wiejskiej oraz Ludową Spółdzielnię Wydawniczą w Warszawie [1971], nakład 700+100, ss. 35. Zszyty jak szkolny zeszyt.

Na odwrotnej stronie szczupłutkiego druku zwartego, gdzie zamieszczono fotografię i notki (poety i grafika), poinformowano, że jest absolwentem Szkoły Budowlanej w Warszawie. A na koniec dodano, że *Od kilku lat pracuje w PGR-ach*. Oczywiście, że nie podano miejsc pracy. A szkoda. (Czy oprócz Pawłowic były inne?). Zaznaczono, że urodził się w rodzinie chłopskiej we wsi Ostryków Dworski, nieopodal Narwi. Czyli był człowiekiem przypisanym do rzeki, łągów, łąk, lasów... Pawłowice były miejscem postoju, żeby przeczekać i dalej ruszyć z węzełkiem. Byłem świadkiem radości, że komuś się udało. Widziałem, że jest dumna. Że Tadek Machnowski powrócił do siebie, na Kurpie, gdzie największy skarb to burztyń, zwany też *łza minionego żywota*.

Stanisław Czekanowski (17 IX 1868–10 II 1963)

Nieraz sięgam do zeszytu pn. *Grójeckie we wspomnieniach. Seria IV. Fragmenty z pamiętnika. Roczniki długiego żywota mego Stanisława Czekanowskiego*. Wybór, wstęp i przypisy Zdzisław Szelaąg, Towarzystwo Literackie im. Adama Mickiewicza, Oddział w Grójcu,

2004. Na stronach 28–29, pod rokiem 1906 m.in.: (...) *Już od rana od Mikołaja Figlika, mieszkającego na moim folwarczku, Wólce Kościńskiej, przy szosie krakowskiej, zwanym powszechnie Przecherą (obecnie po rozparcelowaniu go w r. 1926 zwie się w hipotece „Demagogia alians Podole”) dowiedziałem się szczegółów: już szaro było, od Michrowa (Kocerany – dawniejszy folwark Michrowa) jechało bardzo dużo chłopskich wozów, zatrzymali się na Przecherze, pytając o drogę na Karczunek Lesznowski (bo chłopcy byli zza Grójca, z Odrzywołka, Grudzkowoli i Uleńca). Był i wójt i mówił, że jadą na Karczunek, żeby zrobić porządek ze złodziejami, krzyków żadnych nie słyszał. (...).*

Karczunek Lesznowski – nie pamiętam, żeby tak mówiono. Używano zamiennie skrótu – Idę na Karczunek (tak mówili starsi, za którymi powtarzali młodszy, wśród nich i ja byłem). Większość jednak mówiła Las Lesznowski. Ciekawostka, że w akcie urodzenia mojego ojca Czesława napisano, że urodził się w 1930 roku w Kazimierzowie, zaś mój wujek Tadeusz Tomecki w 1924 roku w Kazimierzowie. Stąd wniosek, że Kazimierzów był przed Karczunkiem Lesznowskim. A potem Karczunek odpadł na rzecz Lasu, żeby było wiadomo, że to należy do strony Lesznowoli. Więc wyrosło to, co wykarczowane na szczerze pole. W ten oto sposób zasłonięto i wszedł las, którego było mniej, bo go wykarczowano. Dzisiaj ten las się odezwał i zarósł od strony nasypu kolejki wąskotorowej. Słowem, znów się zakorzeniają krzewy i drzewa, więc za kilka lat znowu będą je karczować. Nic odkrywczego nie napiszę, gdy nagryzmołę – puszcza się puszcza; przestaje, gdy wchodzi ludzie uzbrojeni w piły i siekiery.

Oczywiście, że nikt tego nie spisywał, bo większość była *niepiśmienna* lub, inaczej, czytać też nie umiała. Co może być komentarzem. Język mówiony a pisany, dwie różne sprawy. Stąd też mnóstwo przysłów, że tego nie spisałoby się na wołowej skórze albo to można zapisać na kominie. Dociekliwość ludzka nie znała granic powiatu, więc ludzie zadawali coraz głębsze pytania, m.in. skąd się wzięły nazwy wioseczek, w których mają chudoby. Zadawali pyta-

nia o wymiarze egzystencjalnym, gdzie sprawy ludzkie zawsze są na przedzie, a nie w tyle. Nie wiem, czy wydufbywali niebieskie migdały z chmur. Wiem – bom nieraz widział – jak pisali patykiem na ziemi, a potem to zacierali butem. Brak szkół czynił, że ogłada docierała z opóźnieniem. Ludzie jak się spotkają, to mówią ot tak sobie. Raczej sobie nie życzą, aby ktoś to notował/nagrywał. Może dzisiaj jest nieco inaczej, bo jest ciąg, żeby ujawniać, odkrywać a nie zakrywać przed światem. Nie jestem pewien, czy tak faktycznie jest, jak pokazują. Mam wrażenie, że różni manipulanci tym sterują. I dobierają jedną miarę, wmawiając, że nie jest to seryjna produkcja.

Nie będę wskazywał tych, którzy pod korcem trzymali ten kaganek oświaty. I pomyśleć, że wszystko w zasięgu 50 km od Warszawy. Jeżeli chodzi o kulturę agrarną, sporo tu się działo – panował rytm codzienności oraz przerwa świąteczna. O tym znaleźć można sporo, ale we fragmencie. Dobre i to!

A jednak... jak się coś skubie po kawałeczku, to na dłużej starcza.

Wróć do wspomnień *Roczniki długiego żywota mego Stanisława Czekanowskiego*, który m.in. pisze: *w miernym Tarczynie* (s. 48) albo *mizerna osada* (s. 84). Czyli kiepska i marna. Jest też na s. 37 pouczający passus, który nadal jest aktualny, że nauka i oświata: (...) *Grójeckie więzienie – to nie żarty. W r. 1880, któryś zarząd miasta miał do wyboru: postawić szkołę lub więzienie – jedno z dwojga – i dobrowolnie bez przymusu wybrał to ostatnie. I stanął nieduży, jednak dużo większy od istniejącej jeszcze i teraz starej szkoły miejskiej, reprezentacyjny, higieniczny gmach przy wjeździe do miasta, przy sosie krakowskiej od strony stolicy. (...)*

Oczywiście, że wybór fatalny, grójecki. Lepiej postawić na wolność, czyli naukę, szkołę. Dyby i niewola – może to w Rosji się sprawdza, ale...

Stanisław Czekanowski, dziedzic dóbr Kośmin i Głuchów pod Grójcem, redaktor „Gazety Polskiej”, w 1908 roku skreślił taki oto passus z naszych stron: (...) *W dziecińczych latach moich zamieszkał w Rembertowie pod Tarczynem, usunięty z Michrowa dworski ogród-*

nik Markiewicz, a że lubił dobre piwo, zaprzyjaźnił się z technicznym kierownikiem browaru Głuchowskiego, Janem Pączkiewiczem i, często tam bywają, Ojca mego i postępowego rolnika spod gdańskiej szkoły rolniczej, wuja mego, przekonywał o dochodowości większych ogrodów folwarcznych. Ci dwaj doświadczeni rolnicy śmieli się z pomysłów Markiewicza – co tam ten piwosz zawraca głowy! Ale kupił mały liche folwarczek, odległy od Rembertowa 1,5 km – Brominy – jakiś Niemiec, a że Niemiec był katolikiem i bywał w swym parafialnym Rembertowie, natknął się u proboszcza, ks. Turanta¹, na Markiewicza i w rezultacie na Brominach, na lekkiej, ale dobrze uprawianej i nawożonej ziemi powstał kilkomorgowy sad czereśniowy. W tym czasie, korzystając z amnestii, wrócili powstańcy: do Prażmowa p. Bronisław Ryx z za kordonu i z Syberii białoruski szlachcic zagonowy; nie mogąc osiąść w rodzinnych stronach, za ciężko zapracowane na Syberii pieniądze kupił parcele na Rembertowie dla siebie i syna. [Zawiązała się] przyjaźń Tomaszewskich z Markiewiczem i w rezultacie 2 piękne sady. Tomaszewski, mądry człowiek, założył sad; sprytny, późniejszy wybitny szmuglarz², zamożny gospodarz rembertowski, Magiera, niedaleki sąsiad Tomaszewskiego, zakłada sad. Za nimi poszło jeszcze coś sąsiadów, dwu

- 1 Ks. Anzelm Turant – proboszcz parafii pw. św. Jana Chrzciciela w Rembertowie k. Tarczyna, 1881–1911, zm. w 1919 r. w Kamieńczyku; dane wg *Kroniki parafialnej* zaprowadzonej przez ks. Henryka Wierzbowskiego.
- 2 Szmuglarz (właśc. *szmugler*) – człowiek zajmujący się przewożeniem towarów przeznaczonych na handel, przemyt. Stanisław Czekanowski nie podaje faktów, które by obarczały gospodarza, że był wybitny. Może go na tym nie przyłapał, a może oprął się na tym, co ludzie gadają? Niemieckie słowo *schmuggel* = przemyt. Szmugłowano w czasie wojny żywność: słoninę, mięso, masło, a także tytoń oraz towarami zakazanymi przez okupanta. Raczej bym złagodził opinię i napisał, że Magiera był człowiekiem sprytnym i obrotnym. Nie mieszajmy handlu z przemytnictwem, bo tu nie chodzi o kontrabandę.

czy trzech i karczmarz na sąsiednim Ksawerowie³. Sprzedaje Niemiec Brominy, dla czereśniowego sadu kupuje je dyrektor znanej szkoły realnej w Warszawie, p. Wojciech Górski. Zachęcony rezultatami pieniężnymi z nie tak dużej plantacji czereśniowej, kupuje sąsiednią, z gleba lepszą, Kopanę i zakłada większy sad. Przez szosę krakowską leży Kieżowola z glebą lekką, dobrą, sprzedaje dyrektor Brominy, kupuje większą Kieżowolę i dla syna⁴ zakłada sad handlowy. Nie tylko sad, oddziela kilka mórg przy szosie, buduje odpowiedni budynek szkolny, urządza wewnątrz szkołę, zakłada sad⁵ i oddaje „Pamiętkę” należycie zagospodarowaną w prezencie gminie Komorniki.

Nie postuchali ani ojciec, ani wuj inicjatywy Markiewicza, ale ja, mając w dawnej pamięci „gadania piwosza” i widząc owoc jego inicjatywy, jeszcze przed konferencją z Wład[ysławem] Grabskim w sprawie spółek włościańskich, wyzyskując stanowisko pełnomocnika gminnego, będąc zarazem jakby instruktorem rolniczym, zwracałem uwagę naszych gliniaków m.in. na to, co rośnie w Rembertowie, w najbliższej okolicy. Lecz chłopci bali się, co to będzie, jak się wszyscy wezmą do sadów, kto kupi te owoce, kto je będzie jadł, tak, jak Michrów bał się zbytnej produkcji i podaży ryb i swą gospodarkę rybną otaczał tajemniczością. (...).

Jeszcze raz chcę uczcić zupełnie zapomnianego prostego folwarcznego ogrodnika Markiewicza, dzięki niemu, jego słowom słyszonym przeze mnie, dwunasto, może trzynastoletniego chłopca, grójecki powiat stał się powiatem wybitnie sadowniczym, na gruncie przygotowanym przed wiekami⁶.

3 Nie wiem, gdzie była ta karczma.

4 Jerzy Górski.

5 Od południowo-zachodniej strony sad czereśniowy – z wysokopiennymi czereśniami pamiętkowskimi, zaś naprzeciw był sad jabłoniowy, lekko rachityczny, o ile dobrze pamiętam. Sad z czasem stał się ogrodem dla nauczycieli.

6 Stanisław Czekanowski wspomina: *Pod ogrodnictwo jeszcze w wieku XII czy XIII fundament założyli benedyktyni w Przybyszewie, cystersi*

Grób Stanisława Czekanowskiego znajduje się na cmentarzu parafialnym w Worowie pod Grójcem.

Pani Jolanta Sas z Kopanej, w liście z 27 listopada 2018 roku, uzupełnia: *Panie Mirosławie, razem z Robertem dziękujemy Panu i jesteśmy niezmiernie wdzięczni za wiadomości, jak powstawały sady w naszej okolicy. Historia wzruszająca, jak wszystko zaczęło się przypadkowo, małymi kroczkami. Kto by pomyślał, że Brominy, gdzie dziś chaszczce i zielsko tylko rośnie, to kolebka sadów czereśniowych. Podobny los spotkał majątek p. Tomaszewskiego. Po sadach ani śladu. Rodzina ziemię sprzedała. Dziś znajduje się tu Biedronka, karczma, zakład samochodowy, a część leży odłogiem. Pozostał jedynie dom, który chyli się ku upadkowi.*

Nie ma sadu w Pamiętce, Kopanej czy Ksawerowie. Myślę, że wszystko pochłonęła reforma rolna, jak również brak gospodarza. (...).

A inny ziemianin z Nowej Wsi pod Grójcem, tak opisał sad czereśniowy, chyba z 1935 roku, bo nie podaje roku: *Był pełen sezon czereśni. Drzewa o rozłożystych konarach były formalnie obwieszone jakby girlandami cienkich, długich gałązek pokrytych szczelnie dorodnymi czereśniami. Ciemnoróżowe, czerwone, wreszcie prawie czarne olbrzymki były tak wielkie, że niektóre można było przetupywać i odrzucać pestki, a lśniły jak lakierowane. Te piękne czereśnie, jak i cały we wzorowym porządku utrzymany sad, wzbudził w moich gościach podziw. Gdy po podwieczorku towarzystwo zajęło miejsca w auto-*

pod Mogielnicą, warzywnikami opiekowała się specjalnie królowa Bona, sprowadziwszy do Przybyszewa z północnych Włoch tamtejszych chłopów (s. 52). Píše w współczesnych: Gdy już tyle mówię o sadach grójeckich, nie mogę nie wspomnieć, iż grójeckie ziemiaństwo miało trzech poważnych ziemian-sadowników: Michała Daszewskiego w Brzuminie pod Czerskiem na madach nadwiślańskich, jego syna Tadeusza, wybitnego sadownika, z przepięknym sadem w Nowej Wsi pod Warką i Władysława Miniewskiego, który w Ciechlinie (wioska w gminie Pniewy, 13 km na zachód od Grójca) miał amatorski, doświadczalny sad 13-morgowy. (...) (s. 53).

karze, każdemu ofiarowałem po 2 łubianki czereśni różowych i czarnych.

Po kilku dniach, przyszedłszy do Banku, spotkałem dyrektora Jastrzębskiego.

– Mam tu świeże relacje o pańskiej pracy i sadach. Sądzę, że nie będzie trudności z kredytem dla pana, chodźmy do dyrektora Rachwała. Jako główny dyrektor on właściwie decyduje. (...) w: Tadeusz Maria Daszewski, *Z minionej epoki. Fragment pamiętnika. Grójeckie we wspomnieniach*, seria VI, Wstęp i przypisy Zdzisław Szelaąg, Towarzystwo Literackie im. Adama Mickiewicza, Oddział w Grójcu, 2006.

Stanisław Czekanowski, zanotował w 1911 roku: *Jestem bowiem w gruncie fizjokratą, więc chleba naszego powszedniego i mięsa i ryb nieco dla wszystkich, wszystkich przede wszystkim, a potem przemysłu dla zaspokojenia potrzeb kraju [nie zabraknie].*

Jak przystało na fizjokratę, uważał, że rolnictwo za jedyne źródło bogactwa (sic!).

Pisał jak ktoś, kto wie, czym się kończy *ziemia obiecana*, kiedy do industrializacja wyplenia kulturę agrarną. Nie ma zmiłuj się. Trafnie o tym pisał Władysław Stanisław Reymont (1867–1925), że z tej łódzkiej pobudki wyszła bieda, że raj okazał się piekłem lub, inaczej, grymasem: (...) *Z równin odległych, z gór, z zapadłych wiosek, ze stolic i miasteczek, spod strzech i pałaców, z wyżyn i z rynsztoków ciągnęli ludzie nieskończoną procesją do tej „ziemi obiecanej”. Przychodzili użyźniać ją krwią swoją, przynosili jej siły, młodość, zdrowie, wolność swoją, nadzieje i nędze, mózgi i pracę, wiarę i marzenia.*

Dla tej „ziemi obiecanej”, dla tego polipa pustoszały wieś, ginęły lasy, wycieńczała się ziemia ze swoich skarbów, wysychały rzeki, rodzili się ludzie, (...) (Ziemia obiecana).

Zamiast pointy pobudka – w Ossolineum pod sygnaturą 11/13 258 w siedmiu teczkach mieści się 5-tomowy raptularz z lat 1942–1944 Stanisława Czekanowskiego; kopia znajduje się w posiadaniu jego wnuczki Barbary Czekanowskiej-Bukowieckiej. Grażyna Borkowska w artykule pt. «*Roczniki długiego żywota mego*»: uwagi

o autorze i tekście, „Prace Polonistyczne. Łódzkie Towarzystwo Naukowe” 1999, zeszyt 54, wystawiła taką oto notę: *Pamiętnik spisywany był w zwykłych zeszytach, piórem, przeważnie ręką Czekanowskiego. Niektóre zeszyty oklejone są gazetowymi podobiznami peerelowskich notabli, a także ich radzieckich sojuszników. Całość jest bardzo obszerna; liczy w przybliżeniu dwa tysiące stron. W drugiej połowie lat pięćdziesiątych, w czasie pobytu w Poznaniu, Czekanowski przepisał tekst na maszynie, dodając aktualny komentarz. Ta druga wersja również dostępna jest w Ossolineum (...) Obie wersje zawierają różnego rodzaju załączniki, w tym odpisy listów Czekanowskiego.*

Oby kiedyś ktoś z Grójca się tym zajął i wydał drukiem, bo jest to dokument, który powinien być w bibliotekach-czytelniach oraz domowych biblioteczkach. To nie jest życzeniowy postulat. Swoje nie powinno być obce. Że miłe to uczucie coś wiedzieć i tym się dzielić, mnożąc pamięć.

Andrzej Dąbrowski

D

Z Andrzejem chodziłem do Szkoły Podstawowej im. Wojciecha i Anieli Mażonków Górskich w Pamiętce koło Tarczyna. Mieszkał w Państwowym Gospodarstwie Rolnym Księżowola. Uczyliśmy się w tej samej klasie, gdzie rocznik 1955. Było nas 27 osób i wszystkich musiała ogarnąć nauczycielka pani Helena Dorocińska. Kierownik szkoły Józef Chodecki potrafił utrzymać dyscyplinę. Nosił w kieszeni pasek zwinięty jak ślimak.

Na Andrzeja mówiliśmy *Sierżant Garcia*.

Dlaczego?

Bo w telewizji czarno-białej pojawił się serial *Zorro*. Andrzej miał, podobnie jak jego koleżanka, Danka Łazewska, z którą szedł do szkoły, krępą budowę (lubił jeść pełnymi ustami). Jolanty, jego siostry, nie pamiętam. (Niech mnie kule biją). To był ciemny blondynek. Nieraz odpisywał z mojego zeszytu. Pamiętam, jak zdyszany wbiegał do klasy i pytał, czy odrobiłem pracę domową. Odpowiedziałem, że tak, tylko zapomniałem namalować szlaczków. Brał mój

zeszyt z takim wdziękiem, jak ancymon. Po czym wybiegał i mościł się w przyszkolnym lesie, pod krzaczkami głogu i na kolanie przepisywał. O dziwo, zawsze zdążył na lekcję. I tak to trwało w najlepszej. Nie piszę tego, żeby pokazać, jaki to byłem szlachetny. Czynieć to, żeby nie oszczędzać na prawdzie.

Niewiele pamiętam z tamtych lat, ale... nie zapomniałem tego, jak idzie z Danusią, którą zaczepiają chłopaczyska, z pastewnymi manierami. Groził im pięścią, nie bił się z nimi, choć zasłużyli na *śliwkę* albo żeby dostać z *liścia*. Zapewne wiedział, że trzeba działać, jak serialowy *Zorro*, który walczył zgodnie z maksymą, że *gdy nie możesz walczyć jak lew, bądź przebiegły jak lis*.

To był pełen krzepy chłopak. Sympatyczny i przyjazny. Typ – brat łata. Siedział w ostatniej ławce, żeby nie zasłaniać tablicy.

Zapamiętałem też, że jak był wzywany do odpowiedzi, to miał pot na czole i wilgotną grzywkę.

A poza tym zawsze był pierwszy na liście w dzienniku naszej klasy.

Wspominam Andrzeja, który zmarł, gdy bose lato odchodziło w jesień 2015 roku, bo do tego zobowiązuje mnie pamięć ze szkoły w Pamiętce.

Wykrusza się moja klasa. A ja znów piszę wspomnienie o życiu pełnym pożegnań.

No cóż!

Przemijanie to wywietrzone chwile słodczy. Do sucha.

*Andrzej Dąbrowski. Wspomnienie kolegi z klasy,
„Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 25 lipca 2018 roku.*

Pan Defrys

Tulipany hodowano PGR Pawłowice koło Tarczyna. Przepraszam, pełna nazwa brzmiała Stacja Hodowli Roślin Ozdobnych w Pawłowicach. Państwowe Gospodarstwo Rolne to byłoby zbyt pastewnie.

Roślinami cebulowymi należącymi do rodziny liliowatych (*Tulipa sylvestris* L.) zajmował się pan Defrys. Był specem tego, jak sobie żartują, perwersyjnego kwiatu (tuli pan).

Poletka tulipanów pod Kawęczynem i Raciborami. Dywan kwiatowy. Z tulipanów. Widziałem je z oddali. Od strony drogi Pawłowickiej, gdy szedłem do dziadka. Czerwone, różowe, białe, żółte... Niesamowite robiły wrażenie. Rosły za horyzontem, gdzie forpocza widnokresu. Stałem na drodze i patrzyłem, pełen zachwytu i zdumienia. Nieraz mnie kusiło, żeby podejść bliżej, ale brakło odwagi. Szkoda.

Po 1968 roku znikł pan Defrys, a wraz z nim kolorowe poletka tulipanów, które otwierają się, gdy temperatura wzrasta powyżej 15°C, a zamykają się, gdy spada poniżej 13°C.

Opowiadano, że wyemigrował do Holandii.

W życiu nie widziałem takich tulipanów, jakie hodowano w Pawłowicach.

Aha!

Cebulki tulipanów przynosili ludzie z PGR i pokątnie sprzedawali ziomkom. Za grosze. Matka posadziła kilka cebulek w naszym ogródku, ale... to już nie było to. Tulipany ginęły wśród kwiatów. Zagłuszone przez żonkile, bratki, georginie i inne kwiaty. W ogródku wielkie pole do popisu miała skromniutka maciejka, która pod wieczór odurzyła. Dla mnie to był taki soft eter.

Nic na to nie poradzę, że kiedy widzę tulipany, to powraca do mnie postać pana Defrysa z Pawłowic, który otrzymał bilet w jedną stronę. To było bardzo nieuprzejmie z naszej strony okolic *Kwitnącej Jabłoni*, że tak potraktowano kogoś, kto wnosił tyle kolorów, które bajecznie wyglądały z lotu ptaka i z oddali. Mam z tego okresu jeden slajd, który przypomina flagę białą-czerwoną, wpisaną w zielen wiosny i lata.

Pan Defrys. Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 24–25 maja 2014 roku.

Państwo Defryswie

W „Gazecie Wyborczej Stołecznej” z 24–25 maja 2014 roku opublikowałem wspomnienie pt. *Pan Defrys*. Był to 182. wtręt o wartości sentymentalnej. Doszły do mnie słuchy z moich stron, tj. okolic *Kwitnącej Jabłoni*, że przemilczałem to, co dotyczyło jego rodziny. Uczyniłem tak, nie dlatego, że mam zaniki pamięci, ale staram się pisać skomprimowane teksty, bo nie chcę nadużywać gościnności łamów opiniotwórczego stołecznego dziennika. Ponieważ z moimi ziomkami trzymam sztamę, więc dopowiadam, żeby się równo porawić.

Pan Defrys w latach 60. XX wieku pojawił się w Państwowym Gospodarstwie Rolnym Pawłowice k. Tarczyna, powiat grójecki, woj. warszawskie. Zamieszkał wraz z żoną i córką w biurówcu, który wyglądem przypominał domek wielorodzinny. Był jak wilegiatura. To był spec ds. hodowli kwiatów na wielohektarowym poletku doświadczalnym Pawłowice. O jego pracy mało wiem. Raz tylko, w drodze powrotnej od dziadka, zanurzyłem się w łąki i zobaczyłem wielkie pole w barwach biało-czerwonych i żółtych – niesamowity widok. Miałem 13 lat. Stałem o kulach jak wryty, w łące po kolana. Poruszony tym pięknem. To wszystko było dziełem pana Defrysa z Holandii.

W południe, czasami na drodze, mijałem się z panią Defrysovą. Elegancka pani. Zadbana. Świeżutka. Mocno umalowana. Nosila natapirowany kok, tzw. ul na głowie, podobny, jaki miała Amy Winhouse. Szła z córką Wandzią, poboczem drogi, ułożonej z polnych kamieni. Dziewczyna była blada. Z piętnem choroby – wiotka. Nie widziałem, żeby okoliczna ludność z nimi rozmawiała, jak to czynią kobiety albo chłopcy. Kłaniałem się pani Defrysovej, która odpowiadała *dzień dobry*, z lekkim zaśpiewem. To znaczyło, że jest nietutejsza. Uśmiechała się. Była pogodna, choć ździebko przygaszona.

W 1968 roku, kiedy wróciłem z sanatorium, dowiedziałem się, że z Pawłowic *przegoniono* pana Defrysa z żoną i dyrektora Wilka

z rodziną. Mówiono, że coś przeszkrobali. Co? – zapytałem grzecznie. Nikt nie umiał mi na to odpowiedzieć. Ktoś mówił, że to byli Żydzi. Więc powiedziałem, że przecież za to nie ma kary. Lud chyba wie, że Pan Jezus jest z Matki Żydówki. Oczywiście, że za to, co powiedziałem, zostałem obsztorcowany przez najbliższych. Pamiętam ich katechezę i wstydę się, choć jestem daleko o spraw, co się dzieją w niebie, czyścicu i piekle. Trzymam się Ziemi, która trzyma sztamę ze Słońcem i Księżycem.

A potem skojarzyłam sobie ich odejście z marcowymi sprawami, które świadczą o nie największych chwilach w historii ludzkości. Próbowałem o tym rozmawiać w szkole. Pani od historii szybko mnie zgasła. Podobnie rzecz się miała z panią od języka polskiego, biologii i geografii.

Mijają lata, a pamięć o nim do mnie powraca wraz z każdym nadejściem wiosny. Kiedy patrzę, jak budzą się tulipany, rozkwitają pączki na drzewach i krzewach, myślę o panu Defrysie, o jego żonie, oraz córce, która zmarła, w czasie, gdy u nas pracował. W chwilach wspomnień cichutko sobie wzdycham, żeby już nigdy nie było tak, że komuś się wręcza bilet w jedną stronę. Żeby nikogo nie wyganiano i nie poniewierano. Żeby nikt stodoły nie podpalił. Żeby już nikt nie musiał w budynkach dworcowych umieszczać pamiątkowej tablicy z napisem: *Tu więcej zostawili po sobie, niż mieli.*

W pracy też o nim myślałem, bo miałem okno z widokiem na ulicę Sienną, na którą, jak się wsłuchasz, usłyszysz, że powietrze płacze. Na tej ulicy zawsze czułem niemy krzyk, widziałem taniec bez ruchu, klęcznie bez zginania kolan (por. Mendel z Warki). Wyjawiam to dopiero teraz, kiedy już nie pracuję w Państwowym Funduszu Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych, bo to się we mnie już uleżało, więc w słowach mogę przebierać.

Minęły lata i jakby czas się cofnął.

W „Gazecie Wyborczej” z 12 grudnia 2012 roku, nr 290 Jacek Pawlicki i Katarzyna Pawłowska-Salińska opublikowali artykuł pt. *Polski cud w Hadze*, w którym zamieszczono kolorowe zdjęcie, opat-

rzony stosownym podpisem: *Pole tulipanów spod Schagerbrugiem. W Holandii Polacy masowo pracują w ogrodnictwie*. Przecieram oczy, bo widzę takie pole tulipanów, jakie było w Pawłowicach za czasów pana Defrysa. Konkretnie, pod Kawęczynem i Raciborami. Dywan kwiatowy. Widziałem go z oddali. Od strony drogi Pawłowickiej, gdy szedłem do dziadka. Czerwone, różowe, białe, żółte. Niesamowite robiły wrażenie. Rosły za horyzontem, gdzie forpoczta widnokresu. Stałem na drodze i patrzyłem, pełen zachwytu i zdumienia. Nieraz mnie kusiło, żeby podejść bliżej, ale brakło odwagi, bo dziadek mnie uczył, żeby do radości się nie zbliżać za blisko. Szkoda. Oczywiście, że były piękniejsze niż w Holandii. Mieniły się bielą, czerwienią, żółcią...

Aha!

W Amsterdamie w kwietniu odbywa się Festiwal Tulipanów, które są symbolem Holandii. Przypomnę, że cebulki tulipanów przywieziono w XVI wieku z imperium osmańskiego i zapanowała tulipomania, o tym można przeczytać w powieści Deborah Moggach *Tulipanowa gorączka*, na podstawie której powstał film.

W swoich zbiorach mam kolorowe zdjęcie od brata Ireneusza, na którym widać czerwony pasek tulipanów, a tuż za nim rozkwitłe drzewa śnieżno-różowe. Na slajdzie jest jak flaga biało-czerwona w szczerym polu. Jakim musiał być patriotą pan Defrys, żeby coś takiego stworzyć i ożywić, i weselić?

Piszę o nim, choć nigdy nie jest za późno na przepraszam. Że jest mi głupio. Za innych.

Historia uczy, że źle się wychodzi, gdy oszczędzamy na prawdzie.

PS

Na moją kwerendę odpowiedziała tylko pani Jolanta Sas. Oto fragmenty z listów:

*Szanowny Panie Mirosławie,
(...)*

Rodzina p. Defrysów. Nazwisko kojarzę, ale trudno mi coś powiedzieć. Na pewno pracował w latach 1960–64. Jednak postaram się znaleźć jakieś informacje. Wiem, że później hodowlą tulipanów zajmował się p. Biderman.

(...)

Serdeczne pozdrowienia dla całej Pana Rodziny i dla Pana zawsze życzliwa Jolanta Sas.

Kopana 8.03.19.

Szanowny Panie Mirosławie,

Serdecznie przepraszam za spóźnione i skąpe informacje o panu Defrysie (nie wiem, czy poprawnie napisałam nazwisko?). Choróbko zmogło mnie na dwa tygodnie: nie wychodziłam z domu.

Kiedy pojechałam do Pawłowic, bo tam mogłam się czegoś dowiedzieć, okazało się, że owszem są osoby, które pamiętają takie nazwisko, ale nic poza tym.

Jedynie pani Milejska wiedziała, że pan Defrys był Holendrem. On pierwszy przywiózł cebulki tulipanów do Pawłowic i założył ich hodowlę, która później bardzo się rozwinęła.

Tak jak Pan sugerował, miał córkę Wandę. Podobno była osobą niepełnosprawną, ale to nic pewnego. Żona pana Defrysa w Pawłowicach nie pracowała. Początkowo pan Defrys wynajmował mieszkanie u pana Grzeszkiewicza, później zamieszkał obok w pałacu p. Leszczyńskich. Były to lata sześćdziesiąte.

Tyle tych skromnych wiadomości.

Serdecznie pozdrawiam Pana i całą Rodzinę

Z poważaniem Jolanta Sas

Kopana, 29.03.19 r.

Apolonia Dorocińska (28 IX 1924–30 VII 1985)

Apolonia Dorocińska (z d. Kowalska), mówili na nią „Polunia”. Mieszkała za torami wąskotorowymi w Pawłowicach koło Tarczyna.

Przy szosie z tzw. kocimi łbami. Naprzeciw sklepu Gminnej Spółdzielni. W domku pomalowanym na biało, z komórką i czereśniowym sadem. Z naszego podwórka było widać, jak się krząta. Miała takie nerwowe i zamaszyste ruchy. Jak człowiek, któremu robota w rękach się pali.

To była urodziwa pani. Zadbana. Jej znaki szczególne: włosy czarne, zaczesane w koczek. Wzrost średni. Sylwetka zgrabna. Nosła chusteczkę na głowie. Zawsze uśmiechnięta. Powiedzmy, jak Cyganka, choć nie ubierała się tak kolorowo. Na pewno mogła się podobać mężczyznom. Pamiętam jeszcze ją jako dziecko, gdy w jej domu był dziadek z siwą brodą, jak Dziadek Mróz, co prowadził sklep spożywczy. Siedział za ladą. Częstoował nas landrynkami i ciulkierkami w szeleszczących papierkach. Samotnie wychowywała córkę Elę i syna Jurka, który nieraz z lasu powracał z wroną albo gawronem pod pachą. Taki był z niego spryciarz. Do tej pory nie wiem, w jaki sposób potrafił złapać ptaka. Jurek niósł ptaszysko, żeby się przed mamą pochwalić, a potem go wypuszczał. Był takim żartownisiem. Ancymonem, co wiedział jak srebrno w złoto przelać. Słowem, gracz, co rozdawał znaczne karty.

Pani Pola pracowała w ogródku. W lekkim neglizżu. Sama rwała na drabinie czereśnie. Radziła sobie w życiu bez mężczyzny. Moja matka z nią rozmawiała, gdy czekaliśmy na stacji na pociąg wąskotorowy do Piaseczna. Z panią Apolonią nigdy nie prowadziłem konwersacji, poza grzecznościowym dzień dobry. Szkoda, bo zapewne inaczej wyglądałoby to wspomnienie.

Gdy byłem już młodzieńcem, to dowiedziałem się, że zamieszkał u niej pewien starszy pan malarz, który pacykował obrazy, jakie nie powinny oglądać dzieci. Tak głosiła wieść po wsi. Czasami mnie kusilo, żeby się wprosić i zobaczyć *sztukę zwaną naiwną*. Na własne oczy, żeby nie wierzyć w to, co ludzie gadają. Było to w czasach, gdy już drukowałem wiersze w ogólnopolskich gazetach. Ku przerażeniu rodziców. Wrodzona nieśmiałość dała o sobie znać i dlatego nie wiem, co się działo pod jego dachem, pokrytym papą i lepikiem,

co latem się smażył. Nie mam zdania o obrazach, które bulwersowały ludzi ze wsi i tych, co leżeli pod sklepem, na glebie albo w zmiętych trawach bądź pod akacjami nieopodal drewnianego krzyża.

Po jej śmierci sprzedano to wszystko, w którym było jeszcze tak niedawno tyle życia.

Ilekróć o niej myślę, to widzę, jak wspina się po drabinie po soczyste czereśnie. I co rusz krzyczy, żeby wypłoszyć szpaki, które czekają, kiedy się zagapi. Latem stoi w redlinach i kopie kartofle, piele ogródek. Na miedzę wyrzuca chwasty i perz, i kamienie. A gdy gdzie pociąg, to chowa się w krzaki. Imponuje mi taka dyskrecja. Z komina jej domu snuje się smużka dymu.

Tyle zapamiętałem z oddali. Więcej o niej na pewno miałyby do powiedzenia moja matka, która zawsze o niej mówiła „Polunia” do ojca. Czasami głośniej lub ciszej. Tata nigdy tego nie komentował, więc zbierał ze słów milczenie.

Stanisław Fijałkowski (1 I 1945–29 VIII 1996)

F

Nauczyciel matematyki ze Szkoły Podstawowej im. Wojciecha i Anieli Małżonków Górskich w Pamiętce koło Tarczyna. Krępy, przysadzisty, z czarnymi włosami i grubymi ustami. Uczył matematyki i fizyki. Do Królowej Nauk miał głowę. Widzę go, jak spoziera spode łba i obserwuje uczniów. Niesubordynowanych poucza. Z panem Fijałkowskim miałem tylko kontakt na lekcji matematyki. I to wszystko.

Po śmierci pana Kierownika Józefa Chodeckiego, objął po nim schedę. Wyprowadził się z pokoju, co był w suterynie, i rozgościł się w pokojach, gdzie mieszkał Józef Chodecki z małżonką i wnukiem. Jego nominację przyjąłem spokojnie, bo zbiegała się z tym, że ukończyłem szkołę podstawową i do Pamiętki nie było mi po drodze. Już.

Ilekróć stałem na przystanku autobusowym w Pamiętce, to spozierałem na szkołę. Widziałem zza drzew i krzaków, co się dzieje.

Matka opowiadała, że zajął się remontem szkoły. Uważam, że w tym się doskonale realizował.

Początek lata 80. XX wieku, stoję pod wiatą PKS Pamiątka, w alei kasztanowców; za plecami rośnie sad Gadomskiej. Zerkam na szkołę, do której chodziłem z przerwami. Od strony wschodniej stoi traktor kierownika Fijałkowskiego. Myślałem, że śnię. Po chwili przyszła refleksja – może teraz to taka moda albo ekstrawagancja. Nie mogłem zrozumieć, jak można pogodzić pracę na niwie pedagogicznej i w polu? Widocznie można.

*Stanisław Fijałkowski (1945–1996). Wspomnienie,
„Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 27 czerwca 2014
roku.*

Mieczysław Fogg (właśc. Mieczysław Fogiel, 30 V 1901–3 IX 1990)

Piosenkarz śpiewający barytonem lirycznym. Warszawiak.

Starszy pan pomagał nam przejść weselej przez życie i zadumać się nad przemijaniem. Mieszkał przy ul. Koszykowej – *jedna z ulic układu gwiazdzistego śródmieścia* (Kwiryna Handke, *Słownik nazewnictwa Warszawy*, 1998).

Kilka razy go spotkałem, jak szedł ulicą Piękną w stronę Marszałkowskiej. Lata 80. XX wieku. Dzięki temu zachowuję liryczne wspomnienia, choć nigdy z nim nie zamieniłem słowa, bo taki śmiały to nie jestem. Kłaniałem się. (Czapki z głów, gdy idzie ktoś w kapeluszu, jak pan Fogg, mógłbym powiedzieć).

Mój ojciec Czesław, starszy rzemieślnik z warsztatów kolei wąskotorowej w Piasecznie, jak daleko pamięcią sięgnę, powracał do dawnych lat i słuchał jego utworów: *W małym kinie, To ostatnia niedziela, Całuję twoją dłoń, madame, Pieśń o matce, Kiedy znów zakwitną białe bzy, Pierwszy siwy włos, Jesienne róże*. To były szlagiery, z myszką. Płynęły piosenki z płyt winylowych. Tata otwierał na oścież okna, żeby poniosło je dalej przez sady, łąki w trawach obu-

tych w rosę. Śpiew z muzyką przechodził przez warzywnik i kwietnik, i niósł się przez Kopanę do Pawłowic, Wylezina, Racibór, Kawęczyna, oraz Prażmowa. Pieśni w wykonaniu Mieczysława Foggą rozlewały się przez okolicę *Kwitnącej Jabłoni*. Od wiosny do jesieni. Wszystko miało miejsce w sobotę, gdy wybijała szara godzina (*między psem a wilkiem*). I było fajnie, bo mogliśmy sprostować własnym błędom i przy okazji je poprawić.

Innymi słowy, przemijanie – obróbka czasu, tylko w drugą stronę.

Józef Gaczkowski

G

Urodził się w 1954 roku. Józio lubił mówić i mówić. Buzia mu się prawie nie zamykała. Bywał uszczypliwy, zadziorny i skory do śmiechu. Mieszkał w domku w Pawłowicach, przy stawach (dawni mieszkańcy mówili *Cegielnia*). Jego ojciec był kierownikiem w Państwowym Gospodarstwie Rolnym w Pawłowicach koło Tarczyna. Strasznie Józia faworyzował. Nie zauważyłem, żeby miał pęd do nauki. Pamiętam jego siostrę. Lubił motory. Jak jechał, to musiałem schodzić na bok, bo się bałem, żeby mnie nie zawadził. Szalał na tym dwusładzie (MZ EZ, wyprodukowany w Niemieckiej Republice Demokratycznej). Szastał swoim życiem. Urwipołec. Dziś by powiedzieli, że to przez hormony albo ma ADHD. I stała się rzecz straszna, kiedyś tak się rozpędził na MZ, że zginał na miejscu.

Za kilka dni przywieźli go z prosektorium.

Wieczorem poszliśmy z matką, aby oddać ostatnią posługę, bo taki był zwyczaj. (Podczas tzw. pustej nocy ludzie gromadzili się, żeby pożegnać zmarłego. Zapamiętałem krucyfiks, zapalone świece i stół nakryty czystym obrusem jak łąka. Był płacz i przyciszony szloch. I wielki żal, że to już koniec).

Mnóstwo ludzi się zeszło z okolic *Kwitnącej Jabłoni*. Zapłakanych i milczących. Żałowali Józia, który leżał w trumnie, zażółcony, z uśmiechem, który się zaciął. Wcale nie było widać, że uległ kata-

strofie. Modlono się. Stałem. Wszyscy jak jeden zachowywali się tak, jakby w nich zatrzasnęło się pytanie: dlaczego?

Józef Gaczkowski. Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 12–13 października 2013 roku.

Jacek Galicz (1955–2006)

Chodziliśmy do jednej klasy. Szkoła Podstawowa im. Wojciecha i Anieli Małżonków Górskich w Pamiętce koło Tarczyna. Naszą wychowawczynią była pani Helena Dorocińska, która uczyła chemii, fizyki, a jak była potrzeba to prowadziła inne zajęcia (matematyki, technika, plastyka, wychowanie fizyczne). To była młoda nauczycielka. Schludnie ubrana, z przechyłem na elegancję. Jacek był jednym z 26. absolwentów VIII klasy, rok szkolny 1969/1970. Ja nie jestem absolwentem, tylko uczniem. Tak wyszło, niestety.

Jacka dobrze pamiętam, bo chodził w parze z Grzesiem Jakubowskim i Jankiem Rymkiewiczem. Siedział w pierwszej ławce, gdzie były kałamarze, i wyślubione wnąki na obsadkę i ołówek. Dobrze się uczył. Zawsze w I. klasowej trójce. Mieszkał w Rembertowie. Mój szkolny kolega i nic poza tym. Może poza tym był dystans, bo Jacek lubił otaczać się tymi z nieco lepszych domów, a nie z robotniczo-chłopskich. Zapewne wyczuł, że jestem jego przeciwieństwem, bo mnie nie obchodziło skąd kto pochodzi?, z jakiego pola?, z jakiego sadu?, czy ma Anioła Stróża?, czy żyje na własny rachunek?

On był z Rembertowa, zaś ja z Kopanej, która przed wojną była zarejestrowana pod nazwą hipotetyczną *Szczera Wieś*.

Zamykam powieki i widzę, jak prymusi idą w stronę szkolnego boiska, objętego czereśniami *pamiątkowskimi* i lasem mieszanym, i ożywieni dyskutują o czymś. W tym czasie siedzę przy oknie w klasie. Jak mizantrop. Topię w szkolnych oknach zapatrzenie i rozmyślam.

Janek–Grześ–Jacek trójca klasowa. Wzór do naśladowania.

Jedyne pocieszenie to, że czasami mnie z nimi porównywano,

choć mam duże wątpliwości, czy tego nie robiono, żeby dodać mi śmiałości. Byłem tym czwartym, podobno jest to najgorsze miejsce na podium. Sportowe zapędy, to nie mój styl, niestety.

O jego śmierci dowiedziałem się z kondolencji dla jego żony, jakie ukazały się „Gazecie Wyborczej Stołecznej” z 20 lipca 2006 roku. (Tajemnicza śmierć).

Po ukończeniu szkoły, nigdy już go nie spotkałem. Wiem tyle, że wyprowadził się z Rembertowa, gdzie miał duży dom, wielki sad i mały apetyt na życie. Aż w końcu przestały mu smakować ziemskie pokarmy i... urwał się węzeł życia. Jacka, żal.

Jacek Galicz (1955–2006). Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 24–26 grudnia 2013 roku.

Inż. Adam Gertsmann

W 2017 roku odszedł inż. Adam Gertsmann, zasłużony kolejarz, ostatni dyrektor wąskotorowych Kolei Dojazdowych PKP. Miał 73 lata.

Absolwent Technikum Kolejowego w Warszawie, Wydziału Samochodów i Maszyn Roboczych Politechniki Warszawskiej, a także studiów podyplomowych Organizacja i Marketing w Transporcie Kolejowym na Wydziale Transportu Politechniki Warszawskiej. W służbie na kolei od lipca 1964 roku. Zastępca naczelnika, a następnie naczelnik Lokomotywowni I Klasy Kolei Dojazdowej Piaseczno, pełniący obowiązki kierownika grójeckiej kolei wąskotorowej. Był zastępcą naczelnika, a potem naczelnikiem w Zarządzie Kolei Dojazdowych w Centralnej Dyrekcji Okręgowej Kolei Państwowych w Warszawie. Wykładowca, nauczyciel i egzaminator wielu pokoleń maszynistów i kolejarzy. Podobno o lokomotywach parowych wszystko wiedział. Nie ukrywał tego, że jako młody chłopak sypał węgiel do paleniska parowozu, więc wie, kiedy puszcza się parę w gwizdek. Przez długie lata był szefem Sekcji Technicznej Muzeum Kolejnictwa w Warszawie. Spec o kolei z prześwitem wąskich

lub szerokich torów. Bronił kolejarzy, którzy nie mają najlepszej reputacji, bo pociągi wydłużają czas przejazdu i spóźniają się. Uczulał mal-kontentów, że *pogląd o tym, że kolej była punktualna wziął się z tego, że przed wojną mało kto miał zegarek, a przejeżdżające pociągi wyznaczały poniekąd porę dnia. Sam tego doświadczyłem, będąc dzieckiem.*

Dawał przykład, że przysłowie *nie ma to jak kolejarzom, nic nie robią tylko łażą*, mija się z prawdą.

Aniela Górska (1858–1918)

Ilekróć patrzyłem na zdjęcie Anieli Górskiej, małżonki Wojciecha Górskiego, jakie wisiało w sali na I piętrze w Szkole Podstawowej im. Wojciecha i Anieli Małżonków Górskich w Pamiętce koło Tarczyna, to zauważałem dziwny smutek, który ją otulał. Jej śmierć była jak zagadka, wbita w tajemnicę. Opowiadano, że naszego fundatora i dobrodzieja los doświadczał. Że po ciężkiej chorobie odeszła żona Aniela. A wcześniej w wodach Bałtyku utonął syn, student. W czasie wojny stracił w Rosji najmłodszą córkę, która osierociła mu wnuka. Zmarł najstarszy syn. Pochował drugą córkę. Te opowieści nasunęły mi po latach do tego, że palnąłem głupstwo i napisałem spacją (czyli wałnąłem w płot): Być może te kłopoty uskrzydliły Wojciecha Górskiego do podejmowania działań na niwie pedagogicznej. Oczywiście, że cierpienia i ból nie uskrzydla. Wręcz przeciwnie! Trauma zawsze dobija, a nie uwzniośla. Potem przyszło opamiętanie, bo napisałem, że Wojciech Górski 3 stycznia 1925 roku Wojciech Górski skierował do Rady Szkolnej w Grójcu podanie: *Proszę o pozwolenie na utrzymanie na własny koszt i prowadzenie szkoły rozwojowej, na razie jednoizbowej – imienia mej zmarłej małżonki, śp. Anieli, w miejscowości nazwanej hipotetycznie «Pamiętką», stanowiącą część kolonii Ksawerów nr 1, położonej w powiecie grójec-kim, gmina Konie.*

Otwarcie szkoły nastąpiło 10 października 1925 roku. W ten oto szlachetny sposób Wojciech Górski czczył pamięć swej towarzyszki

życia, Anieli ze Skrzypińskich Górskiej, zmarłej w 1918 roku. Górski wznosił ten pomnik na własny koszt w miejscowości Kopana (obecnie szkoła należy do Pamiątki, co leży między Tarczynem a Grójcem, przy trasie E77).

Był to dar syna ziemi grójeckiej dla okolicznej ludności wiejskiej. Koszt jej utrzymania ponosił sam fundator.

Górski co rusz pozbywał się placów ziemi, które nabył, a potem je odcinał i sprzedawał, bo szkoła w Pamiątce pochłaniała coraz więcej funduszy.

– Jak umarła Aniela? – zapytałem dr. Władysława Horsta, historyka, archiwistę.

– Mówili, że to było samobójstwo. Wiadomo, że śmierć syna Bogdana ukrywano przed nią – odparł mój krajan ze wsi Kopana.

I zapanowało między nami milczenie, które waży wszystkie słowa.

Sprawę trzeba odłożyć *ad acta*, ponieważ nie można tego załatwić.

Było.

Minęło.

Została sympatyczna Pamiątka, gdzie wiszą portrety małżonków Górskich.

W XXI wieku na tabliczkach wypisano, że to Zespół Szkół Publiczna Szkoła Podstawowa, Publiczne Gimnazjum im. Wojciecha Górskiego w Pamiątce koło Tarczyna, ul. Anieli i Wojciecha Górskich 3. Że szkołę otwarta od 1925 roku, gmach wybudowano w latach 1927–28.

Nauczyciele robią wszystko, żeby młodzieży przypominać Zaczynnych Małżonków, bo w Polsce różnie bywa z pamięcią. Podobno tak jest na całym świecie, ale to nie wymówka, żeby omijać prawdę, co jest nieprzyjemna.

Aniela Górska (1858–1918). Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 8–9 września 2018 roku.

Wojciech Górski (23 IV 1849–11 II 1935)

Wojciech Górski we *Wspomnieniach* pisał: *Urodziłem się we wsi Lekarzycie, ziemi grójeckiej, z rodziny ziemiańskiej, z ojca Leonarda Antoniego i Magdy Magdaleny z Burskich. Po ukończeniu dziesięciu lat złożyłem egzamin do klasy pierwszej gimnazjum w Warszawie, o kierunku humanistycznym. Gimnazjum ukończyłem na Nowolipkach w roku 1867, w ostatnim roku istnienia reformy Wielopolskiego i wykładów w języku polskim. Bezpośrednio po ukończeniu szkoły średniej wstąpiłem do Szkoły Głównej otwartej przez Wielopolskiego, ukończyłem ją w roku 1872 ze stopniem kandydata nauk fizyko-matematycznych, otrzymując świadectwo «wyższego domowego nauczyciela». Był to również ostatni rok wykładów po polsku po przemianowaniu Szkoły Głównej na uniwersytet rosyjski w roku 1869.*

Jestem wychowawcą szkół Wielopolskiego i tym się szczycę, epoki porywu ducha narodowego młodych w roku 1863 i załamania się starszych po upadku powstania. Przegrawszy na polu walki orężnej, postanowiliśmy zwyciężyć na polu nauki, sztuki, kultury i dobrobytu. Dzisiejszemu społeczeństwu brak tego hartu, tej ambicji zawdzięczenia samemu sobie zdobycia lepszego losu, za dużo ono żąda od państwa, żyjąc nieraz ponad stan, za mało usiłując być jak najwięcej użytecznym społeczeństwu.

Po skończeniu Szkoły Głównej rozpocząłem dawanie lekcji w szkołach i domach prywatnych. W następnym roku położenie moje polepszyło się: były mój rektor August Szmurło, usunięty ze stanowiska dyrektora gimnazjum rządowego, uzyskał zezwolenie na otwarcie szkoły czteroklasowej i zaangażował mnie na stałego nauczyciela matematyki i inspektora. Na tym stanowisku pracowałem cztery lata.

W roku 1877 otrzymałem pozwolenie na założenie szkoły czteroklasowej realnej na własne imię i otworzyłem ją 29 sierpnia tegoż roku. Po kilku latach odważyłem się na budowę specjalnego gmachu na szkołę, chociaż – oprócz zaufania społeczeństwa w moją prawość i pracowitość – środków pieniężnych nie posiadałem.

Takie to były losy powstania Gimnazjum Męskiego pod wezwaniem św. Wojciecha w Warszawie przy ul. Hortensji 2. Szkoła ta była jego pasją i nadzieją na jutro. Wcześniej los zdążył go boleśnie doświadczyć. Po ciężkiej chorobie odeszła żona Aniela. W wodach Bałtyku utonął syn, student. W czasie wojny stracił w Rosji najmłodszą córkę, która osierociła mu wnuka. Zmarł najstarszy syn. Pochował drugą córkę. Być może te kłopoty uskrzydliły Wojciecha Górskiego do podejmowania działań na niwie pedagogicznej.

Po latach wyraźnie widać, jak myśl Górskiego materializowała się w czynie, a nie odwrotnie.

Nie bez słuszności mówiono o nim: *Romantyk celów i pozytywista środków*.

3 stycznia 1925 r. Wojciech Górski skierował do Rady Szkolnej w Grójcu podanie: *Proszę o pozwolenie na utrzymanie na własny koszt i prowadzenie szkoły rozwojowej, na razie jednoizbowej – imienia mej zmarłej matzonki, śp. Anieli, w miejscowości nazwanej hipotetycznie «Pamiętka», stanowiącą część kolonii Ksawerów nr 1, położonej w powiecie grójeckim, gmina Konie*.

Otwarcie szkoły nastąpiło 10 października 1925 r. W ten oto szlachetny sposób Wojciech Górski czczył pamięć swej towarzyszkii życia, Anieli ze Skrzypińskich Górskiej (zmarłej w 1918 r.). Wzniósł ten pomnik na własny koszt w miejscowości Kopana (obecnie szkoła należy do Pamiętki nieopodal Tarczyna). Był to dar syna ziemi grójeckiej dla okolicznej ludności wiejskiej. Koszt jej utrzymania ponosił sam fundator.

Na starych fotografiach budynku szkolnego wyraźnie widać, od zachodniej strony, napis pod zegarem: Osiedle szkolne, Pamiętka, Dom Ludowy. Właśnie tu mieściła się biblioteka beletrystyczna i fachowa, fortepian, gramofon, radio. Dodam, gwoli ścisłości kronikarskiej, że nauka w szkole była bezpłatna, koszt jej utrzymania pokrywany był z budżetu Gimnazjum Górskiego w Warszawie. Do tradycji należało to, że w Pamiętce spotykali się uczniowie Gimnazjum św. Wojciecha w Warszawie z młodzieżą wiejską. Ba!

Najzdolniejsi podopieczni z Pamiątki mieli szansę – dzięki stypendium – uczenia się w Warszawie przy ul. Hortensji 2. (Powtarzam to, co przeczytałem. Nie spotkałem wykazu uczniów ze wsi, którzy by dostąpili zaszczytu pobierania nauki w stolicy, jak ludzie z awansu).

Wojciech Górski wiele razy odwiedzał tutejszą szkołę. Zdarzyło się, kiedy Górski zanadto był zmęczony pracą lub przygnębiony troskami, chronił się nieraz na czas choć krótki do Kopanej, majątku zdobytego własną pracą, aby na wsi polskiej, w otoczeniu przyrody, odzyskać równowagę. (Z Warszawy przyjeżdżał koleją wąskotorową. Wsiadał na stacji Warszawa Południowa, a wysiadał na peronie Pawłowice–Kopana).

Pamiętka była tym Czarnolasem na rany życia i niepokoje serca. Tu uśmierzał ból i próbował znaleźć ukojenie.

W 1930 roku dyrektor Górski otworzył w Pamiątce Osiedle Szkolne, mające na celu naukę w terenie (pod gołym niebem) takich przedmiotów, jak przyroda, geografia. Wiejska placówka oświatowa mogła przyjąć jednorazowo 50 uczniów. W miesiącach wakacyjnych w jej gmachu prowadzone były kolonie dla mniej zamożnych uczniów. Na jej terenie odbywały się ćwiczenia przysposobienia wojskowego oraz pierwszy obóz harcerski drużyny im. Hetmana Stanisława Żółkiewskiego.

Z okazji 50-lecia gimnazjum Wojciech Górski powiedział do młodzieży: – *Rozpoczynając pracę przed 62 laty, nie mogłem poświęcić się zawodowi rolnika, o którym marzyłem jako syn ziemianina. Pracy pedagogicznej oddałem się z młodzieńczym zapałem, a przekonawszy się, jak doniosłe zadanie mogła spełniać w owych czasach szkoła prywatna, ratując młodzież wypędzoną ze szkół rządowych – zawód pedagoga polubiłem, nawet pokochałem. Dziś mogę o sobie powiedzieć, że nie mając w sobie odpowiednich danych, nie jestem pedagogiem z powołania, lecz z umiłowania młodzieży i samego zawodu.*

Do ostatnich dni swego żywota był wierny obranej drodze życia.

Kiedy poczuł, że siły go opuszczają, kazał wstawić łóżko do gabinetu. Nie pozwalał, by w czasie przerw zamykano drzwi do jego pokoju: – *Nie zamykajcie drzwi, niech jeszcze posłucham hałasu młodzieży, bo dla pedagoga to najpiękniejsza muzyka.* Były to ostatnie słowa starego i zacnego pedagoga. Zmarł 11 lutego 1935 r.

W roku szkolnym 1941/1942 do Pamiątki przywieziono brązowe popiersie Wojciecha Górskiego, które uprzednio znajdowało się w gimnazjum. Na jego miejsce wstawiono gipsową kopię.

Szkołę poznaje się po uczniach. Tak jak drzewo po owocach. W przypadku Gimnazjum Wojciecha Górskiego te kilka nazwisk jest komentarzem samym w sobie: ksiądz Stefan kardynał Wyszyński, prof. Stanisław Lorentz, prof. Konrad Górski, karykaturzysta Jerzy Szwajcer (*Jotes*), felietonista Stefan Wiechecki (*Wiech*), krytyk Tadeusz Sivert, dziennikarz Karol Małcużyński, reżyser Krzysztof Zanussi i wielu, wielu innych. Życzyć by każdej polskiej szkole takich wizytówek!

*Wojciech Górski. Wspomnienie, „Gazeta Stołeczna”
z 12 czerwca 1997 roku, nr 135.*

Wojciech Górski

Wojciech Górski jest patronem Szkoły Podstawowej w Pamiątce k. Tarczyna, do której uczęszczałem. Budynek to dar – na wieczną pamiątkę syna ziemi grójeckiej. W czasach, gdy jesteśmy ogłupiani przez różne reality show, warto przypomnieć garść myśli zacnego pedagoga. Na odsiecz nigdy nie jest za późno.

*

Naród, który nie umie pracować i oszczędzać, popadnie w niewolę ekonomiczną lub polityczną tego narodu, który te cechy posiada.

*

Nauczyciel sprzedaje to, co ma najcenniejszego, swoje zdrowie, swoje serce, swoje płuca, swoje gardło. Dlatego powinien być możliwie najlepiej wynagradzany.

*

Wiara – źródło miłości Boga i ludzi; busola jedynie pewna w życiu; kto się nią kieruje, nie błądzi nigdy. Praca – źródło dobrobytu – daje największe i trwałe zadowolenie człowiekowi, czyni go odpornym w ciężkich chwilach życia, nie dopuszcza zwątpienia i upadku, uszlachetnia.

*

Gdybym umiał choć cząstkę tego, czego nie umiem, byłbym istotnie niezwykle mądry.

Wojciech Górski (23 IV 1849–11 II 1935). Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 3 lutego 2003 roku, nr 28.

Wojciech Górski

Na 2005 rok przypadają dwie okrągłe daty: 11 lutego br. minęło 70 lat od śmierci Wojciecha Górskiego (23 IV 1849–11 II 1935), zaś 10 października – 80 lat, jak wybudowano szkołę w Pamiątce koło Tarczyna, woj. stołeczne. Przypomnę, że 3 stycznia 1925 roku Wojciech Górski skierował do Rady Szkolnej w Grójcu podanie: *...Proszę o pozwolenie na utrzymanie na własny koszt i prowadzenie szkoły rozwojowej, na razie jednoizbowej – imienia mej zmarłej małżonki śp. Anieli – w miejscowości nazwanej hipotetycznie «Pamiątką», stanowiącej część kolonii Ksawerów nr 1 położonej w powiecie grójeckim, gmina Konie.*

Byłem uczniem Szkoły Powszechnej im. Wojciecha i Anieli Małżonków Górskich w Pamiątce, otwartej od roku 1925.

Zdziwienie przystoi prorokom, filozofom i artystom i tym, którzy lubią przystanąć (niespieszni przechodnie). Zdumiewa mnie w Pamiątce to, że Wojciech Górski tak miał to wszystko poukładane w głowie, jak sztukmistrz. Mierzył siły do zamiarów. W porę przypomniał sobie, skąd się biorą jego korzenie. Gdzie jego sad i pole? Okazało się, że jednak nieszczęście potrzebne jest do szczę-

ścia. Zamiast rozpaczać i rozpamiętywać, podjął decyzję – na pamiętkę, po śmierci żony, wybuduję szkołę dla dziewczyny.

Jaki on musiał być mądry.

Przeraża mnie jego pokora.

Wybudował szkołę, która była na uboczu. Nawet nie na przedmieściach Warszawy. Ponad 40 kilometrów od warszawskiego gimnazjum. Nie lada trzeba było zapału, żeby pojechać do Pamiętki. Zaryzykował.

I pomyśleć, że tylko Pamiętka ocalała z tego, co stworzył. Jak tu nie wierzyć, że w życiu tylko paradoks jest pewny.

Zadziwia mnie ten Wielki Pedagog, który jest zapomniany, niestety. No bo kto sięga do jego pism? Kto rozważa jego pomysły? Kto się pochyla nad tym, co zostawił? Na palcach można policzyć tych, co robią wszystko, żeby pamięć o Wojciechu Górskim nie szczyła.

Zdumiewa mnie Pamiętka. Nie mam do szkoły dystansu. Nie potrafię o szkole pisać bez emocji. Tak na marginesie suchego faktu.

Im jestem starszy, tym bardziej jestem urzeczony szkołą w Pamiętce. Że pod jej dachem uczyłem się zdziwienia, bez którego nie sposób czytać, pisać, rachować i śpiewać. O Pamiętce powinien pisać polonista, w którego duszę zaplątała się historia szkoły w Pamiętce. Ponieważ chwilowo takiego nie ma, więc podjąłem się roboty, żeby choć we fragmencie ocalić. Pisząc alfabet, sprawdzałem po trochu, jak jest z tą moją pamięcią o gmachu szkolnym w Pamiętce.

W Polsce takich Pamiętek jest dużo. To znak, że warto oddalić się od centrum miasta i budować zakłady naukowe w miejscach, o których Jan Kochanowski pisał: *Wsi spokojna, wsi wesola, / Który głos twej chwale zdoła? / Kto twe wczasy, kto pożytki / Może wspomnieć za raz wszystkie? (Pieśń świętojańska o sobótce).*

Tadeusz Hollender (1910–1943) strawestował: *Śpi polska wieś spokojna, polska wieś wesola (Stulecie w: Ludzie i pomniki. Książka z wierszem, Nakładem Księgarni F. Hoesicka, Warszawa 1938).*

Z przyjemnością informuję, że od lat działa Towarzystwo byłych Wychowawców Gimnazjum pod wezw. św. Wojciecha Gór-

skiego dawniej Szkoły Wojciecha Górskiego, 01–910 Warszawa, ul. Lwa Tołstoja 2. Członkowie tego zacnego gremium, w drugą środę miesiąca spotykają się w lokalu Towarzystwa Przyjaciół Warszawy na Starym Mieście o godz. 17 (ul. Nowomiejska 5 m. 1). Towarzystwo jest bardzo prężne i czułe na spuściznę Wojciecha Górskiego. Wydają własnym sumptem *Komunikaty* o tym, co się dzieje z absolwentami i uczniami szkoły. Starsi moi koledzy mają doskonałą pamięć. Podziwiam ich zapał i chęć do podejmowania ciągle nowych inicjatyw, żeby ożywić to, co pozostawił w testamencie zacny Wojciech Górski. A więc: *W pracy, wiedzy i miłości bratniej – przyszłość nasza.*

Wojciech Górski (1849-1935). Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 24 października 2005 roku, nr 248.

Wojciech Górski

Byłem uczniem SZKOŁY POWSZECHNEJ IMIENIA WOJCIECHA I ANIELI MAŁŻONKÓW GÓRSKICH W PAMIĄTCE, OTWARTEJ OD ROKU 1925. GMACH WYBUDOWANO W R. 1927–8, jak wryto na zjiesienniałym marmurze. Uczęszczałem do niej z przerwami, tzn. wiosna, lato; póki przy-mrozek i szron nie ściał liści z drzew. Śmigałem z Kopanej koło Tarczyna, ponad kilometr drogi, przez sady, pola. Te strony dawnego powiatu grójeckiego, z poetycka rzecz biorąc, nazwałem okolice *Kwitnącej Jabłoni.*

PAMIĄTKA PIĘĆDZIESIĘCIOLECIA GIMNAZJUM POD WEZWANIEM ŚW. WOJCIECHA ZAŁOŻONEGO W WARSZAWIE 31-VIII-1927 R. PRZEZ WOJCIECHA GÓRSKIEGO – tej treści marmurowa tablica wisi nad wejściem do szkoły. Pod takimi dwiema tablicami ze złotymi wersalikami się uczyłem.

Wojciech Górski, surowy nauczyciel o gołęmbim sercu, pozostawił wiele pism, do których się nie sięga.

Ku pamięci zrobiłem mini wybór myśli Wojciecha Górskiego, o którym mawiano *Romantyk celów i pozytywista środków*.

*

Ktoś może zapytać, czemu zawdzięczam powodzenie. Odpowiem – młodości, inicjatywie, i wytrwałej pracy dla umiłowania sprawy. Wszyscy bowiem wymienieni przełożeni byli ludzie starzy, zmęczeni życiem, zrosli z rutyną – nieprzyjaciółką postępu. Stąd wniosek – przed młodymi pedagogami przyszłość.

*

Nie przypuszczam, aby młodzież wychowywana przeze mnie, pomimo pewnej surowości wymagań z mej strony, nie odczuła w mym życiu miłości do niej.

*

Nauczyciel sprzedaje to, co ma najcenniejszego, swoje zdrowie, swoje serce, swoje płuca, swoje gardło. Dlatego powinien być możliwie najlepiej wynagradzany.

*

Że praca nie zabija, a raczej siły dodaje, że jest błogosławieństwem, a nie przekleństwem, że nie tylko daje dobrobyt, podnosi poczucie godności osobistej, zapewnia szacunek u ludzi lecz, co najważniejsze, jest niezawodnym lekarstwem w ciężkich przeżyciach – stwierdziłem to na sobie.

*

Wybór zawodu jest rzeczą ważną, lecz wybór przyszłej towarzyszkii życia jest jeszcze ważniejszy, gdyż błąd popełniony jest jeszcze groźniejszy, bo najczęściej nie może być naprawiony bez krzywdy dla drugich, częstokroć drogich sercu naszemu osób. (...) Pamiętaj, że nie masz prawa żądać od swej ukochanej, czego jej sam ofiarować nie możesz. Jeśli chcesz, by twa oblubienica weszła w twój dom z czystym sercem i nieskazitelną wyobraźnią, zachowaj swe serce i myśl swoją w nieskalanej czystości. To nie frazes – to zasadniczy warunek miłości w rodzinie.

*

Dwóch rzeczy nie cierpię: śpieszyć się i gniewać, a taki jest mój los, że przez całe życie muszę to robić.

*

Gdybym umiał choć cząstkę tego, czego nie umiem, byłbym istotnie mądry.

*

Naród, który nie umie pracować i oszczędzać – popadnie w niewolę ekonomiczną lub polityczną tego narodu, który te cechy posiada.

*

Rozpoczynając pracę przed 62 laty, nie mogłem poświęcić się zawodowi rolnika, o którym marzyłem jako syn ziemianina. Pracy pedagogicznej oddałem się z młodzieńczym zapałem, a przekonawszy się, jak doniosłe zadanie mogła spełniać w owych czasach szkoła prywatna, ratując młodzież wypędzoną ze szkół rządowych - zawód pedagoga polubiłem, nawet pokochałem. Dziś mogę o sobie powiedzieć, że nie mając w sobie odpowiednich danych, nie jestem pedagogiem z powołania, lecz z umiłowania młodzieży, i samego zawodu.

*

Obowiązkiem każdego jest pamiętać, że wcześniej czy później musi się rozstać z tym, co jest jego własnością moralną czy materialną, co ukochał, z czym się żył, czemu życie poświęcił.

Pamięć o tej konieczności zniewala człowieka do zabezpieczenia przyszłości swemu umiłowaniu, bez względu na to, czy to będzie dziecko czy idea, instytucja czy jakiekolwiek posiadanie będące owocem jego pracy, mozołu życia, jeżeli życie to miało treść, a nie było bezmyślnym sobkowskim bytowaniem pozbawionym wszelkiego ideału. Tym się tłumaczy troska rodziców o przyszłe losy swoich dzieci, autorów o swoje dzieła, myśli i idee zawarte w książkach, pomnikach, obrazach.

*

Dziś głos mój nie jest jeszcze słyszalny, lecz przyjdzie czas, że przyszłe pokolenia przypomną go sobie i wydobędą z lamusa.

Gwoli ścisłości przypomnę, że działa Towarzystwa byłych Wychowalców Gimnazjum pod wezwaniem św. Wojciecha dawniej Szkoły Wojciecha Górskiego, które wydaje *KOMUNIKATY* z logo kepi (uczniowska czapka szkoły Górskiego). Na obustronnej kartce

komputeropisu, format A4, zamieszcza się teksty świetnie zredagowane i napisane taką polszczyzną, że to chce się czytać. Redaktorem prowadzącym jest mój starszy kolega, pan Wojciech Brański, prezes Zarządu Towarzystwa. Zainteresowanym podaję dane kontaktowe: LX Liceum im. Wojciecha Górskiego, 01-910 Warszawa, ul. Tołstoja 2, e-mail: lxlo@interia.pl, Szkoła Podstawowa w Pamiątce, kod 05-555, poczta Tarczyn, e-mail: sp.pamiatka@neostrada.pl

Aha!

W szkole w Pamiątce jest jeszcze 3. marmurowa tablica, na której wyryto wersalikiem słowa syna ziemi grójeckiej, Wojciecha Górskiego: W PRACY WIEDZY I MIŁOŚCI BRATNIEJ PRZYSZŁOŚĆ NASZA.

Mądry to był człowiek ten pan Wojciech Górski. Nie dość, że wybudował szkołę, to miał szczęśliwą rękę; niemym świadkiem placówka edukacyjna w Pamiątce, po prawej stronie trasy E7, jak jedzie się do Grójca albo po lewej, gdy zdążamy do Warszawy.

Wojciech Górski (23.IV.1849–11.II.1935). Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 21 września 2010 roku;

Wojciech Górski (23 IV 1849–11 II 1935). Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 17 listopada 2011 roku.

Wojciech Górski

Wielki pedagog i reformator szkolnictwa. Gimnazjum Górskiego przy ulicy Hortensja 2, to było coś więcej niż placówka oświatowa. Zapominalskim przypominam, że Szkoła Górskiego była 1. szkołą w Warszawie z językiem polskiego. Do niej uczęszczała młodzież różnych wyznań. W czasie powstania warszawskiego obiekt uległ zniszczeniu i nikomu nie przyszło do głowy po 2. wojnie światowej, żeby go wskrziesić z gruzu i popiołów. Za poetą mogę napisać, że ówczesny *Świat poszedł swoją drogą* (Adam Asnyk). Po-

zostały li tylko wspomnienia o dawnej szkole i budynek szkoły podstawowej im. Anieli i Wojciecha Małżonków Górskich w Pamiętce koło Tarczyna, woj. stołeczne.

Zamiast dalej snuć komentarz, przygotowałem aneks wspomnień o Wojciechu Górskim, czyli wybór cytatów. Może to komuś się jeszcze przyda, bo polskie szkolnictwo (i nie tylko!) nie jest w dobrej kondycji. Czynię to w imię pieśni nauczycielskiej: *A nas tak mało tych co mogą posiadać / Ze swych zapasów szczyptę braciom dać / I choć nie przy nas wszędzie ruń zielona / My róbnmy swoje, my musimy siać.* Szkoła uszlachetnia życie.

Ale wracajmy do zacnego Wojciecha Górskiego, z surowych czarno-białych fotografii. A przecież to był człowiek o wielkim poczuciu taktu i manierach. Nauczyciel-wychowawca. Praktyk i teoretyk. Spolegliwy myśliciel, choć przesiąknięty Ewangelią – dobrze potrafił oszacować i liczyć. Mój kraj od Grójca, z tzw. okolic *Kwitnącej Jabłoni*. Ze wsi Lekarcice. Świadomość takiego ziomka dodaje człowiekowi otuchy, co tu dużo pisać.

*

Powiedział mi kiedyś: «Człowiek zupełny powinien mieć trzy rzeczy w porządku: serce, głowę i kieszeń. Tę ostatnią po to, żeby mógł spełniać, co nakazuje serce i rozum (...)» (Edmund Jankowski, *Ze wspomnień o ś.p. Wojciechu Górskim.*, „Kurier Warszawski” z 16 lutego 1935 roku).

*

„(...) *«Są cztery gatunki przemówień»* – pouczał młodego nauczyciela, który miał z okazji jakiejś uroczystości przemawiać do uczniów. – *Gatunek pierwszy, najlepszy – krótko i z sensem; gatunek drugi – mniejsza o sens, byle krótko; gatunek trzeci – z sensem, ale długo; wreszcie gatunek czwarty, najgorszy – długo i bez sensu.*

Potem, uśmiechając się dobrotliwie do speszzonego nauczyciela, dodał: – *Oczywiście, będzie najlepiej, jeżeli uda się panu wygłosić przemówienie gatunku pierwszego, ale najbardziej przestrzegam przed dwoma ostatnimi gatunkami. (...).*

Gdy któregoś dnia jeden z nauczycieli w rozmowie z Górskim na tematy pedagogiczne wyraził zachwyt dla wiedzy, dyrektor powiedział. – *Gdybym umiał choć cząstkę tego, czego nie umiem, byłbym istotnie niezwykle mądry* (Jan Michalski, *Ze wspomnień o Wojciechu Górskim. Ludzie i daty*, „Nowa Szkoła” 1958, nr 7–8).

*

Michał Więckowski (*Dyrektor Górski w oczach dziecka w: Wojciech Górski i jego szkoła...*) wspominał: (...) *Pani Maria Szmalcówna, nauczycielka języka niemieckiego, była bardzo speszona, kiedy dyrektor wezwał ją do swego gabinetu i w obecności dwóch znajdujących się tam akurat nauczycieli zwrócił uwagę na jakieś nieprawidłowości metodyczne w pracy z uczniami. Milcząco wysłuchała uwag, nie broniła się. Wydawało się, że sprawa zakończona.*

Rada Pedagogiczna Szkoły Górskiego, w której uczestniczyli nauczyciele i wychowawcy od EL_I do 16 semestru była liczna. Wszyscy zebrali się w dużym pokoju nauczycielskim na pierwszym piętrze, przy długim stole czekając na przybycie dyrektora, który zjawił się z punktualnością radiowego sygnału czasu i zajmował miejsce u szczytu stołu.

Wszedł dyrektor, lecz nie usiadł na zwykłym miejscu i zabrał głos stojąc: «Przed kilku dniami zwróciłem koleżance Szmalcównie uwagę na nieprawidłowości metodyczne w jej pracy, a opierałem się na relacji inspektora K. Okazało się, że byłem wprowadzony w błąd. Wobec tego czuję się w obowiązku przeprosić panią Szmalcównę, a ponieważ zwróciłem jej uwagę publicznie, w obecności dwóch kolegów, więc przeproszam ją również publicznie w obecności wszystkich państwa». Po tych słowach dyrektor podszedł do młodszej o niego o kilkadziesiąt lat nauczycielki i ze słowami «bardzo przeproszam» pocałował ją w rękę. Dyrektor wrócił na swoje miejsce i rozpoczął sesję Rady Pedagogicznej. (...).

Zamiast pointy roztropny cytat z *Prób* Michela de Montaigne'a – z eseju *O próżności* – *Trzeba rozprzestrzeniać radość, ale ścieśniać, o ile można, smutek.*

Możemy powiedzieć, że szkoła ma atmosferę, póki wytwarza ciśnienie. I spręża uczniów.

PS

Zainteresowanym polecam książkę *Wojciech Górski i jego szkoła*. Praca zbiorowa pod redakcją Jana Lasockiego i Jana Majdeckiego. Ze słowem wstępnym Ks. Prymasa Stefana Kardynała Wyszyńskiego i przedmową prof. Stanisława Lorentza. Okładkę, obwolutę i strony tytułowe projektował Zygmunt Magner, Indeks opracowała Aniela Piorunowa, Biblioteka Syrenki, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1982, ss. 630, Nakład 3000 + 315 egz.

Wojciech Górski (23 IV 1849–11 II 1935). Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 24 września 2018 roku.

Wojciech Górski

Dobro musi być sprytne, inaczej zło go drapnie. Tak sobie nieraz wzdycham, kiedy pochylam się nad spuścizną Wojciecha Górskiego. Pisać, że to był wielki pedagog i myśliciel, to nic nie napisać. W pracach Górskiego nie ma słownych fajferwerków. Pięknostek. Wszystko jest starannie przemyślane. Ziarno odsiano od plew.

Do bezpośredniego przytoczenia wybrałem cytaty dotyczące świąt, bo są takie niecodzienne.

Wojciech Górski w 1910 roku zanotował: *Natóg świętowania. Szkoła dąży do wyleczenia młodzieży z natogu polowania na wszelkiego rodzaju święta, ma jednakże poważne trudności do pokonania, gdyż niektórzy rodzice nie tylko nie przychodzą z pomocą, lecz przeszkadzają, starając się wyzyskać każdą okoliczność w tym celu. Początek i koniec roku szkolnego, ostatnie dni przed, i pierwsze po świętach Bożego Narodzenia i Wielkiejnocy są tradycyjnie lekceważone. Zawczesny rozjazd i spóźniony zjazd uczniów utrudnia normalny bieg życia szkolnego, zmniejsza ilość dni spokojnej, owocnej pracy. Zarząd przeto szkoły prosi rodziców, dla dobra uczącej się młodzieży, o podporządkowanie osobistej wygody lub przyjemności wymaganiom szkoły*

i uchronienie jej na przyszłość od przykrości strofowania młodzieży za nieobowiązkowość (Wiadomości dla Rodziców...).

W 1937 roku w książce pt. *Wspomnienia sześćdziesiąt lat pracy na niwie pedagogicznej*, wydanej na prawach rękopisu, znaleźć można passus o przeżywaniu świąt Bożego Narodzenia w Szkole Wojciecha Górskiego: *Tradycje narodowe dodatnie uważam za czynniki wychowawczo pożądane. Do takich tradycji zaliczam dzielenie się opłatkiem.*

Dzień wigilijny był i jest świętem rodzinnym – na ten dzień zjeżdżali się członkowie rodzin, niejednokrotnie z odległych stron, aby przed wieczerzą wigilijną przełamać się z najbliższymi sercu, złożyć im życzenia i podarki. Przełamanie się opłatkiem było dla zwaśnionych aktem pojednania, zapomnienia uraz, a nawet umorzenia procesów sądowych, do których krewki nasz charakter jest tak skłonny.

Ponieważ fundamentem naszej szkoły jest praca, wiedza i miłość bratnia, więc ten biały chleb, symbol miłości i przebaczenia odpowiada zarówno tradycji narodowej, jak i naszej szkoły.

Zgodnie z tym założeniem, podczas ostatnich dni lekcyjnych przed feriami Bożego Narodzenia obchodzę wszystkie klasy i po wyjaśnieniu znaczenia tradycji, zastosowanym do wieku uczniów, dzielę się opłatkiem przede wszystkim z profesorem, a następnie w uczniem najmłodszym w klasie, składając w jego ręce życzenia dla całej klasy, w myśl 4-go przykazania, bo miłość rodziców uważam za źródło wszystkich cnót. Życzę więc młodzieży, aby była podporą i pociechą rodziców w starości, chlubą szkoły, siłą i orężem ojczyzny. Następnie uczeń dzieli się opłatkiem z kolegami.

Rada Pedagogiczna uchwaliła przed laty nie rozprzedawać tak zwanych cegiełek, ani zbierać składek od uczniów na prośbę różnych instytucji, chociażby na cele najzupełniej zasługujące na poparcie, gdyż to nie tylko nie rozwija w młodzieży poczucia potrzeby ofiarności, lecz przeciwnie – zniechęca, nawet do nauczycieli występujących w przykrych roli kwestarzy. W zamian dyrekcja szkoły przesyła na dany cel pewien zasitek w miarę możliwości.

Raz do roku, w dniu dzielenia się opłatkiem, jako w dniu miłości i radości widniejącej w oczach dziatwy, odstępuję od tej reguły. Zwracam uwagę młodzieży, że są dzieci, które nigdy nie widziały i nigdy nie będą widziały bożego drzewka z jarzącymi się świeczkami, ozdobami i podarunkami, bo są niewidome od urodzenia. Zachęcam więc do rzucenia zbywającego grosika do puszki przez współczucie dla tych naj-nieszczęśliwszych, wychowujących się w Laskach pod Warszawą pod opieką siostr miłosierdzia (...) (Tradycje narodowe).

Wojciech Górski – człowiek z wielką klasą. Coś o tym wiem, bo byłem uczniem Szkoły Podstawowej im. Wojciecha i Anieli Małżonków Górskich w Pamiętce koło Tarczyna. Dzielę się tym, co pozostawił w spuściznie mój ziomek spod Grójca. Dobrze jest coś wiedzieć o tych, którzy nie zapomnieli, skąd wyszli w świat.

Wojciech Górski

Czarno-białe fotografie pedagoga z *kłaczystą bródką* (Antoni Małkowski, *Maria*). Długą, czarną, a na starość siwiutką, postrzępioną. Raczej nie pielęgnował owłosienia twarzy; pozwalał rosnąć. Wtedy była taka moda, więc mężczyźni zapuszczali brodę. Niby taki pan Górski surowy, ale to był przecież człowiek o subtelnym dowcipie. Andrzej Horst, ilekroć mnie odwiedza, to wita: *Mirek, wyglądasz jak Górski*. A ja na to – bez przesady, uczony kolego! Bródkę kozią zapuściłem, bo przewróciłem się i chciałem zakamuflować siniak i tak już zostało. Hoduję ją, żeby było widać, jak zszedłem a dziady. Na pamiętkę przysłowia: *Nie ma kozła bez brody i jarmarku bez złodziei*. Tłumacząc, że Wojciech Górski miał średnią bródkę i wąs, której mogliby mu pozazdrościć hipsterzy i celebryci. Oczywiście, że żartują, bo to nie ta półka i nie ta klasa!

W albumie *Tacy byliśmy jeszcze wczoraj... Ziemia Tarczyńska na starej fotografii* (Wybór zdjęć, redakcja i przygotowanie do druku: Alfred Kohn. Wydawca: Gminny Ośrodek Kultury w Tarczynie, Tarczyn 2012) na stronie 18. zamieszczono zdjęcie: *Pamiętka, lata*

30. *Prace polowe uczniów i nauczycieli ze szkoły w Pamiętce. Pierwszy od prawej Wojciech Górski – fundator Szkoły.* Dzieci sadzą, grabią. W tle są krzaki i drzewa. Nie wiem, czy to są letnie, czy jesienne prace? Z pola tego nie potrafię odczytać. Na jakim pracują zagonie? Też nie wiem. Zapewne w Księżowoli, co była za miedzą. Dzieci jak to dzieci. Gracują, kopią, grabią, dziewczynka podlewa konewką. Z nimi są osoby starsze. Na następnej stronie albumu jest fotografia szkoły. Stary solidny budynek, co stanął w szczerym polu Pamiętki. Ogrodzony, żeby nieproszony gość nie wszedł i nie narobił szkody.

Czarno-białe zdjęcie. Nie napisano, gdzie jest to pole. Może to jest ta ziemia, jaką na mapach kartograficznych zaznaczono *Pamiętka Księżowolska* albo *Grunta folwarku Księżowolskiego*? Uchwyciono jak dzieci pomagają dorosłym sadzić, nie wiadomo, czy to są buraki czy...? Sadzonki podlewają, żeby ziemia mogła je objąć. Są wśród nich starsze osoby. Po prawej stronie, w kapeluszu, z bródką stoi *szczupakowaty* Wojciech Górski w garniturze. Nie wiadomo, jaki był powód, że zatrzymał się w szczerym polu, w słoneczny dzień. W takim stroju nie chodzi się do pracy na roli. Starszy pan wygląda jak chucherko. Taka chudzinka z siwiuteńką bródką. Kobiety mają chustę na głowie, zaś mężczyźni czapkę. Dziewczynki i starsi podlewają świeżo wsadzone roślinki (może to są buraki?). Widać blaszane konewki. Uczniowie gracują ziemię. Spulchniają. W tle ściana krzewów i lasu. Wszyscy są zajęci i zaferowani pracą. Nikt do góry nie spoziera. Mają wzrok wbity w ziemię. Pan fotograf zrobił zdjęcie z ukrycia. Nikt nie drgnął, gdy nacisnął na guziczek i słysząc było trzask, jakby ktoś złamał uschnięty patyczek.

Tradycja prac w polu była zawsze w szkole w Pamiętce. W *Kronice szkoły*, jaką zaprowadził ówczesny kierownik Szkoły Józef Chodecki, znaleźć można dwa passusy, które powtórzę ku pamięci.

Pierwszy: (...) *Dzieci w czynie zebrały dużo kamienia polnego do budowy chodnika, a Rodzice mają zakupić cement, żwir – ma się ułożyć chodnik do szkoły i do ustępów (i przy szkole).* (5 V 1966 r.)

Drugi: (...) *Pomagaliśmy miejscowemu PGR [w Księżowoli] w ramach pomocy sąsiedzkiej – 4 dni przy rwaniu buraków i zbieraniu jabłek. (...) (14 XI 1968 r.)*

Pamiętam, jak uczniowie szli do szkółki drzewek owocowych, żeby pomagać rwać listki. I nikt nie żalił się, że musi się schylać nad ziemią. Piszę o tym, żeby nie przesadzali z tym, że w PRL-u głupimi siali i sadzili. Niech to będzie na pamiątkę, że w Pamiętce zachowano zdrowy rozsądek. Nawet w czasach, które nie były łatwe do przeżycia.

Wracając do starego zdjęcia, aż się prosi, żeby na koniec przytoczyć fragment hymnu nauczycieli-wychowawców *Musimy siać. (...) Musimy siać, nie wiedząc, w którą stronę / Poniesie wiatr i w ziemię rzuci siew / Nie wiedząc kto i gdzie pozbiera plony / W dożynki czyj radosny zabrzmi śpiew. // (...) A nas tak mało tych co mogą posiąść / Ze swych zapasów szczyptę braciom dać / I choć nie przy nas wszędzie ruń zielona / My róbmy swoje, my musimy siać.*

Siejba – szlachetne słowo z kultury agrarnej, więc zasiewajmy z umiarem, i czekajmy, i nie zapominajmy o tych, którzy robili wszystko, żebyśmy nie musieli być tylko tożsami z sobą.

Że wiatr nie odpowie na nasze pytania, więc trzeba poczekać, co przyniesie czas. Żniw i owocobrania.

Aleksander Grabowski

Dr n. med. Aleksander Grabowski przyjmował w poradni medycznej kolejki wąskotorowej w Grójcu. Kilka razy byłem w małym gabinecie lekarskim. Po jednej stronie była poczekalnia, zaś po drugiej pokój przyjęć z okienkiem, z oknami wychodzącymi na aleję kasztanowców, co prowadzą do Grójca – od południowej strony. Ponieważ nieraz czekałem na niego, więc jestem świadkiem, jak przyjeżdżał czarną *Wołgą Gaz-21*. Słyszałem jak koła skaczą po kocich łbach. Samochód – wielka bryka, zatrzymywał się przed krawężnikiem. Sporo wysiłku kosztowało szpakowatego medyka, żeby mógł wygramolić się, bo był to na pewno lekarz wagi (super) ciężkiej. Eu-

femistycznie rzecz biorąc, łatwiej go było przeskoczyć niż obejść. Miał się więc z czego poprawiać. To tyle jeżeli chodzi o szalę wagi.

Samochód podnosił się i opadał, jak wychodził. Szedł Lelum polelum – jak po mchach, choć to była grójecka trylinka.

Należał do lekarzy, którzy nie zwykli dłużej zajmować się pacjentem. Kazał się rozebrać do pasa, a nie do gaci, opukał, głowicę stetoskopu przykładał do ciała, zajrzał w gardło, wypisał receptę. I do widzenia!

Nie pamiętam, żeby zakładał biały fartuch (o rozmiarze 3XL).

Na biurku leżał przyrząd do osłuchiwania pacjentów, który zakładał tylko podczas badania. Zapamiętałem, że przed badaniem mył ręce w wodzie chlorowanej z środkami antyseptycznymi.

Zatrzymałem w pamięci kilka drobiazgów, bo byłem tylko kilka razy – w ramach ambulatoryjnych wizyt.

Jak wychodziłem na zewnątrz, to zerkałem na jego czarny samochód, wyprodukowany w myśl radzieckiej zasady: *mniej chromu, więcej pięknej linii*. To było auto na miarę dr. Grabowskiego z Grójca, o którym wieść gminna głosi, że to dowcipny gość.

Moja siostra Bożenka opowiadała, że go widziała u naszego sąsiada Daniela Ogrodnego (maszynista z Kopanej). Przyjechał po miód. Zapytałem, czy go z kimś nie pomyliła. Powiedziała, że dr Gabowski jeździł po Grójcu czarną *Wotgą*. Nikt takiego auta nie miał nad Molnicą (struga-rzeka).

Doktor Aleksander Grabowski pozostał w mojej pamięci jako jowialny lekarz starej daty, więc starałem się o nim napisać lekko (w rzeczy mocno, w sposobie łagodnie, a nie na miarę paska, co ścisła w pasie).

Bolesław i Lucyna Grządkowscy

Stryjenka i stryjek, brat mojego dziadka Szczepana. Mieszkali w Pawłowicach koło Tarczyna. (Dzisiaj to jest ulica Wiśniowa). Za torami kolei wąskotorowej. Z naszych okien było widać ich gospodarstwo. Sad zasłaniający drewniany dom, oborę, szopę, stodołę oraz

gołębnik. To byli bardzo niezaradni ludzie. Gospodarstwo doprowadzili do takiej zapaści, że wszystko popadło w biedę. Póki żył mój dziadek, to jeszcze sztachety trzymały się płotu, a furtka kamienia. Mój dziadek stryja golił i strzygł. Doprowadzał go do porządku. Czasami w niedzielę zabierał do kościoła. Można napisać, że był batem, choć dziadek knutem nigdy nie bił konia. Stryjenka, o kabłąkowatym kształcie nóg, stała w ogródku na czatach i gdy tylko mnie zdybała, to opowiadała niestworzone rzeczy, jakie można spotkać na płótnach Witolda Wojtkiewicza, Stanisława Wyspiańskiego, Jacka Malczewskiego albo w wierszach Bolesława Leśmiana lub Emila Zegadłowicza. Mówiła o zdradach sprzed 2. wojny światowej. Była przeszyta grozą i taka niezyciowa. Wyglądała jakby ją tuman kurzu owinął jako pamiątka po Eliaszu. Narzekwała na stryja, który ledwo, co powłóczył nogami, w gumowcach. Szedł tak, jakby chlupał po bagnie. Nie widziałem w życiu tak nieobrotnego człowieka, który nie potrafił wziąć się w garść. Mieli syna Januszka, który też nie ogarniał życia, więc ludzie brali go na języki. (Wyprzedzę nieco i dodam, że zmarł w lipcu 2019 roku). Oprócz patriarchy po kądzieli, tylko ja ich odwiedzałem. I nie mogłem w tym, co mówili, połapać się. Wszyscy konfabulowali na zawołanie. Stryj, stryjenka i Januszek. Trójca nie do przegadania. Słuchałem i gdy czułem, że łzy zaczynają mi się zbierać, wychodziłem przez zarośnięty sad oraz warzywnik w zielsku, na skuškę, do domu. Stryj czasami obwoził mnie bryczką (biedką), zaprzęgniętą w chudą chabetę. Dwukółka miała jedno koło gumowe, zaś drugie drewniane albo gołą felgę. I ledwo co się gibąca po drodze z kocimi łbami. Jak było pod górkę, to stryj schodził, żeby koniowi ulżyć. Żeby nie stanął. Pocięsznie to wyglądało, jakby śmiech ze łzami wymieszano. (Don Kichote w rynsztunku to była ekstrawagancja).

W czasie żniw stryj kosił zboże, które było trochę wyższe niż trawy. Oczywiście, że kosiarką. Potem kupki zawiązywał powróstem, snopy ustawiał w mendle. O szarej godzinie pomagałem mu zbierać pokłosie ze rżyska. Jego inwentarz zwierzęcy był zagłodzony.

Miał kilka psów na długich łańcuchach, które mieszkały w budach z dziurawym dachem. Stryjo Bolek, jak nikogo nie było, opowiadał mi o wygranych milionach w Totolotka. O warszawskim obozie przy ul. Skaryszewskiej. Posiłał się czerstwym chlebem, który maczał w wodzie, i bajął. Czasami się śmiał z tego, co gadał. Zachęcał mnie do picia herbaty, żebym się wreszcie skusił.

Kiedy zaczął chorować, pogotowie ratunkowe zabrało go do szpitala powiatowego w Grójcu. Była jesień 1974 roku. Na ratunek już było za późno. Pojechałem go odwiedzić. Biedniutki stryjaszek wzruszył się. Miał łzy w łódeczkach powiek. Po raz pierwszy zobaczyłem, że ma obcięte u rąk paznokcie i umyte dłonie. Poszedłem do lekarzy, żeby zapytać o rokowania na przyszłość. Diagnoza była taka, że trzeba się pożegnać. Że złośliwy rak nie odpuszcza.

Zmarł 27 XII 1974 roku.

Żył 67 lat. A wyglądał tak, jakby był starcem-safandulą.

Odeszła stryjenka, po niej stryj. Gospodarstwo popadło w taką ruinę, że nie sposób było zaradzić. W pustej stodole hulał wiatr, przeciągi zawałyły oborę, dach dom przyduśił. Wszystko zdziczało i zagłuszyło

Stryj Bolek całe życie nie wiedział, jak związać początek z końcem. Ale tego już nie da się opisać. A zresztą, po co? Ponieważ nie chciałem to zbyć przypiskiem, rozpisałem się, bo bieda nie dość, że rzuca się w oczy, to na dodatek musi się jeszcze nachodzić. Odwrotnie jest z bogactwem – im kto ma więcej, tym chętniej mu jeszcze dorzuca. (Ekonomia sprawiedliwości).

Od przybytku głowa nie boli, poucza przysłowie. Bieda z biedą, jak się zejda, to robią wielką biedę. Chór górali w *Halce* Stanisława Moniuszki śpiewa: *Człek przed biedą wciąż ucieka.*

Jedyne wyjście, sprytne – zwiąć.

Okazuje się, że łatwiej to zaśpiewać niż dać chodu.

Stanisław Grzesiuk (6 V 1918–21 I 1963)

Pieśniarz-bard, pisarz, z zawodu elektromechanik; autor trylogii autobiograficznej (*Pięć lat kacetu*, *Boso, ale w ostrogach*, *Na marginesie życia*), oraz *Klawo, jadziem!*

Stanisław Grzesiuk wyśpiewywał dla ferajny utwory liryczne. Latami, będąc chory na gruźlicę, leczył nas śpiewem i grą na bandzoli (skrzyżowanie bandzo z mandoliną, zwał ją *drewno*. Ten surogat powstał w obozie koncentracyjnym Mauthausen-Gusen. Pudło rezonansowe wykonano ze spodu od taboretu, powleczonego psią skórą, po wojnie zmieniono na skórę świńską, którą przybito tapicerskimi gwoździakami). Pieśni wykonywał ze specyficznym humorem, na miarę ul. Czerniakowskiej, czyli dolnego Mokotowa.

On wiedział, co to jest fason warszawski: (...) *Wyczuwa się brak specyficznego, ciętego, lecz grzecznego humoru i swoistego warszawskiego fasonu. «Reszty nie trzeba» – a piechotą wróci do domu. «Boso, ale w ostrogach». Forsy nie ma, ale na spotkanie ostatnie pół kilometra przejedzie taksówką. Warszawski fason.*

Był apaszem warszawskim, który grał na bandzo i wyśpiewywał opowieści o grandzie warszawskiej (m.in. *Ballada o Felku Zdankiewiczzu*, *Bal na Gnojnej*, *Nie masz cwaniaka nad warszawiaka*, *Bujaj się Fela* i inne). Uczułał, żeby mieć dla innych *czasu troszkie*, więc dośpiewywał: *Z szacunkiem, bo się może skończyć źle.*

Kiedy mój ojciec Czesław puszczał pocztówki dźwiękowe na adaperze, to bałem się tego słuchać. Co też w tej Warszawie się dzieje? Świerzbią ich ręce i w porywie chwytają za ostre narzędzie. Błysk noża zaciemniał we mnie to, czego się uczyłem o pięknie stolicy Polski, przez którą płynie Wisła do morza.

Było to w Kopanie. Z pokoju, około 40 km od metropolii, dochodził charakterystyczny śpiew, przemyty wódeczką i dymkiem z papierosa bez filtra, i przytępił mój zachwyty. To się niosło spod igły, aż za tory nasypu kolei wąskotorowej tzw. grójeckiej. I za widnokresem przepadło. Jak echo.

Zofia i Szczepan Grzondkowsy*

Mój dziadek miał na imię Szczepan, na nazwisko Grzondkowski, urodził się 20 grudnia 1892 roku, z matki Józefy Frączak. Zmarł 15 lipca 1970 roku w Pawłowicach koło Tarczyna, miał raka. Babcia Zofia, z domu Niewiadomska, urodziła się 24 stycznia 1899 roku, zmarła 3 kwietnia 1979 roku w Lesie Lesznowskim, gdzie żyła na łaskawym chlebie u córki Celiny. Wyszła z domu cioci Celi i Tadeusza Tomeckich na podwórko i upadła.

Pochowani zostali na cmentarzu parafialnym w Rembertowie koło Tarczyna. O ich grób dba moja siostra Bożenka, więc porządek musi być.

Dziadek i babcia nieraz mieli różne zdania, jak to bywa w starym dobrym małżeństwie. Babcia lubiła oddalić się od domu i chodziła po kominkach. Dziadek, jak przystało na milczka, robił w polu i nie szukał pretekstu do rozmowy. Nigdy nie podniósł ręki na babcię, która nieraz tak się zagadała, że zapomniała nie tylko o dziadku, ale i o bożym świecie. Jej ślubny czekał w kuchni przy stole przykrytym ceratą, co ziębi. A jak babcia wchodziła do sieni, to dziadek myk za gazetę i darł ją na drobne kawałki, a potem ścinki wrzucał w gardziel ognia. Babcia się uśmiechała i poklepywała go w tę część, gdzie się kończy szlachetna część pleców.

Mój dziadek był chytry na słowa, za to babcia, jak gazeta, która gada. Dziś by powiedzieli, że była takim *Teleexpresem*. I obydwójce przeżyli to życie, razem. Babcia nadawała, a dziadek milczał, choć

* W księdze parafialnej kościoła pw. św. Jana Chrzciciela w Rembertowie koło Tarczyna zapisani jako Szczepan Grządkowski, Zofia Grządkowska, a po śmierci zmieniono na Zofia i Szczepan Grzondkowsy. A w skróconym odpisie skróconego aktu urodzenia jest Szczepan Grzonkowski, nazwisko i imię ojca Jan Grzonkowski, zawód robotnik, imię i nazwisko rodowe matki Józefa z Fronczyków. (Dokument wydany przez Urząd Stanu Cywilnego w Tarczynie, 17 lipca 1970 roku). Zapewne z błędu ortograficznego wynika niekonsekwencja zapisu nazwiska.

nie do końca, bo czasami się zdenerwował i mówił babci takie komplementy, jak na przykład, że nie zje na kolację zupy mlecznej z kluskami i pójdzie spać głodny! A jednak babci zawsze się udawało udobruchać swojego oblubieńca. I nie było u nich cichych dni i nocy, co śpią w oddzielnych łóżkach albo odwróceniu plecami do siebie. Piszę o tym tak na marginesie, żeby ci, co mnie czytają, wiedzieli, jak drzewiej bywało, kiedy ich jeszcze nie było na świecie. Jak coś się zepsuło, to naprawiano, a nie wyrzucono. Ludzie nie szli do sądu, żeby przeciąć węzeł małżeński.

Innymi słowy, jak coś się zawiąże, to niech śmierć sobie rozwiąże.

Zygmunt Grzondkowski (1934–22 VIII 1991)

Dla mnie to był taki wesoły wujek, który wszystko w żart obracał. Jedyne rodzone brat mojej matki, która miała zawsze słabość do Zymuntka, w przeciwieństwie do mojego ojca. Pamiętam z dzieciństwa, jak jego koszule (białe i niebieskie) schły na żerdziach w przydomowym sadku albo na drewnianym płocie.

Elegancko się nosił. Spodnie w kancik, a buty na glans wypastowane. Ogolony i starannie uczesany, z falą. Babcia i dziadek chuchali na pierworodnego, który z wiekiem sprawiał coraz większe kłopoty.

Byłem na weselu na wujka, który ożenił się córką konduktora kolei wąskotorowej, Wandą Rejniak, z Józefowic pod Tarczynem; obecnie ul. Piaseczyńska. Piłem oranżadę w butelce z porcelanowym kapslem, z sutkiem, na który była wbita gumka. Napój wyprodukowano w Tarczynie.

Rzadko go widywałem. Od wielkiego dzwonu wpadał do nas. Sam. Z pustymi rękami. Jego węzeł małżeński się rozwiązał. I było gorzko, bo sobie nie radził. To było widać, choć starał się trzymać fason. Kopał papieros za papierosem i kasłał. Nie widziałem, żeby pracował w polu albo na łące, albo sadzie. Nie kończył szkół, które zaczynał. Był jak ktoś, kto się dobrze zapowiada. I nie może prze-

skoczyć poprzeczki, bo zawiesił ją za wysoko. Wylądował w Warszawie, gdzie znalazł pracę. Był *złotą rączką*. Po fajrancie dorabiał. Podobno ułożył sobie życie na Powiślu; nie był samotny. Nieraz go spotykałem na placu Trzech Krzyży w robociarskim uniformie. Zmienił się jego głos. Narzekał na zdrowie. Miał zadraski na twarzy. Nieraz chciałem mu postawić piwo, ale unosił się honorem i odmawiał. Oczywiście, że zawsze pytał, co słyhać u siostry i jego szwagra, czyli mojego ojca. Opowiadałem, co piszczy i skrzeczy w okolicach *Kwitnącej Jabłoni*.

Wujek mówił z takim przejęciem, jak dorosłe dziecko. Ostro wypowiadał się o PRL-u. Pamiętam jego ciepłe oczy. Robił miny, jak sympatyczny ancymon. Zachowywał się jak biesiadnik. Ciągłe się spieszył. Jak dezterter. Czasami bywał rzewny, jak człowiek przywalony smutkiem. Miałem wrażenie, że ucieka. Że przez życie pomyka i dźwiga coraz więcej strachu.

I nagle odszedł. Matka zadbała, żeby spoczął na wieki w kwatery nagrobnej rodziców. Po latach wędrówki po Warszawie, pochowaliśmy go na cmentarzu parafialnym w Rembertowie koło Tarczyzna. Był upalny sierpień. Wieko trumny obsiadły muchy. Pod koniec uroczystości żałobnych okazało się, że zabrakło grabarza, który stawia kropkę nad każdym pochówkiem. Ksiądz mimochodem powiedział, że jutro trumnę się zakopie. W ramach upomnienia ewangelicznego przypomniałem, że ciało należy pogrzebać, zgodnie ze sztuką funeralną. Po takim apelu chłopcy na sznurach trumnę spuścili do dołu. A potem chwycili za łopaty. Szybko uwinięto się z robotą. Płytami z lastrico domknięto grób. Kobiety ułożyły wieńce ze wstęgami. Ludzie przeżegnali się i każdy poszedł swoją stroną. Kamień z serca nam spadł. Nie było stypy.

O nim jest tylko jedna wzmianka, że był absolwentem Szkoły Podstawowej im. Wojciecha i Anieli Małżonków Górskich w Pamiątce, rok szkolny 1949–1950, wychowawca Józef Chodecki.

Mój wujek Zygmunt uśmiechem się zaślaniał przed światem.

Człowiek nie kamień, w porę usłyszysz, jak wniebogłosy żyły toczą.

H Henryka i Henryk Horstowie

Byli naszymi sąsiadami w Kopanie, poczta Tarczyn, powiat grójecki. Dwie działki nas dzieliły od ich domu i domku Marty i Franciszka Rylskich. Nieraz do matki przychodziła pani Henryka. Pan Henryk był u nas tylko raz, ale miał takie wejście, że to zapamiętałem. Była zima, 1961 rok. Miałem 7 lat. Nie poszedłem do pierwszej klasy szkoły podstawowej w Pamiętce i strasznie z tego powodu cierpiałem. Czytałem *Elementarz* Mariana Falskiego. I troszeczkę się nudziłem w czterech ścianach. Zgasiłem światło. Siedziałem na lepcie przy kuchni i śledziłem, jak jęczyczki ognia śmigają po suficie i ścianie. I nagle matka weszła ze śpiewem: *Z popielnika na Wojtusia / iskie-reczka mruga: / Choć, choć, bajkę ci opowiem. / Bajka będzie długa.*

Ledwo, co zaczęła, a usłyszeliśmy pukanie do drzwi. W progu stanął Henryk Horst z torbą. Byliśmy zdziwieni. Sąsiad ze skórzanej teczki wyjął ołowiane żołnierzki. *To wytopiłem dla Mirka, żeby miał się czym bawić*, stanowczo powiedział. Jak dowódca. Na ceracie, która ziębi stół, ustawił wojsko: piechotę i konnicę. W pełnym rynsztunku. Z bagnietami i karabinami, wytopionymi z cyny. Z armii aż biło srebro. Kiedy wszystko stało w szeregu, powiedziałem – dziękuję. A pan Horst zakręcił się na pięcie i opuścił naszą ciepłą kuchnię, w której palono drewnem i węglem. Przez sąsiada nie mogłem zasnąć.

Dzięki panu Henrykowi, miałem pół stołu, co stał w kuchni, wojska na koniach i piechotę. Po zęby uzbrojonego w karabiny, granaty, chyba też były armaty. Militarnymi zabawkami bawiłem się do późnej nocy. Poza tym sam się uczyłem. Dzięki znajomemu, zimą poczułem wiosnę i bose lato. Nikt mnie z kolegów nie odwiedzał. (Dopiero na drugi rok poszedłem do I klasy, a moi koledzy byli już II klasie. Czuję się jak uczeń, który nie zdał. Takie to były czasy. Kiedy o tym komuś mówię, to słucha tego, jak opowieści o... żelaznym wilku).

A potem, jak urosłem, to pan Henryk zapraszał mnie, żebym przyszedł z nim oglądać transmisje Wyścigu Pokoju albo mecze piłki nożnej. Traktował mnie jak kolegę-małego kibica. Zachodziłem do

jego pokoju, pełnego dymu, bo palił jak smok. Ledwo co zgasił, a już sięgał po papierosa i zapalki. Sztachał się i kasłał. Krzyczał, bo przeżywał wydarzenia na srebrnym ekranie. I mocno się zaciągał papierosem w szklanej fífce, czarnej jak komin. Pani Henryka wietrzyła pokój, ale nie persadowała, tj. nie suszyła mu głowy. Podobno od młodych lat jarał. Co ja piszę? Kurzył. Wspólnie oglądaliśmy transmisję na maleńkim ekranie, co śnieżył.

Pani Horstowa robiła mi w kubku sok malinowy z wodą, a pan Henryk zapalał kolejnego papierosa i co rusz strzepywał popiół do wielkiej popielniczki. To był postawny pan. Z wąsem. Żyłasty. Nerwowo.

Dopiero po latach dowiedziałem się, że był giserem, odlewał czcionki, żeby zecerzy mogli składać gazety, książki i różne druki ulotne i zwarte. Był w służbie Gutenberga, który *żelaznym językiem oblizał całą literaturę i zginęła w niej intymność rękopisu* (Wasilij W. Rozanow). Pracował w Stołecznej Odlewni Żeliwa w Warszawie.

Nikotyzm doprowadził go do przewlekłej choroby.

Kiedy wylądował w szpitalu w Grójcu, Andrzej, jego najstarszy syn, absolwent historii Uniwersytetu Warszawskiego, przyniósł mu mój debiutancki tomik wierszy *Mieliśmy Białe ściany* (Wydawnictwo „Iskry”, 1977). Książka zginęła. Pocieszałem mojego krajana, że ten, kto ją zakosił, wykazał się nie najgorszym smakiem.

Zmarł 22 listopada 1981 roku, żył 59 lat.

Pani Henryka przeżyła 61 lat, odeszła 3 stycznia 1987 roku.

Obydwoje nie zdążyli się zestarzyć.

Pochowano ich na cmentarzu parafialnym w Rembertowie koło Tarczyna.

O dom, w którym mieszkali, dba ich najmłodszy syn, Janusz. Wszystko w nim gra. Jest zadbany.

Ilekróć o nich myślę, to zawsze powracają do mnie wspomnienia z dzieciństwa, jak bawiłem się odlanymi z ołowiu żołnierzkami, które odeszły, jak konik na biegunach. Albo odjechały, jak elektryczna kolejka na baterijkę.

Miałem fajnych sąsiadów w okolicy *Kwitnące Jabłoni*, więc w ramach długu wdzięczności ich wspominam, bo z wiekiem różnie bywa z radością. Pamięć jest bezcenna, więc wspomnieniami się wpląca. Ale tego nie da się sprawdzić. Bo i jak?

I Władysław Izak

Mieszkał przy stacji w Lesie Lesznowskim, obok Śledziów. Jak szedłem do ciotki Celi i wujka Todka, mijałem ich płot i delikatnie zerkałem. I przypominałem sobie hiobową wieść sprzed lat, że Izaka zabił koń – na śmierć.

Z tego, co słyszałem, było tak: Izak powrócił z pola na Bromionach, dobre ponad 2 kilometry. Konia narowistego wyprzągnął z wozu, zdjął uprząż (chomąto) i zaprowadził do stajni, do koryta. W przetaku przyniósł obrok (sieczenka wymieszana z ziarnem). A zwierzak – ni stąd ni zowąd – docisnął go do żłobu i pogruchotał zebra, i stanęło serce. Mówili, że *pekło*, co jest, oczywiście, przesadą, bo serce to mięsień.

Wcześniej nie popuszczał zwierzakowi, więc pewnie myślał, że konia okiełzna. Że będzie tak jak uparcie postanowił, tj. po chłopsku. I się przeliczył. Pewność i nieuwaga, i zmęczenie kosztowała go życie.

Koń zabił człowieka, zdarzało się, kiedy ktoś podszedł go od tyłu, albo w oborze, gdy zwierzak wyczuł alkohol, to bokiem potrafił docisnąć albo złapać zębami.

Władysław Izak był trzeźwy i styrały, jak człowiek przypisany do ziemi.

Wdowa Franciszka wychowywała czwórkę jego dzieci: Alicję, Danutę, Włodzimierza, Teresę.

Jak ktoś mówił Izak, to przypominał przy okazji śmiertelny wypadek. I ofiarę, jaką złożył Izak, co pracował w pocie czoła. Od wschodu do zachodu słońca. O tej ciężkiej robocie śpiewają lekkie piosenki, oderwane od roli.

O tym, co się stało w Lesie Lesznowskim, po raz pierwszy ukazuje się wzmianka drukiem, choć rzecz miała miejsce w XX wieku. Przypominam o tym, bo nieszczęścia się nie przedawniają.

Walter Edward Jagiełło (1 VIII 1930 w Chicago – 17 VIII 2006 w Miami na Florydzie)

Wszyscy go znali jako Mały Władzio Król Polki. To nie pomyłka. Po angielsku na niego mówili *Lil' Wally The Polka King*. Zupełnie bym zapomniał o nim, choć mój ojciec katował nas od rana jego muzyką, tj. polkami. Nieraz wkładał pocztówki muzyczne na gramofon i rozkręcał potencjometr. Jak to było rano, to wiadomo, jak musiałem się czuć, choć w onych latach słuchałem ostrego rocka. Nie pamiętam już jego piosenek, ale... wiem, że tatuś puszczał *Ja jestem z Chicago...*, *Starą babę*, a może *Puka Jasiu*. Słuchał i nerwowo się poruszał. Mały Władzio grał, że mucha nie siada. Kiedy pytałem o Władzia zyciorys, ojczulek przekrzykiwał i mówił: *nie wiem!!!* Jak Kohelet. Mogę napisać, że Zespół Małego Władzia kołysała nasz dom w Kopanie, poczta Tarczyn, woj. warszawskie.

Po latach dowiedziałem się, że pod tym jego pseudonimem artystycznym ukrywał się Walter Edward Jagiełło. Przeczytałem, że był samoukiem, choć przeczuwałem, że nie zna nut. Grał na concertinie (właściwie bandoneonie) i perkusji. Nagrał 110 płyt. Oczywiście, że podziwiam, bo sam napisałem ponad 150 książek i doskonale wiem, jaki to jest zapieprz. Ja wcale nie żartuję.

I pomyśleć, że wszystko zaczęło się w latach 40. i 50. XX wieku w Chicago, odcinek ulicy West Division (między Ashland i Western) zwano Polskim Broadwayem. W ponad 50 klubach grano polkę, goście bawili się do białego rana. Pomimo, że Walter Jagiełło był Amerykaninem, to grał i śpiewał po polsku. Swą pierwszą polkę nagrał w 1954 roku. Polkę całe życia udoskonalał i przyspieszał (*Polish Polka Twist*).

W 1984 roku przyjął go na audiencji Jan Paweł II, dla którego skomponował *God Bless Our Polish Pope*. Jego zespół liczył 6 osób,

koncertował tam, gdzie popadło: w klubach, tawernach. Wykonywał głównie szybkie polki, choć w swym repertuarze miał też wolniejsze. Polki galopki tłuł aż do śmierci.

Ilekoć słyszę dwa słowa: Mały Władzio, to przychodzi ranna pobudka, którą urządzał nam mój ojciec, który był o 6 miesięcy starszy od Małego Władzia z Chicago. I potrafił grać na harmonii. W błędzie będzie ten, kto w tym miejscu zapyta: gdzie Chicago, a gdzie Kopana?

Walter Edward Jagiełło (1 VIII 1930 w Chicago – 17 VIII 2006 w Miami, na Florydzie). Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 4 grudnia 2013 roku.

Andrzej Jakubowski

Absolwent roku szkolnego 1974–1975 Szkoły Podstawowej im. Wojciecha i Anieli Małżonków Górskich w Pamiętce koło Tarczyna.

Zmarł w kwietniu 2013 roku. O tym, że Jędrus nie żyje, dowiedziałem się od siostry, która w Tarczynie widziała na murze jego klepsydrę. Byłem pełen smutku, że takie nieszczęście spotykało panią Mariannę Jakubowską, emerytowaną nauczycielkę nauczania początkowego. Czyli klas I–III. Jak to mówią uczniowie – *Kochaną Panią*.

Przecież 52 lata to nie jest wiek, żeby odejść na zawsze.

Staje mi w oczach Jędrus, kiedy to przychodziliśmy z lekcji z Grzesiem do jego domu, który był w mansardowych pomieszczeniach szkoły, a pani Marianna robiła nam kanapki albo stawiała ciepły talerz zupy, żebyśmy się rozgrzali. Był też jej milczący mąż Kazimierz (1927–2003), krawiec – taki cichy, nieśmiały pan. Wpadał do nas Jędrus – filigranowy blondynek, z uśmiechem, zawsze pogodny. Był od nas młodszy o 5 lat. (Absolwent szkoły podstawowej w Pamiętce, rok szkolny 1974–1975, wychowawca Stanisław Fiąkowski; ur. 22 sierpnia 1960 roku).

Siostra mówiła, że niedawno Jędrusia widziała w Tarczynie, na początku 2013 roku. Był pełen życia. Z kucykiem. Nie było widać po nim choroby. A w kwietniu już nie żył.

Odszedł Jędrus, który wraz z rodziną zagnieździł się w Suchodole, co między Marianką a Jeżewicami, i często odwiedzał mamę, która rezydowała w Pracach Małych, bo wykwaterowano najstarszą nauczycielkę ze szkoły w Pamiątce. Pani Marianna bardzo te przenosiny przeżyła, bo starych drzew nie powinno się przesadzać, a cóż dopiero ludzi. Pisała do mnie o tej traumie. Osłodą były wnuki jej najmłodszego syna oraz wnuczka Małgosia.

Żał Jędrusia, który krótko żył i do końca się nie rozpiął.

Andrzej Jakubowski. Wspomnienia, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 24–26 grudnia 2013 roku.

Marianna Jakubowska (8 IX 1932–10 XII 2019)

Pochodzę z Dziarnowa koło Mogielnicy. Do Mogielnicy chodziłam do Liceum Nauczycielskiego, pięć kilometrów – tak mi napisała w liście. Potem podjęła pracę w szkole w Lipiu, gdzie poznała męża. A w 1954 roku przyjechała uczyć w Szkole Podstawowej im. Anieli i Wojciecha Małżonków Górskich w Pamiątce k/Tarczyna. Mieszkała wraz z rodziną w mansardowych pomieszczeniach, „z załamaniami na dachu”. Z kuchnią, pokoikami od południowo-zachodniej strony. Jej mąż Kazimierz (rocznik 1927) przysposobił dodatkowy pokój. Zrobił ściankę działową, ocieploną trocinami. Ponieważ z jej synem Grzegorzem chodziłem do jednej klasy, więc nieraz gościłem w jej domu po lekcjach. W domowych pieleszach było czysto jak w przysłowiowym pudełeczku.

Nieraz patrzyłem przez okna na drogę do szkoły. Jedliśmy pod dachem, gdzie w kominach kawki miały gniazda. Las, sad, warzywnik i cierniste krzewy obejmował placówkę szkolną. I było tak ciepłutko, jak w poezji.

Pani Maria nauczała i tłumaczyła. Była wychowawczynią klasy – rocznik 1952, absolwenci 1965/1966 oraz 1966/1967. Do końca swych dni i nocy niosła „kaganek oświaty”.

W wieku emerytalnym zamieszkała w Pracach Małych koło Tarczyna, bo tak zdecydowały lokalne władze gminy. Robiła na szydełku serwetki; nabierała oczka na drutach – miała swój ścieg, który snuła z kłębka włóczki lub wełny. Zimą dokarmała ptaki. Wiosnę i lato spędzała między domem a ogródkiem. Starła się, żeby nie zasłaniać swoimi sprawami: (...) *zdrowie mi jeszcze jakoś dopisuje, ale szwankuje pamięć, wzrok i słuch. Trzeba się jednak z tym pogodzić i pogodnie dożyć ostatnich lat (...)* *Siedzę przeważnie sama w domu całe dni ze swoimi ukochanymi robótkami, które wypełniają mi czas. Wychodzę tylko w niedzielę rano do kościoła. Wtedy ktoś podejdzie z tyłu, złapie za szyję, życzy zdrowia i cieszy się, że jeszcze mnie widzi, zawsze ktoś zabierze i podwiezie do domu. I to jest takie miłe, taka piękna nagroda za moją pracę. (...)* (Pamiętka, 6 stycznia 2008 roku).

To jedyna nauczycielka, z którą miałem kontakt telefoniczny oraz listowny. Była mistrzynią w robieniu na drutach. Tworzyła cudowne szale, którymi obdarowała dyskretnie znajomych. Moja żona *Graszka* otrzymała narzutkę w kolorze ciemnej zieleni. Do podarku dołączyła garść słów, zacytuję fragment, żeby było wiadomo, jakiej to była klasy osoba: *Zawsze tak ciepło mówisz o swojej Żonie. Chciałabym Ją przytulić, za Jej ciepło i dobro. Ale to jest niemożliwe. Pomyślałam, że skoro nie mogę Ją otulić, zrobiłam dla Niej szal, żeby w ten sposób otulić Ją odrobiną swojego ciepła. Widzę w tym i swoją korzyść, bo biorąc go do ręki, wspomni i o mnie. Jeżeli zechce go nosić, będzie mi bardzo miło, a jeżeli nie trafiłam w Jej gust, to niech go komuś podaruje. (...)*

Dzięki pani Marii więcej używano wełny/włóczki na ziemi tarczyńsko-grójeckiej. Na pewno było mniej chorób i przeziębień. To że jest szkoła w Pamiętce, na wsi jest jaśniej.

Pani Maria potrafiła ogarnąć uczniów, jak żywe srebro. Nie musiała nimi potrząsać – nie zdzierała gardła. Była cicha, nie słyszałem,

żeby podniosła głos; przestrzegąca dyskrecji w pouczeniach. Obce jej było westchnienie: *bodajbyś cudze dzieci uczył*. Miała swój lekki dowcip.

Kiedy przed laty zapytałem, skąd czerpała pogodę ducha do pracy, odpowiedziała: *To chyba kwestia mojego usposobienia. Zawsze byłam spokojna, cierpliwa, lubiłam dzieci. Nie mogłam patrzeć na cudzą krzywdę, a tym bardziej na krzywdę dziecka. Może i dlatego, że sama byłam matką? Praca z dziećmi wypełniała moje życie.*

Filigranowa Pani Maria z Pamiętki, nie skarżyła się, więc nieraz jej życzyłem, żeby miała znośne noce i dni, a smutki niech pędzą jak wypłoszone zajączki do lasu.

Kiedy byłem chłopcem, to z podziwem patrzyłem, jak robi na drutach. Drobnutki, pajęczym ścięciem, dziergała sweterki i zwiewne szale, które płynęły jak listki. Stonowane kolory świadczyły o spokoju. Ileż w nich było ciepła. Dzisiaj, kiedy mam 65+ lat, już mogę śmiało napisać, że dzięki Pani Jakubowskiej mam wspomnienia, które dogrzewają.

W grudniu 2018 roku w rozmowie telefonicznej, powiedziała: *Dłubię jeszcze szaliczki, czapeczki, bo jak ksiądz przyjdzie po kołędzie, to dam, żeby rozdał biedniejszym dzieciom, żeby nie marzły.*

Poczułem oddech świąt. Przepraszam – świętości.

10 grudnia 2019 roku zgasła i przeszedł przez okolicę *Kwitnącej Jabłoni* tren. (Człowiek nie kamień, w porę usłyszy, jak wniebogłosy łyży toczą). Jej ciało złożono do grobowca na cmentarzu w Lipiu, powiat grójecki, w którym pochowano jej męża Kazimierza (umarł w 2003 roku), oraz jej najmłodszego syna Andrzeja, na którego mówiliśmy *Jędrus* (zmarł w 2013 roku).

Odeszła Pani Maria Jakubowska, która uczyła czytać, pisać, rachować, śpiewać. Od I do III klasy.

Była pierwsza, jak *Elementarz*, więc mówili *nasza Pani Maria Jakubowska z Pamiętki*.

K Witek Kacprzak (1951–23 XI 1967)

Był ode mnie starszy od 3 lata. Mieszkał w budynku PGR Pawłowice, poczta Tarczyn, woj. warszawskie. Nigdy nie opowiadał o mamie i siostrach (Małgorzata i Alicja). Jego ojca często spotykałem, bo zwykł jeździć rowerem. Cichy pan. Pochylony. Zamyślony. Tajemniczy. Mówiłem mu dzień dobry, odpowiadał tym samym. I to cała rozmowa. Jeżeli to można nazwać dialogiem.

Z Witkiem jeździłem „Nyską”, którą prowadził mistrz transportu pan Jan Budzik (bardzo spokojny kierowca) do Szkoły Podstawowej im. Anieli i Wojciecha Małżonków Górskich w Pamiętce koło Tarczyna. A jesienią *budą*, którą ciągnęła para koni pana Jana Majewskiego, który był furman nad furmanów. Czyli twardy gospodarz, na wozie, z batem!

Nieraz wracaliśmy polną drogą do domu. Zatrzymywaliśmy się pod wisienką, tu, gdzie dzisiaj jest kolanko ul. Działkowej i ul. Pawłowickiej. Staliśmy i rozmawialiśmy. Jak koledzy. Siadaliśmy na zmiętej trawie, z odrzuconymi tornistrami. Witek słuchał. Opowiadałem, co przeczytałem w gazetach, zdawałem relację, co powiedzieli w radiowej audycji *Popołudnie z młodością*, jak wygląda lista przebojów *Rozgłośni Harcerskiej*, co się dzieje w polskiej i światowej piłce nożnej. Witek słuchał. Ale to jak!

Mój starszy kolega lubił grać w piłkę nożną.

Zawsze był schludnie ubrany, nosił półgolfy.

Był cichy jak człowiek z prowincji. Nie kusiło go, żeby pójść za widnokres. Nie zadawał pytań.

Witek cudownie potrafił wsłuchiwać się (potocznie mawiano: *zamienił się w słuch*). Robił duże oczy, gdy czegoś nie rozumiał. Nie należał do tych, co potrafią kłamać w żywe oczy. Nieraz miał wypisane na twarzy dwa słowa: nie wiem.

Jesienią pomagał ojcu sadzić owocowe drzewa. Jeździli rowerami pod Szczerbówkę (trasa E7). Powracali do domu, gdy szara godzina wchodziła w noc. Ojciec jechał pierwszy, a za nim Witek. O tej

pracy nie opowiadał, uważał, że to jego synowski obowiązek, więc nie ma co strzepić sobie języka.

I nagle stała się straszna rzecz, w listopadzie to było. Kiedy jechali szosą krakowską, koło witkowego roweru tak niefortunnie zahaczyło o asfalt, że Witek wpadł pod samochód. Zginął na miejscu. Miał 16 lat.

Był to mój pierwszy kolega, którego musiałem pożegnać. Strasznie tę śmierć przeżyłem.

Pamiętam jego pogrzeb. Stałem na podwórku przed domem. Od strony Pawłowic doszedł do mnie żałobny śpiew. Co ja piszę? To był szloch! I było tak, jakby na topolach i wierzbach zawieszono skrzypce, a wiolonczele w sadach. Chłopy z Pawłowic nieśli jego trumnę do 1. przydrożnego krzyża. Czułem rześkie powietrze, nasączone szronem. Wokoło nagie drzewa i krzewy, i zaorane pola. Wszystko było takie zważone. Wielki tren płynął dla Witka przez okolicę *Kwitnącej Jabłoni*. Listopad zrzucał liście z papeterii jesieni. Rąbkami rękawa rozcierałem łzę, co wypadła z łódeczki powiek – poczułem sól na wargach. A potem w domu nie mogłem ochłonąć z żalu. Byłem w tym wieku, kiedy zwykło się przy takich okazjach pytać: dlaczego? I zerkałem w niebo, jakbym chciał dodać – czy Tobie, Panie, Boże, nie jest wstyd, czy Ci nie jest głupio?

Poza Witkiem Kacprzakiem, nikt mnie tak uważnie nie słuchał.

I tak to do tej pory trwa, że za nic mnie mają w Tarczynie, Piasecznie, a nawet w Grójcu.

Może przesadzam, ale... nie do końca.

*Witek Kacprzak (1951–23 XI 1967). Wspomnienie,
„Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 29 lipca 2013 roku.*

PS

Dopisek w czasie korekty: troszeczkę się zmieniło, bo upomniał się Tarczyn, mam też sygnały z Grójca i Lipia, i Zaborowa, a nawet z Mogielnicy i Piaseczna. Dzięki temu nie wpadłem w dziurę pamięci – w zapomnienie. Coś się ruszyło, choć od lat już nie wychodzę za próg domu – wyjście na balkon to jest już wysiłek, niestety.

Władysław Feliks Kamiński (1844–1935)

Profesor Zdzisław Szelaąg w *Słowniku wiedzy o Grójeckiem* (Pod redakcją Zdzisława Szelaąga, Zeszyt siódmy, Towarzystwo Literackie im. Adama Mickiewicza, Oddział w Grójcu, Grójec 1998) zamieścił biogram powstańca z roku 1863, notariusza i lokalnego działacza społecznego oraz oryginała (sic!). Z tego źródła będę czerpał, bo jest sprawdzone, choć mogą się zdarzyć jakieś nieścisłości, jak to w humanistyce.

Urodził się w Serocku, w dawnym powiecie pułtuskim. Za uczestnictwo w powstaniu styczniowym został skazany na zesłanie. Podobno dzięki pochodzeniu szlacheckiemu i takim cechom jak polor i polot, władza carska skróciła wyrok, dzięki czemu wrócił i rozpoczął studia prawa w warszawskiej Szkole Głównej. Po ukończeniu podjął pracę rejenta w Grójcu, gdzie w latach 1878–1933 prowadził kancelarię notarialną.

W 1879 roku na obrzeżach miasta nabył plac i wybudował dom na wzór pałacu, z ogrodem. (W tym budynku mieściła się siedziba Prokuratury Rejonowej, a obecnie jest Miejsko-Gminna Biblioteka Publiczna im. Władysława Skarbimira Laskowskiego w Grójcu, aleja Niepodległości 20, 05-600 Grójec).

Ożenił się z Zofią Biesiadowską, z którą miał córkę Władysławę (1883–1963) oraz dwóch synów: Stefana Rocisława (1882–1939) i Zdzisława Tomasza (ur. 1885 roku).

W pracy notarialnej pomagał mu zięć Leonard Rzepecki (1881–1930), który pełnił funkcję prezesa Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”.

Był kuratorem miejscowego szpitala, działał w Polskiej Macierzy Szkolnej, w Związku Strzeleckim „Strzelec”, należał do współinicjatorów pierwszej szkoły średniej w Grójcu. To pierwszy prezes Korpusu Straży Ogniowej. Dzięki niemu wybudowano strażnicę i zadrzewiono plac przed kościołem, gdzie był targ. Dzielił się wiedzą o regionie i nie tylko.

Profesor Szelaąg napisał notę, którą warto ocalić od zapomnienia: *Władysław Feliks Kamiński był postacią ciekawą, barwną, szanowaną i podziwianą. W czasie urzędowania (i nie tylko) ubrany był w fez turecki, ciepłą chustę narzuconą na ramiona. Odczytywanie aktu notarialnego miało swój ceremoniał. Zanim do tego doszło, otwierały się drzwi z prywatnych apartamentów i ukazywała się w nich imponująca postać w fezie, z surową, krótko przystrzyżoną brodą; unikliwe spojrzenie i tubalny głos robiły wrażenie. Zgromadzeni w kancelarii chłopci pod ich wpływem nierzadko padali na kolana. W ten sposób wyrażali szacunek dla powagi urzędu oraz cześć dla powstańca. W czasie świąt narodowych władze administracyjne, organizacje społeczne, polityczne oraz niektórzy obywatele składali mu życzenia.*

Pochowano go w Grójcu na cmentarzu przy ul. Mszczonowskiej.

Notariusz z Grójca nosił fez jako nakrycie głowy w kształcie ściętego stożka, wykonane z bordowego filcu i ozdobione czarnym frędzlem. Czyli zakładał *turecką czapeczkę* (wersją na płask była tzw. *krymka*). Od fezu pochodzą takie powiedzenia, jak *mam głowę nie od parady* albo *wkładać kapelusz*. W Polsce zwykło się mawiać z przekąsem, że *ktoś się stroi w cudze piórka*. Taki bzik wybacza się komuś, kto rozruszał Grójec i pracował na jego dobre imię, więc *chapeau bas*; mówiąc wprost – trzeba oddać ukłon. Szacun dla rejenta z Grójca.

Marian Kamizela

Był ojcem naszego kolegi z sanatorium dziecięcego *Górka* w Busku-Zdrój, Jerzego Kamizeli z Kielc. Jurek jeździł na wózku inwalidzkim. Od lat nie chodził. Polio strasznie go spustoszyło. Od głowy do nóg. Co niedziela przyjeżdżał do niego tata. Podaję jego rysopis: wzrost średni, budowa krępa, włosy czarne. Milczek nad milczkami. Zwykł siedzieć przy łóżku. Nie szukał pretekstu do roz-

mowy – nie słyszałem, żeby prowadził dłuższą pogawędkę. Milczeli obydwoj. Jak zakłęci. Jerzy milczący, no bo co ma mówić, skoro przewlekła choroba przycina skrzydła. Jest skomprimowany przez ból, cierpienie i inne okropieństwa. Ojciec i syn przygaszeni. Cierpienie potrafi sformatować sprawy ludzkie (sic!).

Pamiętam, że jedynymi słowami, jakie mówiłem do pana Mariana, były dzień dobry, wtedy gdy wchodził do sali z torbą, oraz do widzenia, gdy opuszczają naszą salę na II piętrze.

Wiedzieliśmy o jego ojcu tylko tyle, że pracuje w więzieniu w Kielcach, przy ul. Zamkowej 1; o tej uliczce krążyło powiedzenie, że jak się tu wejdzie, to wychodzi się za kilka lat.

Jaką pełnił funkcję? Nie dopytywaliśmy, bo i po co. Na pewno był tzw. *szychą* w Kielcach, o których z takim przekąsem wypowiadał się m.in. Witkacy. Ponieważ Jerzy też był lakoniczny, więc można sobie wyobrazić ich spotkania. Jerzy leżał na kocu, jak na tarczy, a obok siedział jego tata, zerkając w okna, przecierane świerkami. W życiu nie spotkałem takich milczków, jak słowo dają. Kiedy inni rodzice robili wokoło siebie szum, pan Marian zachowywał się jak trusia. Cichutko – nie ruszał się z miejsca. Rozmyślał. Czasami pomagał Jerzemu wstać i usiąść na wózek inwalidzki. Ponieważ nikt mnie nie odwiedzał na *Górcy*, więc leżąc na łóżku, nieraz dyskretnie patrzyłem i doskonale widziałem jego profil. Stąd też moje wspomnienie jest takie z boku. Trochę zazdrościłem Jurkowi takiego taty, który wiernie dulczy przy łóżku. I nie chodzi do lekarzy, żeby pytać. Żeby go pocieszyli tak na wyrost, jak to bywa w rehabilitacji. Zachowywał się jak człowiek, który posiada tyle wiedzy, że nie musi nikomu zawracać głowy.

Nigdy nie widziałem, żeby do Jerzego przyjechała mama.

Co niedziela pojawiał się jego tata. Niezależnie od pory roku i pogody. Był niezawodny. Strzegł go jak żrenicy oka. Tak po ojcowsku.

Minęło już tyle lat, a jestem pod wrażeniem pana Mariana.

I pomyśleć, że to było w latach 60. XX wieku, kiedy trzymaliśmy się razem: Jurek Kamizela z Kielc, Zbyszek Janiszewski z Ra-

domia i ja z Kopanej koło Tarczyna. Mówiono o nas: *Święta Trójca z Grójca*.

To wystarczy za komentarz, jakie to robiliśmy cuda na tej *Górcie*.

Piszę o tym, żeby ludzie wiedzieli o tym, jak Grójec stracił trzech *świętych*. Może nie do końca, bo w czasach rozluźnienia i ekumenizmu, wystarczy tylko nieco poszerzyć sito i przeciśniemy się we trójkę: Jurek, Zbyszek i Czesław Mirosław. Oczywiście, że Jerzy będzie z tatą Marianem.

Nie ulega wątpliwości, że powiedzenie było wielkim komplementem, gdyż takiej reputacji nie mieli nawet Pankracy, Serwacy i Bonifacy, którzy weszli w przysłowie jako *źli na ogród chłopacy*.

Marian Kamizela. Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 7 grudnia 2015 roku.

Józef Kania

Pracował w PGR Pawłowice koło Tarczyna.

Mieszkał w Kopanie w tzw. *Pałacu*, gdzie ulokowano ludzi z PGR Książowola i Pawłowice.

Nieraz go spotykałem na drodze z Kopanej do Pamiątki. Szedł w gumowcach i spranym szarym uniformie. W berecie z antenką, co zakrywała resztki włosów. Nieogolony. Milczek. Po drodze zbierał gałązki na podpałkę. Co cenniejsze wrzucał do torby.

Miał czwórkę dzieci: Tadeusza, Ignacego (mówili *Benek*), Barbarę i Andrzeja. Przy żonie Józefie wyglądał jak chudzina. Drobił małymi krokami, jak grzybiarz. Nigdy nie szukał pretekstu do rozmowy. Kiedy mówiłem dzień dobry, coś odburkiwał, nawet się nie zatrzymał. Jak sąsiad.

Jesienią pilnował dworskiego sadu. Tu mościł sobie szałas, co wyglądał jak wersalik A. Siedział jak Indianin i łypał, i gonił tych, którzy przyszli kraść owoce. Nieopodal była aleja modrzewiowa, którą wracałem na skrót do domu.

Pamiętam, że jak wracałem jesienią ze szkoły w Pamiątce, to do mnie krzyczał, żebym się zatrzymał. Stałem jak wryty na polnej drodze. O kulach. I nie wiedziałem, o co mu chodzi. Józef Kania podchodził z garścią jabłek i gruszek. Owoce wrzucał do tornistra, a resztę kazał upchać za pazuchę. *Dla ciebie przyniosłem owoce z głębi sadu* – nerwowo mówił. I szybciotko się ode mnie odklejał, jak ktoś, kto chce zatrzeć ślady. Niemym świadkiem ubita butami polna droga z Kopanej do Pamiątki.

W życiu nie spotkałem takiego stróża sadu jak pan Kania – ziomek z okolic *Kwitnącej Jabłoni*.

Pan Kania z Kopanej. Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 31 marca 2015 roku.

PS

Otrzymałem list, z fragmentem nawiązującym do wspomnienia:
Szanowny Panie Mirosławie,

(...) jeżeli chodzi o rodzinę Kaniów, to p. Józef z p. Józefą mieli podobno trzech synów: Tadeusza, Mieczysława i Andrzeja, oraz córkę Barbarę. Benkiem, prawdopodobnie był Mieczysław. Ignaca natomiast nikt nie pamięta. A może mieli czterech synów?

(...)

Serdeczne pozdrowienia dla całej Pana Rodziny i dla Pana zawsze życzliwa Jolanta Sas.

Kopana 8.03.19.

Dr Izydor Karwot

W latach 1976–1980, kiedy byłem studentem Wyższej Szkoły Pedagogiki Specjalnej im. Marii Grzegorzewskiej w Warszawie, prowadził zajęcia pn. *Wybrane zagadnienia z matematyki*. Dojeżdżał z Piaseczna. Jego żonę, matematyczkę, znała moja matka, która sprzątała w *Technikum Elektroniczno-Mechanicznym* w Piasecznie, tj. w szkole przy *Wiadukcie*.

Pan doktor nosił ciemne garnitury, koszule w brązach i niejasne krawaty. Miał siwe, dłuższe włosy, które mu wiecznie spadały kosmykami na czoło. Palił. Co ja piszę? Kopcił papierosy.

Wiecznie gonił studentów. Solił dwóje. Zaoczni studenci przynosili w siateczkach buteleczki z alkoholem, który kupowali w Pe-weksie, żeby go udobruchać nieco. Doktor był kontent. Wszyscy jak jeden się go bali, i unikali. Jak szedł nerwowym krokiem do gabinetu, to studenci na korytarzu cichli. Jak trusie!

W trakcie pisania tego mini wspomnienia posurfowałem w internecie, żeby coś więcej znaleźć o doktorze Izydorz, który miał patrona świętego od lemiesza, czyli od orki. Po długim czasie znalazłem na stronie: Karwot Izydor, *Podstawowe zbiory liczbowe w reformowanym kształceniu zawodowym uczniów o niższych umiejętnościach matematycznych*. 1999, s. 52, cena: 1,00 zł. Z notki dowiedziałem się, że jest to sprawozdanie z badań realizowanych przez Katedrę Pedagogiki Wyższej Szkoły Pedagogiki Specjalnej (obecnie Akademia Pedagogiki Specjalnej) w latach 1995–1999. Publikacja opiera się na dwóch dyscyplinach naukowych: Arytmetyce teoretycznej oraz ortodydaktyce.

Z dr. Izydorem nigdy nie udało mi się porozmawiać. Jedyne kontakty miałem, gdy podawałem mu indeks do podpisu. Składał autograf. Zaliczał mi wykłady z królowej nauk. W takiej chwili myślałem tylko, żeby szybko się odkleić, bo mógł się przecież rozmyślić.

dr Izydor Karwot. Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 8 maja 2014 roku.

Izydor Karwot

Ci, którzy studiowali w latach 70. i 80. XX wieku w Wyższej Szkole Pedagogiki Specjalnej im. Marii Grzegorzewskiej (obecnie Akademia Pedagogiki Specjalnej) w Warszawie, doskonale pamiętają dr. Izydora Karwota, który prowadził zajęcia pn. *Wybrane zagadnienia z matematyki*.

W ciemnym garniturze, preferował koszule w kolorze brąz – pod krawatem. Nie spieszył się powoli. Oczywiście, że wszyscy się go bali, choć zajmował się Królową Nauk. Jego żona, pani Genowefa, uczyła matematyki w Technikum Elektryczno–Mechanicznym w Piasecznie. Mój brat Ireneusz, który jest absolwentem piaseczyńskiej szkoły, mówi, że była *wymagająca, zasadnicza, umysł ściśły*. Matka zawsze chwaliła panią Karwotową. A pani Karwotowa nie pozostała jej dłużna w komplementach, że dbała o porządek w szkole. Ba! Nawet ją odwiedzała w Kopanej.

Doktor Izydor był człowiekiem nerwowym, ale bez przesady. Czynił starania, żebyśmy nie byli z matematyki pospolitą *nogą*. Nie raz dawał do zrozumienia, abyśmy nie przeliczyli się w życiu. W ramach perswazji przypominał przy okazji kolokwium: *Ja, o czym nie wiecie, mam 4 400 zł pensji. Sto złotych ode mnie więcej zarabia motorniczy tramwajów, bo on dostaje na rękę 4 500 złotych. A ja za doktorat dostaję 4 400 złotych. Jest jedna różnica, on pracuje 8 godzin, a ja tylko trzy godziny.*

Niewiele pamiętam z jego nauczania i wykładów.

W arytmetyce wspomnień mam kilka anegdotek, które mogę na palcach jednej ręki policzyć. Wystarczy.

Franciszka Korzeniewska

Pisałem o stryjkę Janie Korzeniewskiej (żył lat 76, zm. 25 IV 1980 r.), więc teraz pora na stryjenkę Franciszkę (zmarła 11 VII 1998 roku w wieku 90 lat). Nie rozdzielałam ich, bo zawsze byli razem. Mieszkali pod jednym dachem w Lesie Lesznowskim. Między stacjami kolejki wąskotorowej Pawłowice–Kopana–Las Lesznowski było ich gospodarstwo.

O stryjence prawie nic nie wiem. Pojawiała się na polu mojego dziadka Szczepana tylko, gdy ujrzała moją babcię Zofię. I uskuteczniła sobie kobiece pogaduszki. W górze śpiewał skowronek. To świadczyć może, jaka to była czysta i ekologiczna kraina, gdzie żyli.

Stryjenka Franciszka była cichsza niż jej święty patron. Nie czyła cudów, o jakich nieraz piszą, ale... to nie było tak do końca. Latem, gdy była pora wiejskich zabaw, w niedzielę, koło południa, przychodziła do mojej matki, żeby jej pomogła odnaleźć syna Władzia, co jeszcze nie powrócił od soboty z zabawy. Pamiętam, jak biegnie bosymi trawami, miedzą, rowem, pędzi na skrót. I płacze, jakby niebo upadło i skowronki potłukło. Matka gotuje, ojciec obiera kartofle przy studni i szykuje się, żeby doprawić mizerię solą, octem i śmietaną. A tu nagle wpada stryjenka Franciszka. Że Władzia nie ma i może się coś stało najgorszego. Wygląda jak płacząca osika. Matka na poważnie bierze jej słowa, bo w owych latach ubaw bez trupa, to nie zabawa na dechach. Nawet Piotr Szczepanik śpiewa, że *dopóki gra orkiestra, spokój jest na deskach (Zabawa podmiejska)*. Ojciec pociesza stryjenkę, żeby się uspokoiła, bo gdyby coś się wydarzyło, to już by poszły wieści od Racibór, Kawęczyna i Wylezina. Matka ubierała się i ruszała na lustrację okolicy. Od Pawłowic i dalej. Obchodziły domostwa, zapłocia, krzaki, stodoły, by w którejś stercie odnaleźć śpiącego Władysława, absolwenta Szkoły Podstawowej im. Wojciecha i Anieli Małżonków Górskich, rocznik 1957/1958. No i – jak mi matka opowiadała – tak się tym wzruszyły, że ze stryjenką zaczęły płakać. Po prostu – rozbeczały się. Wtedy też dowiedziałem się o tym, że jest przypowieść o Synie Marnotrawnym, choć nigdy stryjenka tak nie mówiła o swoim pierworodnym. Stryjenka lubiła się pochwalić swoją córką Stanisławą, która była od młodych lat bardzo ambitna. Uczyła się pilnie. W jej głowie nie były wiejskie potańcówki. Była starsza od Władzia, chyba o 4 lata. I mądrzejsza, jak mawiali ludzie, choć z tą mądrością to ja bym aż tak nie przesadzał.

Dla mnie stryjenka Franciszka jest patronką od zaginionych dzieci, które czasami tak pobłądzą, że mała głowa. Nie było sposobu, żeby z moją matką nie znalazły Władzia. Te dwie niewiasty potrafiły niebo i ziemię poruszyć, i odnajdowały Władzia, który wyglądał jak człowiek wczorajszy. Smacznie spał pod dachem nieba,

na glebie – nie był wybredny, bo wybierał na legowisko stóg siana albo stertę z wymłóconym zbożem. Dawały mu kuksańca. Stryjenka przytulała go do serca i prowadziła, jak dziecko do domu, żeby pierwotnemu wyparowała z głowy zabawa. Dwie kobiety potrafiły wziąć sprawę w swoje ręce. Odnajdywały zgubę. Na rozstaju dróg rozchodziły się do siebie. Władzio z matulą wracali na swoje podwórko, zaś moja rodzicielka szybko wycofywała się do domu, gdzie czekał na stole obiad. Matka jadła i odtajała z wrażeń. Ojciec uspokajał ją, że w następną sobotę będzie znowu zabawa. Tym razem w Pracach Małych.

Takie poszukiwanie trwały latami, póki Władzio się nie ożenił.

Kiedy mu nieraz przypominałem o tych młodzieńczych przygodach, jadąc pociągiem wąskotorowym, jakie to czynił psikusy stryjence i mojej matce, uśmiechał się. I nie pisał półsłówkiem. Zapalał papierosa. Sztachał się i puszczał z dymu obręcze kółek. Jak suche bańki. Nie wracał do wspomnień.

Franciszka Korzeniewska. Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 1–2 sierpnia 2015 roku.

Jan Korzeniewski

To był mój stryj. Mieszkał ze stryjenką w Lesie Lesznowskim. Mojego dziadka pole od jego roli odgradzał wąski pasek miedzy. Mieli dwójkę dzieci: Stanisławę i Władysława. Po drugiej stronie ich sąsiadami byli Kucharscy. Wszyscy z dziada pradziada rolnicy. Ilekroć szedłem, żeby odwiedzić dziadka Szczepana, którego warsztatem pracy była ziemia, tylekroć spotykałem stryja, a czasami zabieganą stryjenkę z wykrochmalonym kolorowym fartuszku. Czasami zachodziłem na ich podwórko, żeby ugasić pragnienie; kubkiem z kwiatuskami nabierałem wodę z kubła, co stał przy studni. Pamiętam, że stryj częstował mnie zawsze jakimś oryginalnym porcelanowym garnuszkiem z uchem, który pochodził z jego z wielkiej kolekcji. Z namaszczeniem podawał pełen pucharek wody. Bez po-

spiechu. Stryj miał upodobanie w kubeczkach, które kupował zapewne na targu w Tarczynie, bo nie zwykł się oddalać, na przykład do Piaseczna czy Grójca, czy Mogielnicy.

Jak pamięcią daleko sięgnę, to zawsze nosił na głowie wełnianą czapczkę (krymkę), żeby zasłonić łysinę. Jak ją zdejmował, to czasami wiatr zdierał z jego wysokiego czoła długi kosmyk włosów. Chudziutki i przeredzony. Bardzo cierpiał z powodu glacy.

Często się rumienił. Mówił bardzo starannie, jakby każde słowo chciał poprawnie wyartykułować, aby słycać było końcówkę. Nadawał zdaniu pewną soczystość. Każde słowo namaszczał. To nie było cedzenie przez zęby i paplanie językiem. Stryj mówił smacznie. Lubił zdanie proste.

Poza tym cenił porządek w domu i na podwórku, i obejściach gospodarskich, ale... bez przesady. Pozwalał, żeby pod płótem było też trochę perwersji i dzikości roślin.

Ilekróć wyjeżdżał wozem na targ, to zawsze ze stryjenką. Deski furmanki zawsze były czyste, a koła umyte. Koń uczesany, wypielęgnowany. Miał bat, którego chyba nie używał. Podobnie, jak mój dziadek, uważał, że rzemień na kiju jest po to, żeby konia nie bić. Siedział na furze. W kolorowej krymce. Te dziwne nakrycia na głowę, o czym nikt nie wiedział w okolicy *Kwitnącej Jabłoni*, stryjowi wydziergała na drutach moja matka.

Kiedy wspominam stryja Jana, matka zawsze się rozczula i powtarza: *A niechby tysek żył. Ja bym mu zrobiła z dziesięć krymek, żeby miał w czym wybierać*. Tak mówi matula, rocznik 1926.

Na pamiątkę stryja, czasami zakładam kipę (kusa czapczkę). Oczywiście, że nie potrafię jej nosić z takim fasonem, jak stryjek Janek, ale gdy ją naciągnę na głowę, to humor mi się poprawia.

Oto, co potrafią z człowiekiem zrobić wspomnienia z dzieciństwa.

Jan Korzeniewski. Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 20 sierpnia 2014 roku.

Marcysia Krajewska

W Kopanie mówili na nią *Stara Marcjanna*. Niewiastę można było spotkać na drodze do stacji kolei wąskotorowej Pawłowice–Kopana albo na drodze na przystanek autobusowy w Pamiątce. Lubiła peregrynować. Dziwna i tajemnicza starsza pani. Cały rok chodziła w czarnym szkolnym, długim fartuchu, zapiętym skórzanym paskiem. Na nogach miała sandały, a w zimie ciepłe filcowe buciki. Na głowie zawiązana niestarannie chusteczka, z której wystawały włosy w nieładzie. Miała maleńkie oczka – świecące szpileczki. Mrużyła powieki. Jej twarz, wysuszona jak rodzynka, miała piękny wyraz. W jej źrenicach drzemała ciekawość. Szła, jakby drobiła kroczkami. W tym chodzie było coś z dziecka i osoby w jesieni życia. (Lelum polelum). Zapatrzona w wiejski świat, który miał dla niej palec wskazujący, którym ludzie kręcą kółka na czole. Na pierwszy rzut oka można byłoby powiedzieć, że jest zauroczona postacią św. Franciszka z Asyżu. Że jest świecką gałęzią trzeciego zakonu żebraczego. Ale to był wielki pozór. Postać Biedaczyny znała. No bo jak ktoś czyta książki w kilku językach, to musi znać nazwiska, co jak amen w pacierzu. *Stara Marcjanna* nie dość, że przeczytała całą bibliotekę, jaka jest w Tarcynie, to wadziła się z Panem, Bogiem. Czyli pytała Stwórcy – czy Jemu nie wstyd, że ...? Jej ubiór to był kamuflaż.

Stara Marcjanna miała swoje utarte drogi i ścieżki. Mieszkała z córką (kasjerka na stacji) i wnuczką. Najczęściej chodziła sama, tzn. z własnymi myślami. Nigdy się nie spieszyła, choć się poganiała. Szła wolniutko, jak dziewczynka, co rozgląda się na wszystkie strony świata. Dyskretnie patrzyła, to trzeba przyznać. Nieraz widziałem jak z drogi podnosiła złamaną gałąź, którą niosła do domu. Przy alei modrzewiowej zwykła się zatrzymywać. Upodobała sobie drzewa, które nie rosną w sadzie.

Pamiętam, że jak wróciłem z sanatorium do domu, i wysiedliśmy z pociągu, to podeszła do nas. Wszyscy się spieszyli do domu, tylko ona zagadała. Wracała z pracy, tj. z kiosku *Ruchu* w Piasecznie–Gołkowie.

Jej nałogiem było czytanie, więc robotę miała wymarzoną. Mogła lektorować gazety i książeczki. I właśnie wtedy, na tym peronie, w cieniu rozłożystych akacji, zapytała, do której chodzę klasy. Matka za mnie odpowiedziała, bo od dzieciństwa byłem nieśmiały i speszony. Szliśmy powolutku, jak to się idzie do domu. Bez zobowiązań.

Na drugi dzień matka przyniosła mi kolorowo pisemka dla dzieci – *Misia* i *Świerszczyk. To od Starej Marcjanny* – powiedziała. Byłem zdziwiony, bo nikogo nie prosiłem o gazety. Nie śmiałbym nawet. Wzruszyła mnie jej pamięć i troska o moje lektury nadobowiązkowe.

Kiedy odeszła na emeryturę, zaprzestała mi przynosić dziecięce periodyki. Pomagała córce Julci w kasie na stacji Pawłowice–Kopana. Sprzedawała bilety i obserwowała, co się dzieje w okolicy *Kwitnącej Jabłoni*.

Dopóki pracowała w kiosku *Ruch*, dopóty starała się, żebym miał świeżą prasę do czytania. Robiła wszystko, abym zapomniał o samotności i chorobie. Żebym się zaszył w krainę, gdzie bajka i baśń, i poezja. Czasami jej się bałem. Dlaczego? Bo lubiła zapytać o tym, co piszą i mówią. Oczekiwała ode mnie komentarza. Nie interesowały ją plotki i rozmówki o pogodzie. Można powiedzieć, że edukowała i wychowywała ludzi. Budziła ziomków z marazmu.

A potem, jak dorosłem, lubiłem iść ze *Starą Marcjanną* i słuchać. Opowiadała o tym, co czyta i co ją boli, i denerwuje. Nikt tak jak ona nie mówił u nas takim językiem. Dzięki niej zachowałem dystans do świata i ludzi. Z entuzjazmem mówiła o książkach. Zaczęła mnie uczulać na trochę poważniejsze periodyki. Wszyscy się spieszyli do domu, tylko ona miała na wszystko czas. Ostatnia szła drogą do swojego domu w *Pałacu*. Po drodze zatrzymywała się. Zbierała patyki, szyszki, okruch węgla i wrzucała do torby. Kiedy ktoś miał ochotę na rozmowę, to przystawała. Zachowywała się tak, jak człowiek, który oddał zegarek do lombardu.

Mijały dni i noce. Miesiące i lata. A *Stara Marcyjanna* coraz bardziej do ziemi się chyliła.

Drobiła wolnymi kroczkami do stacji Pawłowice–Kopana. Kurczył się rozkład jazdy. Likwidowano wąskotorowe pociągi osobowe na rzecz towarowych. Lokomotywy wywożono za widnokres do muzeum albo cięto palnikami na złom. Szyny zarastały chwastami. Usuwano boczne tory, tj. rozkręcano śruby, wyjmowano szyny i wydłubywano z ziemi przemoknięte drewniane podkłady. W okolicy szeptało, że tylko patrzeć, jak zlikwidują kolejkę grójecką.

Stara Marcyjanna coraz rzadziej pojawiała się na drodze. Częściej jeździła autobusem do Tarczyna, w którym była poczta, piekarnia, biblioteka, bank spółdzielczy, sklepy, kościół, lokal *Malinowa*, targ/jarmark, fabryka wag, oraz zakład trumniarski Antoniego Zaremby. Nie wiedziałem, że w tym przybytku spotykała się elita tarczyńska (rzemieślnicy, strażacy). Że tu był *Klub Wyrób Trumien*, pełen życia.

Pod jesień przez wieś popłynął tren, że zabił ją samochód. Że szła na spotkanie, na którym omawiano sprawy ludzkie.

Jej grób na cmentarzu parafialnym w Rembertowie wyróżnia się spośród innych miejsc pochówku. Darń, zielsko i krzaczory... Nie ma tabliczki, że tu spoczęła *Stara Marcyjanna* z *Pałacu* w Kopanej. A przecież to była pani, która niosła kaganek oświaty; żebraczą miseczkę.

Kiedy o tym piszę, to czuję jak wstyd mnie pali, choć nic nie mogę zaradzić, żeby było inaczej.

Halina i Edward Kruszewscy

Władysław Horst, mój uczony kolega historyk/archiwista, kiedy pokazał mi tę starą fotografię kl. VI ze szkoły podstawowej w Pamiątce, rok szkolny 1952–1953 (absolwenci kl. VII, rok szkolny 1953–1954, wychowawca Ludwika Neufeld), to musiałem trochę przetrzeć oczy, żeby rozpoznać niektórych z grona pedagogicznego.

O uczniach, którzy siedzą na fartuchu ziemi, nie miałem przysłowiowego *zielonego pojęcia* (sic!), ale... na odsiecz pospieszyła pani Jolanta Sas (z d. Mendel), uczennica klasy VI i zrobiło się jaśniej we wspomnieniach. Jako bonus do zdjęcia Andrzej dołączył plik dokumentów, jakie odszukał podczas kwerend. No i mieliśmy już troszeczkę rozwiązane ręce. Odetchnęliśmy.

Na arkuszu K-II7-O *Wykaz nauczycieli szkół podstawowych w roku szkolnym 1953/54 według stanu z dnia 15. IX. 1953 r.* Publiczna Szkoła Powszechna stopnia Podstawowego w Pamiątce, gmina Konie, poczta Tarczyn koło Warszawy, powiat Grójec, województwo warszawskie przesłała do Głównego Urzędu Statystycznego Departament Statystyki Oświaty i Kultury w Warszawie przy ul. Wawelskiej 1/3 szczegółowy wykaz nauczycieli. W wyżej wymienionym spisie odnotowano m.in. rok urodzenia, rok rozpoczęcia pracy nauczycielskiej w jakiegokolwiek szkole, rodzaj pełnionych funkcji, kwalifikacji zawodowych, przedmioty i klasy, których uczy, tygodniowa liczba godzin, oraz zajęcia pozalekcyjne. Ankietę wypełniła Feliksa Chodecka, składając podpis pod pieczęcią *za* Kierownik Szkoły (–) *J. Chodecki*

Na zdjęciu pod drzewem bez liści stoją zapomniani pierwsi nauczyciele ze szkoły w Pamiątce: Halina Kruszevska, urodzona 27 marca 1908 roku. Dnia 1 września 1939 roku rozpoczęła pracę nauczycielską. Miała kwalifikacje do nauczania w szkole realnej, choć nie posiadała pedagogicznego wykształcenia. Uczyła języka rosyjskiego w klasach V, VI, VII; ogółem miała 6 godzin plus 6 godzin nadliczbowych. Obok, oparty o pień, stoi Edward Kruszewski, urodzony 18 września 1902 roku. Dnia 1 lipca 1925 roku rozpoczął pracę nauczycielską. Kierownik, kierownik warsztatów, nauczyciel wykwalifikowany. Uczył fizyki, chemii, matematyki, geografii i kl. III–VI; ogółem miał 34 godzin tygodniowo, w tym 4 nadliczbowe, był wychowawcą kl. III i VI.

I nikt już nie wie, w jakim miejscu zrobiono zdjęcie, które pochodzi ze zbiorów pani Jolanty Sas z Kopanej.

Fotografia i zapiski z arkusza są jedynym śladem pamięci przed zapomnieniem. Że byli wśród nas Halina i Edward Kruszewscy, nauczyciele z Pamiątki, co leży między Tarczynem a Grójcem.

Halina i Edward Kruszewscy. Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 14 listopada a 2019 roku.

L Jacek Lech (15 IV 1947–25 III 2005)

Jacek Lech, właściwie Leszek Zerhau, piosenkarz bardzo znany w ówczesnej muzyce młodzieżowej, lata 60. i 70. XX wieku. Śpiewał z zespołem „Czerwono-Czarni” (lata 1966–1972), potrafił grać na skrzypcach, gitarze, kontrabasie, nie słyszałem, jakim był instrumentalistą.

Miał na swoim koncie mnóstwo szlagierów takich, jak *Babie lato, Bądź dziewczyną z moich marzeń, Do widzenia mamó, Nie mówię żegnaj, Na dzień zwierciadła, Warszawa jest smutna bez Ciebie, Pozwólcie śpiewać ptakom, Czereśnie, wiśnie, Trochę dobrze, trochę źle, Gdzie szumiące topole*. To były miłe piosenki, nostalgiczne i liryczne. Z lekkim kaprysem i sentymentalnym wspomnieniem. Krótko o nim piszę, bo śpiewał utwory, które trwały nie całe trzy minuty.

Płeć piękna jego adorowała, bo miał głos, który nie męczył.

Słuchałem go i droczyłem się ze starszą siostrą Bożenką, co lubiła płynąć z falą radiowego *Popołudnia z młodością*, że jest za grzeczny. Jak na Lecha – za spokojny jak na Czecha i surowego Rusa.

Jacek Lech (15 IV 1947–25 III 2005). Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 13 września 2018 roku.

Władysław Leszczyński (1873–1963)

Zięć Wojciecha Górskiego, ożenił się z jego córką Cecylią (1878–1959). Opisał, jak powstawały sady w Kopanej: (...) *w folwarku Ksawerów założyłem około 6 mórg czereśni. Nadto, drogą wiodącą z*

folwarku Kopana do szosy Warszawa–Grójec, jak również miedze pomiędzy polami wysadziłem drzewami owocowymi. (...) Nie chwalać się, truskawki ja pierwszy zaprowadziłem w powiecie grójeckim. (...) (Władysław Leszczyński, *Praca i przeżycia w Kopanej w: Grójec-kie we wspomnieniach. Antologia*, Wybór i opracowanie Zdzisław Szelaąg, Towarzystwo Literackie im. Adama Mickiewicza, Oddział w Grójcu, 2003).

Władysław Leszczyński pisze *jako ten rolnik od pługa, doju i gnoju*. Ze znanstwem. Jest konkretny i nie oszczędza na prawdzie.

To był człowiek, który ukochał ziemię. Jest między poetą a filozofem. Przeczuwa, że dzięki artystom, można ziemię niebem przygładzić, żeby ludzkie sprawy były w miarę znośne. Prozaicznie to znaczy, że masz takie chwile i sięgasz po literaturę piękną, w której też są brzydkie treści. I zaczytujesz się. To jest mała rodzina, ale jest. Władysław Leszczyński należał do ludzi, którzy obserwowali, słuchali i zabierali ze sobą milczenie. Jakie to zdroworozsądkowe, proszą przeczytać, co pisze o Krakowie w roku 1905(?): *Chodząc wiele po plantach, poznałem sporo krakowian wśród inteligencji. Poznałem rzeczywiście dużo osób nieprzeciętnych pod względem intelektu, ale przekonałem się, że jeszcze więcej pośród nich jest tych przeciętniaków pnących się do szczytu, a nie mogących go dla nieudolności osiągnąć. Przekonałem się, że o wiele lepsi byłiby z nich np. subiekci sklepowi, woźni, rzemieślnicy, jak w ogóle pracownicy fizyczni – na brak których Kraków uskarżał się wówczas stale. Ten objaw nie podobał mi się wcale w tym naszym, tak bardzo cennym historycznie wielkim mieście. Tam zakwitł przerost wszelkiego intelektu, a jednocześnie powstał niedosyt życia pozytywnego, użytecznego, realnego. W pensjonacie za stołem zachowywałem się milcząco i spokojnie, bynajmniej nie dlatego, by brakowało mi języka, lecz gwoli celowego umiaru. Ciekawi ludzie nie bardzo godzą się z takim nastrojem, jakim ja zaznaczyłem się osobiście. (...).*

Niby takie proste, ale jakie trudne wymagania. Być użytecznym. Przypisany do swojego miejsca. Ktoś słusznie doda, że to pozyty-

wista–romantyk, jak Wojciech Górski [ale z długą pauzą –]. Może nie taki jak subiekt Ignacy Rzecki, który dbał o wystrój sklepowych okien, co *streszczały zasoby sklepu, oraz zwracały uwagę przechodniów bądź najmodniejszym towarem, bądź pięknym utożeniem, bądź figlem* (Bolesław Prus, *Lalka*). Stary subiekt okazał się finezyjnym leksykografem. W tej definicję jest wszystko na miejscu. Czasami trzeba wyłożyć kawę na ławę, żeby łatwiej było zapamiętać. Przypomnę, że (...) *W sklepie Rzecki bywał ledwie raz na kilka dni, jedyne zaś jego zajęcia, notabene bezpłatne, polegało na układaniu wystawy w oknach, co zwykle robił w nocy z soboty na niedzielę. Stary subiekt bardzo lubił to układanie, a Szlangbaum sam go o nie prosił w nadziei, że pan Ignacy umieści swój kapitał w jego kantorze na niewysoki procent. (...). Pan Ignacy w niedzielę obmyślał i wykonywał plany wystaw okiennych na cały tydzień.*

Ignacy Rzecki powinien być wreszcie obwołany patronem okien sklepowych. Ponaglam do tego, bo nigdy nie wiadomo, czy nie upomną się o Rzeckiego pamiętnikarze.

U Władysława Leszczyńskiego nie było takiego romantyzmu, bo musiał się zmagać z codziennymi kłopotami majątku w Kopanej oraz w Księżowoli. Poza tym działał na niwie pedagogicznej – na miarę dawnego powiatu grójeckiego. Nazwisko teścia zobowiązywało, żeby powierzoną pracę wykonać jak najlepiej.

Pisał, że na zebraniach Związku Ziemian zdarzało się, *uderzając pięścią w stół, za co przepraszałem, (...) przypomnieć o obowiązku karności, zaznaczając, że albo jest Związek, albo go nie ma (...).*

Po 2. wojnie światowej został sponiewierany przez ówczesne (ludowe) władze.

W ramach transformacji socjalistycznej, stracił majątek, jednym pociągnięciem dekretu o parcelacji ziemi dla chłopów i robotników. Skrzczeniec – to była strona *Kopana-Parcele*, tak mawiali ludzie o ziemi dziedzica, jaką po wojnie rozparcelowano. Ziemię dawnego właściciela, zięcia Wojciecha Górskiego, Władysława Leszczyńskiego z Kopanej. Nie zalił się i nie złorzeczył, pisał we wspomnieniach:

Ja, jako maleńki pyłek miliardowej rzeszy ludzkiej. Imał się różnych zajęć, żeby utrzymać siebie i rodzinę na powierzchni. Przyjmował prace zarobkowe, jakie się tylko dało. Po reformie rolnej w 1946 roku musiał opuścić Kopanę. Zajął się handlem obwoźnym; był akwizytorem (komiwojażerem), dorabiał tłumaczeniami, wyprzedawał resztki mienia, był urzędnikiem – mówił koleżankom z biura, jaki mają charakter, a kobietom w stanie błogosławionym przepowiadał, czy będzie córka, czy syn. Nie obnosił się z wiarą, choć był bogoboyny. Oto jak rozdysponowano jego wiedzę i talent.

Z estymą o nim się rozpisuję, bo inaczej nie potrafię. Cenię sobie ludzi, którzy dyskretnie o sobie mówią, że *uznają się za omylnych*, więc robią wszystko, aby nie popełniać błędów. To był społecznik, prelegent, wykładowca, *wykwalifikowany rolnik, który nauki przyrodnicze studiował.* Praktyk z tej ziemi. Naszej.

Pani Jolanta Sas z Kopanej, w liście z 27 listopada 2018 roku, wspomina: *O p. Leszczyńskim moja mama [Zofia Mendel] opowiadała z politowaniem, że wszystko mu zabrano i doprowadzono do tego, że chodził po wsiach handlując drobiazgami, aby zarobić na życie. A tyle dobrego zrobił dla ludzi.*

Tadeusz Leszczyński

Był mężem mojej szkolnej koleżanki, Teresy Lewińskiej z Kopanej, co mieszkała przy szosie (dzisiaj ul. Pawłowska). Teresę często spotykałem, bo jak szedłem od przystanku autobusowego, to nie sposób było nie spojrzeć na jej podwórko i drzewa owocowe (wysokopienne jabłonie i grusze). Jej dziadkom oraz rodzicom, zawsze się kłaniałem.

Kiedy wyszła za mąż, to zamieszkała z dziećmi w tym domu, gdzie bywałem, gdy chodziłem do szkoły podstawowej im. Wojciecha i Anieli Małżonków Górskich w Pamiętce koło Tarczyna.

Pamiętam, że kiedyś zaprosiła mnie do siebie. Bardzo długo się ociągałem, ale... uległem. Obsiadała mnie gromadka dzieciaczków

(trzech chłopców). Z pokoju wynurzył się jej wąsaty małżonek i zagrał coś na akordeonie. Byłem oczarowany. Tak się zaśłuchałem, że nie pisałem słówka. Pomyślałem, że jeżeli u Teresy jest akordeon, to pod takim dachem na pewno jest harmonia domu. Że tu na pewno się nie zachrypnie od krzyku.

Wtedy po raz pierwszy spotkałem Tadeusza Leszczyńskiego, który pochodził ze wsi Jurki, w powiecie grójeckim, gmina Pniewy.

W listopadzie 2017 roku umarł mąż Teresy i tego się nie da wytłumaczyć, że takie jest życie, i w ogóle.

Ł Stefania i Antoni Łukasiak

Pochodziła z Kawęczyna, a on kilka kilometrów dalej, z Prażmowa.

Nie zapomniałem o Łukasiakach z trzema synami jak Budrysy. Oni nie mieli nic wspólnego z trylogią Aleksandra Dumasa *Trzej muszkietierowie*, która opowiadała o czterech muszkietierach gwardii (Atosie, Pornosie, Aramisie i d'Atagnanie) – powieści płaszczą i szpady. Łukasiaki od wiosny chodzili lekko ubrani i na bosaka. Z Mickiewiczowskiej ballady do nich pasowało, że byli *krzepcy i zdrowi*.

Podają imiona absolwentów szkoły podstawowej w Pamiętce, zaś w nawiasie rok ukończenia VIII klasy: Roman (1975), Mirosław (1978), Witold (1982),

Łukasiakowa miała taki głos jak tuba. Kiedy szła, to należała do niej cała nasza uliczka (dziś ul. Działkowa). Była pulchna, zaś jej małżonek patyczkowaty. Miała tupet.

Mieszkali po naszej stronie. Druga chałupa za rowem. Antoni pracował w PGR Pawłowice, zaś Stefania w domu. Mieli trzech synów. Mówiono, że wyrosli na kartoflach i mleku. *Ja mam dobre dzieci* – mówiła. Ich dobroć polegała na tym, że dzieci prały, gotowały, sprzątały... W tym czasie Łukasiakowa była na tzw. plocetkach. Jak wyszła w południe do sklepu, to lubiła się zatrzymać

na dłużej. Powracała z chlebem i kostką smalcu. Ilekroć przechodziła uliczką, to zachowywała się tak, jakby wszystko do niej należało. Mówiła jak strażak. Szła rozkołysana w biodrach. W fartuchu nie pierwszej świeżości. Z włosami przetłuszczonymi. I darła się, jakby miała nogi usiane odciskami i żyłakami. Łukasiakowa lubiła zaczepiać ludzi. Nieraz i mnie wywołała z sadu. *Mirek, chodź, pogadamy!* – krzyczała, gdy mnie zdybała w przydomowym sadku. Любиła się uczepić i zapominała o tym na czym polega bliskoźnacznik – *Uciąć sobie pogawędkę*. Była dosadna, więc to, co miała na końcu języka, szybko stawiała na początku. Mówiąc wprost – jechała po bandzie. Ona nadawała, a jej chłop słuchał, więc wszyscy mieli rację.

Łukasiak, jak przyszedł z pracy, nie zrobił rabanu, że kuchnia jest chłodna. Był spokojnym mężczyzną. Nie rzucał się nikomu w oczu. Do pracy chodził skrajem lasu, miedzami, a jak zaspał, to wsiadał na rower i gnał ile sił. Wracał pod wieczór w koszuli rozpiętej i pokazywał fragment większej całości zarośniętego torsu. Nie pamiętam, żeby był kiedykolwiek ogolony. Zawsze miał kilkudniowy zarost. Nosił koszulę z niedopranym kołnierzykiem, dobrze przypaloną potem. Czasami w niedzielę przejeżdżał przez naszą uliczką na rowerze. W bufiastych spodniach, z żabkami na nogawkach. Był milczkiem nad milczkami.

Wspominam ich, bo trudno było mi znaleźć kogoś na literkę Ł, więc wybrałem sąsiadów spod wykopu, nieopodal *Górnego Dołu* – uskoku z lasu pawłowickiego.

Henryk Magiera

M

Matka zakazała mi, żebym się nie ważył zbliżyć do Henia Magierki. Ojciec nie zwracał sobie głowy różnymi upomnieniami, bo wiedział, że jak się uprę, to nie ma na mnie siły. W każdym bądź razie, starałem się jak tylko mogłem, żeby rodzicielka nie zdybała mnie na tym, że jej nie słucham. Udało mi się uspić jej czujność.

Dzięki nieposłuszeństwu, opowieść o Heniu Magierze nie przepadła, jak kasztan w wodzie.

Henio Magiera w południe szedł skrajem drogi do sklepu w Pańłowicach koło Kopanej, poczta Tarczyn. Brzegiem światła, rozstrzelanym cieniem drzew. Stąpał i co rusz zginał kręgosłup, bo musiał podnosić papierki, jakie leżały na drodze. Zbierał i wystawiał do słońca, jak czasami do promieni wysuwa się naprzód okruch szkiełka, żeby zobaczyć świat w nieco innym kolorze. Patrzył i uśmiechał się, jak ktoś, kto ma pięć klepek w głowie w nieładzie. (Głupkowato to wygląda, niestety). Papierek starannie wyrównywał i wkładał do kieszeni. Złotka i sreberka upychał do marynarki. Lustrował pobocze drogi. Wybierał to, co dzieci odwinęły z cukierków, batonów albo z czekoladek. Dbał o porządek pobocza szosy z kocimi łbami.

Henio był ubrany w szary drelichowy uniform. Jak robotnik. Spodnie i marynarkę miał wyświechtaną. Jego przydzwiek Łśnił jak kłamka. Na butach dźwigał zasuszone chlapy i kurz. Deszcz czyścił mu trzewiki. Tylko sznurek mocno zaciskał języki w jego butach. Wierzchnie okrycie stóp zakładał *na przyboś*, czyli na gołą stopę. Spodnie związywał kablem w izolacji. Na głowie nosił beret z antenką.

Był słonecznym zegarem. Kiedy szedł drogą, to wiedziano, że już zbliża się południe, bo idzie Henio Magiera. A w południe, jak wszem wiadomo, cień jest najkrótszy.

Kiedy zbliżał się do naszej uliczki, to przyspieszał kroku, bo z tego miejsca już było widać zarys sklepu, w którym sprzedawano chleb, mydło, powidło i gwoździe. Lata 60. XX wiek. Widok obiektu handlowego ożywił Henia. W tym czasie, gdy przyspieszał Henio Magiera, leżałem w bruździe ziemi i patrzyłem przez trawy na tego typu, którego wszyscy się bali i mieli cykora. Okoliczne rzezimieszki szturchali tego dziwnego nieznanego, którego żadne powrósto nie mogło okiełznać. Robili sobie z niego docinki i wytykali palcami. Starzy patrzyli i brali go za świętego, co przybył z za widnokresu.

Rodzice ostrzegali nas, żebyśmy się nie wazyli zbliżać *do tego wariata*.

Nie wiem, jak wyglądał z bliska Henio Magiera. O jego rysopisie coś niecoś wiem, ale jest to widzenie z dali a nie z blizy, jak mówią okuliści (poprawnie powinno być *dalekowidz* albo *bliskowidz*, czyli *krótkowidz*). Muszę się przyznać, że z kilkunastu metrów jego postać robiła na mnie wrażenie. Pociętnie szedł. Pogodnie i w skupieniu. Niezależnie od pogody i pory roku. Przystawał, podnosił papierki. Ludzie omijali go. Mówiono, że nigdy nie wiadomo, jak się zachować, gdy wariat stanie drodze. Nie wiedziałem o czym mówią. Nie zauważyłem, żeby Henio kogokolwiek zaczepił i naubliżał. To nie było w jego stylu. On nie tracił czasu na głupoty, co ludzie o nim opowiadali i szeptali. Nieraz słyszałem, jak ktoś z oddali skandował: *Henio Magiera, co papiery zbiera!* Na te okrzyki nie reagował. Nie opędzał się od ludzkich przezwisk. Gdyby to czynił, to zapewne nigdy by nie uzbierał tyle papierków, sreberek i złotych. Dzięki Heniowi wiedziałem o co chodzi w przysłowiu o karawanie, na którą psy szczekają, a wielbłądy nic sobie z tego nie robią, nie opędzają się, tylko zdążają do celu.

Dokuczano Heniowi, który nikomu nic złego nie powiedział, oraz nie zrobił krzywdy. Nie szczędzono mu wyzwisk. Przy sklepiku okoliczni pijackowicie brali Henia na języki i naigrywali się z niego. Patrzył i był obojętny na to, co gadają.

W pawilonie spożywczym kupował tylko cukierki.

Z pełną kieszenią słodczy wracał do domu. W powrotnej drodze nie schylał się już za papierkami. Nie musiał dokonywać selekcji. Smakował słodkości i uśmiechał się do swoich myśli, których nikt nie rozumiał.

Szedł jak tragarz, co dźwiga cień południa.

Samosiej.

I tak to trwało od poniedziałku do soboty.

W niedzielę zebrane na drogach złotka, sreberka i kolorowe papierki upychał do kieszeni. Z tymi skarbami szedł do świątyni, żeby

wrzucić je na tacę. Oddać jak utarg. To był dowód, nad czym się pochylał w pocie czoła.

Siedział w kruchcie i czekał, kiedy podejdzie dziad kościelny, co zbierał ofiary od obywateli z okolic *Kwitnącej Jabłoni*. I nigdy się nie doczekał, żeby przyjęto z jego rąk ofiarę, o którą – z taką gorliwością – prosił kapłan.

Aż któregoś dnia nie pojawił się na poboczu drogi z kocimi łbami.

Stałem na czatach i wyciągałem szyję zza krzaków, żeby sprawdzić, czy idzie; wypatrywałem na próżno.

Wróciłem do domu i powiedziałem, że drogą nie chodzi Henio Magiera.

Matka uspokoiła mnie, że odszedł w Wiekuistą Światłość.

Innymi słowy, wszedł z cieniem południa do otwartego nieba.

Pomroka to był jego prezent, żeby nie myśleli, że przyszedł z pustymi rękami.

Henryk Magiera. Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 10 kwietnia 2014 roku.

Jan Majdecki (1919–2015)

W „Gazecie Wyborczej Stołecznej” z 29 grudnia 2015 roku ukazał się nekrolog Jana Majdeckiego. Ośmiopunktową czcionką wydrukowano m.in., że żył 96 lat, brał udział w Powstaniu Warszawskim. Był działaczem katolickim, dziennikarzem i społecznikiem. Uzupełnię nieco biogram tego zacnego, najstarszego absolwenta Szkoły Górskiego w Warszawie, z roku 1937. Pan Jan był przewodniczącym Komitetu Redakcyjnego monumentalnej biografii pt. *Wojciech Górski i jego szkoła*, praca zbiorowa pod redakcją Jana Lasockiego i Jana Majdeckiego, ze słowem wstępnym Ks. Prymasa Stefana Kardynała Wyszyńskiego i przedmową prof. Stanisława Lorentza, Biblioteka Syrenki, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1982, ss. 630.

Póki pozwalało zdrowie, brał czynny udział w pracach Towarzystwo byłych Wychowawców Gimnazjum pod wezw. św. Wojciecha dawniej Szkoły Wojciech Górskiego. Dzięki niemu pamięć o zacnym pedagogu nie szezła. Czynił to dyskretnie, co świadczyć może o tym, jaką miał klasę.

W nekrolog, jaki ukazał się 30 grudnia 2015 roku, zredagowanym przez mojego starszego, szkolnego kolegę dr. Wojciecha Brańskiego, trafnie napisano to, co było kropką nad «i» jego życia: *Pierwszy wśród strażników pamięci o dawnej Szkole, zawsze gotów wspierać szkoły noszące imię Patrona w Warszawie i w Pamiętce.*

Jan Majdecki (1919–2015). Pożegnanie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 8 lutego 2016 roku.

Józef Małecki

Było trzech braci Małeckich. Tadek, najmłodszy, pracował z bratem Michałem w warsztatach kolei wąskotorowej w Piasecznie. Zajmowali się elektryką. Mieli maleńką kanciapę w budynku, co był przyklejony do peronu. Tu była też noclegownia. Obok brzoźki. Tadek krępy, szybki, żywe srebro, nosił buty traktory. Zawsze skory do żarów, ciekawski. Michał wysoki, ze starannym wąsikiem, ogolony, przyciszony, blady, chorowity. Obaj mieszkali Grójcu. Jeździli pociągiem. Mój ojciec Czesław, tokarz, pomimo że nie był skory do pochwał, złego słowa nigdy nie powiedział o Małecczakch. To oni *zakładali światło* w domach. Pamiętam z jakim podziwem patrzyłem, gdy pan Tadeusz Małecki wchodził w rynsztunku elektryka na drewniany słup telegraficzny i naprawiał. Śmigał jak bartnik. Nie był mowy o spięciach. Uwijał się z robotą.

Bracia nieraz u nas bywali, bo ojciec nie zaglądał do gniazdek, gdzie płynął prąd, z którym nie ma żartów; daje kopa! Michał i Tadek dbali też o radiowęzeł dworcowy. Chwali ich pod niebiosa. Kiedy zgasło światło na wsi, wzdychano – trzeba zawołać Małecczków, naprawią.

Trzeci brat miał na imię Józef, pracował w brygadzie na torach. Mieszkał za łąką mojego wujka Tadka i cioci Celi Tomeckich z Lasu Lesznawskiego. Stacja za Kopaną. Czyścił tory z chwastów, krzewów, dbał o szyny i podkłady. A zimą stawiał płotki kolejowe na wzniesieniu nasypu kolejki wąskotorowej, na tzw. wydmuchu. To była taka konstrukcja zbita z kilkunastu desek, które umocowywano na X, wbijając mocno w ziemię długi kij. Gdy nawiało śniegu i wiatr hulał po szczyrych polach, na wzniesieniach ustawiano płotki, żeby tory były przejezdne. Pług śnieżny to była ostateczność.

Nieraz jak szedłem poboczem nasypu kolejowego, to mijałem ekipę pracującą na torach, obok stała drezyna, którą poruszano za pomocą siły mięśni ludzkich. Kłaniałem się załodze robotniczej. Chłopy zdejmowały czapki. Wśród nich był Józef, krzepki chłop, typ mruka, silny jak tur. Do pracy na torach ułomek nie miał czego szukać. Tu nie było zmiłuj się. Nigdy z nim nie rozmawiałem, choć nieraz jeździliśmy do cioci Celi w gości. Zachodzę w głowę i nie mogę sobie przypomnieć jego rysopisu ze znakami szczególnymi. Pamiętam, że dzięki pracy ludzi na torach, ciuchcia jeździła tak, że można było nakręcać zegarek.

I komu to przeszkadzało, że kolejkę wąskotorową relacji Piaseczno–Nowe Miasto nad Pilicą skasowano? Dano zgodę na to, żeby szczezło. Wszystko, co jest po obu wąskich stronach torów. O prześwicie 1000 mm. Niby jeden (duży) krok, a jednak... nie na miarę okolic *Kwitnącej Jabłoni*.

Michał Małecki

Było trzech Małeckich: Tadeusz, Józef, Michał. (Ich matką była siostra Franciszka Ryłskiego, o którym w innym miejscu piszę). Dwóch z nich znałem, bo pracowali w warsztatach kolejowych w Piasecznie, gdzie mój ojciec stał przy tokarni. Pan Tadzio był krępy, mniejszy, zaś pan Michał wysoki i szczupakowaty. Byli elektrykami. Zajmowali się konserwacją sprzętu elektrycznego i elek-

tronicznego – odpowiadali za nagłośnienie urządzeń dworcowych na stacji Piaseczno Miasto Wąskotorowe. Co rusz byli wzywani, gdy się zepsuło światło. I pędzili, żeby tylko nie było spieć. (Lech Wałęsa też był elektrykiem w Stoczni Gdańskiej im. Lenina, ale nigdzie nie czytałem, jakiej to był klasy fachowiec). Jeżeli chodzi o braci Małeckich, wiem, że byli świetni. Ileż to razy widziałem, jak pan Tadzio stał przy drewnianym słupie elektrycznym, na kablu coś błyska, a on szybko zakłada słupołazy i pnie się w górę. Jak strażak. Po czym wyjmuję kombinerki i reperuje. Stoję na dole i drzę, żeby go prąd nie zabił. Po cichu się modlę, choć nie jestem wcale bogobożny. O mały włos, a bym zaczął się żegnać. Tak się o niego bałem. Ilekroć u nas w domu nawaliło światło, ojciec uspakajał przy świecach: *jutro przyjdzie Tadzio Małecki i naprawi*. I było tak, jak mówił – pan Tadzio wpadał i znów płynął prąd zmienny.

Pan Michał nigdy u nas nie był. Spotykałem go w pociągu, jak jechał do pracy. Nosił wasy. Mówił cicho. Był zawsze błady. Szybko się męczył. Pot zraszał jego twarz. Często przebywał na zwolnieniu lekarskim. Jeździł do sanatorium. Wolniutko odchodził w tło. Aż w końcu zgasł (chciałem napisać jak żarówka, ale to by było chyba nie na miejscu).

Józef Krzysztof Matulka

W Kopanie mieszkały dwie rodziny Matulków. Na dwóch krańcach wsi. (Pierwszy w starej Kopanie, zaś drugi w Stefanówce). Przy stacji kolejki wąskotorowej Pawłowice–Kopana stacjonował Bolesław Matulka, który miał dzieci z pierwszego małżeństwa (Zygmunta, Tadeusza i Henrykę), zaś z drugiego związku (Władysława, Halinę, Henryka), i chromającą żonę, co się podpierała stylikiem. Byli naszymi sąsiadami.

Na drugim krańcu wsi, tj. w *Starej Kopanie*, też była familia Matulków. To była strona bogatych rolników-sadowników. W naszej części rosło żyto, truskawki, porzeczeki, a tam gdzie się nie zapusz-

czałem, były piękne sady i łąny pszenicy. Mieli wielkie domy, przestrzenne podwórka, spichlerze na owoce, i hektary ziemi, jak obszarnicy. Niektórzy posiadali fikuśne bryczki, którymi poruszali się w niedzielę na tacę nie rzucali monet z wielkiego proletariatu, tylko ciche ofiary (papierowe banknoty). Złośliwi mawiali o nich badyłarze. Oczywiście, że to było krzywdzące, bo ci ludzie ciężko pracowali, żeby bieda nie miała pola do popisu. Wiem o nich tyle, ile usłyszałem od matki, która przebierała zimą u sadowników jabłka. Ojciec mówił, że z bogatymi lepiej trzymać, bo bieda z biedą dają jeszcze większą biedę. Nie zapuszczałem się w tę stronę wsi, która z drogi (ul. Pawłowicka) była zatopiona w sadach. Wiosną ginęła w bieli, a jesienią płonęła od jabłek, złociła się od gruszek, ciemniała od śliwek. Nieraz przystawałem, żeby popatrzeć na kwintesencję naszej wioski, która drzewiej na mapach figurowała pod nazwą *Szczerza Wieś*.

Matka opowiadała nieraz o Adamie Matulce, który wychowywał dwóch synów, starszego, Wojtka i młodszego, Józefa Krzysztofa. Ich matka chorowała i poruszała się za pomocą wózka inwalidzkiego. Byłem zawsze poruszony hiobowymi opowieściami.

Chłopcy byli ode mnie starsi, więc nie było pretekstu do rozmowy. Dla nich byłem dzieciakiem. Nieraz ich widziałem, bo lubili szarżować na motorach (marki MZK). Pędzili po tzw. kocich łbach, aż kurz się unosił. Musiałem uważać, bo z takimi jednośladami nie było żartów. O szarej godzinie zwykli pędzić na pełnym gazie do Pawłowic, gdzie był dziewczęcy OHP (Ochotniczy Hufiec Pracy) i kwiat dziewcząt z całej Polski. Krzysiek lubił docisnąć gaz do dechy.

Za jakiś czas dowiedziałem się, że się żeni z Ewą Magierówną, córką sadownika. Dziewczyna wyróżniała się urodą i pięknym głosem. Na szkolnych akademiach w Pamiętce śpiewała. Doskonale radziła sobie z tremą. Miała dystans do komplementów. Występowała na *Święcie Kwitnących Jabłoni* w Grójcu. Raz tylko Ewę słyszałem, jak śpiewa podczas zabawy w Pawłowicach (lata 70. XX wieku), gdzie na rżysku ustawiono dechy, na tyłach domu Stanisława i He-

leny Skwierowskich. W przewie występów zespołu big-beatowego z warszawskiego Targówka, Krzysiek wziął Ewę na ręce i podniósł, żeby wskoczyła na estradę, zbitą ze zwykłych desek. Ewa zaśpiewała i zrobiła się cisza. Dyletantom muzycznym ze stolicy opadły szczęki. Głos jak dzwon niósł się po rosie. Ja wcale nie przesadzam, choć to były czasy radiowej audycji *Popołudnie z młodością* (Program I Polskiego Radia).

Za kilka miesięcy był ich ślub. Poświęcone obrączki włożyli na paluchy. Pobudowali się przy szosie (ul. Pawłowska). Mieli duży garaż. Jabłoniowy sad rósł za domem. Przyszły dzieci. Krzysiek zamienił motor na traktor. Na podwórku stał sprzęt niezbędny do drzew owocowych. Doskonale sobie radzili w życiu. Nie znali takiego słowa jak bieda. Krzysiek już nie szalał na swojej pyrkawce. Zawsze jak jechał, to się kłaniałem, machał do mnie ręką, jak to czynią kierowcy czterośladów.

I nagle, jak grom z jasnego nieba, dowiaduję się, że zmarł. Odnaleźli go gdzieś nieopodal sadu. W rowie naprzeciw mleczarni. I wtedy przypomniałem sobie jego, te szybkie jazdy motorem, traktorem. Brawurową gonitwę. Był pośpiechem podszyty. Nigdy się nie zatrzymał, żeby zagadać ze mną. Szkoda, bo gdyby kiedyś przystanął, to pewnie bym nieco więcej napisał o Krzyśku, który wprowadzał tyle dynamiki w nasze spokojne strony, gdzie tylko wiatr szalał. Dzięki niemu nie było tak sztywno. Oczywiście, że żal Krzyśka, który tak szastał swoim życiem. Był zdrowy. Silny. Czerstwy jak chłop. Z twarzą wysmaganą zimnymi porami roku. I nagle coś w nim tępnęło, i zaczęło się burzyć. Lubił trzymać się w grupie, jak to zwykle czynią samotni.

Zmarł w 1985 roku, w wieku 36 lat.

Pochowali go na cmentarzu parafialnym w Rembertowie koło Tarczyna. Wśród swoich. Na wieki wieków.

Krzysztof Matulka. Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 16 września 2015 roku. Poprawnie powinno być: Józef Krzysztof Matulka.

Jadwiga Mielec

Kilka razy pisałem o pani Jadwidze Mielec, bo zawsze robiła na mnie duże wrażenie. Przede wszystkim tym, że nigdy nie widziałem jej zdenerwowanej. Była cicha. Mówiła spokojnie. Poprawnie starała się wymawiać każde słowo. To nie była żadna maniera. Zachowywała się tak, jak na teatralnej scenie, choć ukończyła Seminarium Nauczycielskie w Warszawie.

Była zawsze schludnie ubrana. W szarościach i brązach. Bez przepychu. Nie rzucała się w oczy.

Twarz miała bladą, jakby tylko chodziła brzegiem cienia albo pod parasolką.

Nosiła okulary z grubymi szklami.

Z panią Mielcową miałem lekcje rysunków i zajęcia techniczne.

Na przerwach zaszywała się w szkolnej bibliotece i wypożyczała książki. Społecznie pełniła funkcję bibliotekarki.

Mieszkała na poddaszu z synem, co robił kłopoty, na które patrzyła przez palce. Miała też drugiego syna i córkę, ale nie pamiętam ich twarzy.

Mirek, jej synowie to Mariusz i Andrzej – mówił Andrzej Horst.

Zapamiętałem tylko syna o kasztanowych włosach, który do brzoze potrafił *wejść za skórę*. Inny na miejscu pani Mielcowej, by dostał zawału serca, a ona pozwoliła, żeby się wyszumiał i wyleżał w zmiętych trawach przed szkołą, pod drucianą siatką.

Raz ją odwiedziłem i ta wizyta zrobiła na mnie wrażenie, o tym piszę w innym miejscu.

Pani Mielcowa śledziła, co się dzieje w życiu kulturalnym Polski.

Nieraz pytała o moją matkę.

Ponieważ wiedziałem, że namiętnie słucha programu II Polskiego Radia Warszawa, więc starałem się choć raz w roku coś podrzucić do redakcji literackiej, która emitowała to na falach średnich. Czyniłem tak, gdyż wiedziałem, że na ten program jest nastawiony radiodbiornik nauczycielki z Pamiętki.

Mieszkała naprzeciw drzwi pani Marianny Jakubowskiej, u której nieraz bywałem.

Kiedy wydałem własnym nakładem książkę pt. *Pamiętka*, przesłałem pocztą egzemplarz. W dowód pamięci. Nie otrzymałem potwierdzenia, że broszurka trafiła do adresatki.

Odeszła tak jak żyła. Cichuteńko. Z przekreską tła.

Musiało upłynąć sporo wody w Wiśle, zanim po okolicy rozeszła się wiadomość o tym, że nie żyje pani Mielcowa z Pamiętki. A jak z Pamiętki koło Tarczyna, to wiadomo, że nauczycielka.

Jadwiga Mielec. Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 2–3 maja 2007 roku.

Jadwiga Mielec

Pani Mielcowa ze Szkoły Podstawowej im. Wojciecha i Anieli Małżonków Górskich w Pamiętce koło Tarczyna, wyróżniała się tym, że była opanowana. Nigdy nie widziałem jej zdenerwowanej. Była cicha. Mówiła spokojnie. Poprawnie starała się wymawiać każde słowo. To nie była żadna maniera. Miała takt. Zachowywała się tak, jak na teatralnej scenie, choć ukończyła Seminarium Nauczycielskie w Warszawie.

Była zawsze schludnie ubrana. Bez przepychu. W szarościach i brązach. Nie rzucała się w oczy. Twarz miała bladą, jakby tylko chodziła brzegiem cienia. Nosiła okulary z grubymi szklami. Z panią Mielcową miałem lekcje rysunków i zajęcia techniczne.

Pamiętam, jak na drodze do Księżowoli, uczyła nas perspektywy rysunku. Lubiła skomprimowane treści. Czasami, gdy jej słuchałem, miałem wrażenie, jakby cytowała leksykon albo słownik. Co za precyzja! Na przerwach zaszywała się w szkolnej bibliotece i wypożyczała książki, obłożone w szary, zgrzebny papier. Społecznie pełniła funkcję bibliotekarki.

Mieszkała w mansardowym mieszkaniu, z synem i córką. Tylko raz ją odwiedziłem i ta wizyta zrobiła na mnie wrażenie. Pani Miel-

cowa śledziła, co się dzieje w życiu kulturalnym Polski. Nieraz pytała o mnie moją matkę. Ponieważ wiedziałem, że namiętnie słucha programu II Polskiego Radia, więc starałem się choć raz w roku coś podrzucić do redakcji literackiej, która emitowała to na falach średnich. Czyniłem tak, ponieważ wiedziałem, że na ten program jest nastawiony radiodbiornik pani Jadwigi Mielcowej, nauczycielki z Pamiętki. Kiedy odeszła, zaprzestałem tego radiowego proceduru.

Jadwiga Mielec. Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 19 sierpnia 2014 roku.

N Ludwika Neufeld

Pamiętam panią Neufeld, ale zapomniałem, jaki nauczała przedmiot i dlatego jestem trochę zdenerwowany, jak pani Ludwika Neufeld. Zaraz się uspokoję, bo mam zdjęcie i coś zaczynam kojarzyć. To była bardzo tajemnicza pani. Taka na dystans. Albo jak kto woli – na długość parasola. Ubrana, jakby z żurnali sprzed lat (fason warszawski). Okrywała się szalem. Uczesana w koczek, w którym było pełno szpilek i różnych cacuszek. Nosiła okulary z grubymi szklami. Miała upodobanie do długich sukien, eleganckich pantofelków i torebek. Nie chodziła po klasie. Siedziała przy stoliku i prowadziła lekcję. Miała kłopoty z utrzymaniem ciszy i porządku w klasie. Czasami z bezsilności trzepnęła linijką w blat stołu. Nieraz musiała zdzierać gardło i zaczynał się jeszcze większy harmider. Im gorszy uczeń, tym wymyślniejsze było znęcanie się nad starszą nauczycielką, która w 1962 roku miała 28-letni staż pracy i 10 lat pracy w Pamiętce. Ukończyła Seminarium Nauczycielskie w Warszawie.

Lekcje z panią Neufeld były bardzo nerwowe. Szczególnie, kiedy słońce zajrzało do klasy. Chłopcy wyciągali lustreczka i puszczały w jej oczy *zajączki*. A pani Ludwika, oślepiona blaskiem, zakrywała dłonią okulary i krzyczała na rzezimieszków. I był taki rejewach, że do tej pory mam wstyd za kolegów. Nie wiem, czy był ktoś, kto rozumiał panią Neufeld. Wielu uczniów, dzięki pani Neufeld, miało

kłopoty. Słyszałem, że nie zdali do następnej klasy. Nie zadałem sobie trudu, żeby sprawdzić tę wiadomość. Być może za tą surowością kryła się delikatność?

Jedno wiem na pewno, że tylko panią Ludwikę można było spotkać w czasie wakacji na drodze z Pamiątki do stacji kolejki wąskotorowej Pawłowice–Kopana. Prawie codziennie wyjeżdżała do Gołkowa, gdzie miała rodzinę (?). Wystarczyło, że pojawiła się, a dzieci robiły wszystko, żeby nie stanąć jej na drodze. Chowały się w krzaki albo kładli w zmiętych trawach, albo uciekali do domu. Tak się jej bali, że padał na nich blady strach, nawet w czasie kaniukuły. Nie chwałę się, ale kiedy ją widziałem, to czekałem, żeby powiedzieć – dzień dobry. I to była cała nasza rozmowa. Matka mi mówiła, że pani Neufeld chwaliła mnie, że jestem dobrze wychowany. Ta uwaga tak mnie peszyła, że dostawałem rumieńców i spozierałem na noski w butach.

Widzę ją jak idzie drogą *z kocimi łbami*. Poboczem. Cicha. W siebie zasłuchana. Samiuteńka. I nikt nie chce się do niej przykleić. To jest jedyna nauczycielka z Pamiątki, jaka w czasie wakacji pojawiała się w naszych stronach i czasami w roku szkolnym, kiedy szła do krawcowej Jadwigi Skibińskiej, która szyła na miarę i – jak mówili na wsi – *po warszawsku*. O tym dowiedziałem się po latach, więc powtarzam tę wieść gminną, z drugiej ręki.

Ludwika Neufeld. Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 15 czerwca 2007 roku.

Ludwika Neufeld

Doskonale pamiętam panią Neufeld, ale nie pamiętam, jaki nauczała przedmiot, i dlatego jestem trochę zdenerwowany, jak pani Ludwika Neufeld. Zaraz się uspokoję, bo mam zdjęcie i coś zaczytam kojarzyć. To była bardzo tajemnicza pani. Pracowała w Szkole Podstawowej im. Wojciecha i Anieli Małżonków Górskich w Pamiątce koło Tarczyna. To była taka pani na dystans. Albo jak kto

woli – na długość parasola. Ubrana jakby z żurnali sprzed lat. Okrywała się szalem. Uczesana w koczek, w którym było pełno szpilek i różnych cacuszek. Nosiła okulary z grubymi szklami. Miała upodobanie do długich sukien, eleganckich pantofelków i torebek. Nie chodziła po klasie. Siedziała przy stoliku i prowadziła lekcję. Miała kłopoty z utrzymaniem ciszy i porządku w klasie. Czasami z bezsilności trzepnęła linijką w blat stołu. Nieraz musiała zdzierać gardło i zaczynał się jeszcze większy harmider. Ogarnąć klasę – to jest dopiero coś. Coś o tym wiem, bo mam żonę z ursynowską klasą!

Ludwika Neufeld Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 22 czerwca 2015 roku.

Takie mini wspomnienie przygotowałem, bo wykruszają się nauczyciele z Pamiętki, więc zrobiłem coś, co oddała zapomnienie.

Dopisek podczas korekty: Neufeld Ludwika – urodzona 23 grudnia 1907 roku. Jej grób znajduje się na cmentarzu w Prażmowie koło Piaseczna, woj. mazowieckie. Tak ludzie mówili, więc tego nie sprawdziłem, zaufałem, że nie konfabulują.

Ludwika Neufeld

Nauczycielka ze Szkoły Podstawowej im. Anieli i Wojciecha Małżonków Górskich w Pamiętce koło Tarczyna. Do pani Neufeld miałem słabość. Tak to trzeba nazwać. Pozwolę sobie na dłuższy wtret o tej nauczycielce.

Oto, co zapamiętałem z lat 60. XX wieku.

Pani Ludwika nosił buty na koturnie. Włosy miała zaczesane w koczek. Okrywała się szalem, czyli była wrażliwa na chłód i przeciągi.

Była spięta, nerwowa i nieobliczalna. Nie widziałem nigdy, żeby się uśmiechała. Nie wiem, jakie nauczała przedmioty. Nosiła okulary z grubymi szklami.

Pamiętam lekcje w klasie po południowej stronie, I piętro. Słoneczny dzień. Klasa wykąpana w promieniach i nagle ktoś lusterkiem zaświecił, i poraził jej oczy. Puścił *zajączka*. Pani Ludwika zasłoniła powieki. Usłyszałem śmiech. Straszne. Nie znałem takich zachowań w szpitalu/sanatorium. Siedziałem w pierwszej ławce i byłem zawstydzony. Tak, tak... A potem na dodatkę puszczały z tylnych ławek papierowe gołąbki i rakiety. Pani Ludwika nie mogła ukarać winnych, bo była oślepią sztucznym światłem.

A w wakacje, kiedy szła z Pamiętki na stację kolejki wąskotorowej Pawłowice–Kopana, poboczem drogi, ubitej kamieniami, tzw. kocimi łbami, to dzieci uciekały, chowały się w zarośla. Miały pietra. Kiedy ją spotkałem, to podchodziłem i mówiłem dzień dobry. Była bardzo zdziwiona i speszona. Grzecznościowo o coś pytała. Odpowiadała. I szła wolniutko przed siebie. Lelum polelum. Miała torbkę przewieszoną przez ramię oraz parasolkę, żeby się osłonić przed słońcem albo deszczem. Wiem, że jeździła do rodziny w Gołkowie pod Piasecznem. Pod wieczór wracała pociągiem i szła do Pamiętki. Samotnie. Wtapiała się w szarą godzinę. Ze zmierzchem dochodziła do szkoły, objętej lasem mieszanym i sadem z ulami, z otwartą bramą na oścież. I ścianą lasu, z sosnami, oraz boiskiem zarosniętym po kostki. I z głogiem, co spina lato z początkiem rozpoczęcia roku szkolnego.

Pani Jolanta Sas, absolwentka szkoły w Pamiętce (rocznik szkolny 1953/1954, wychowawca kl. VII Ludwika Neufeld), obdarowała mnie listownym wspomnieniem: (...) *niewiele pamiętam jeżeli chodzi o rok 1954. Wiem, że czerwiec był bardzo gorący. Pani Neufeld to moja kochana Pani wychowawczyni, więc pożegnanie było pełne łez.*

W wakacje często odwiedzałam swoją Panią, z którą byłam bardzo żyta. Uczyła mnie języka polskiego, była bardzo wymagająca i rygorystyczna. Miała jednak bardzo dobre serce. Kiedy kazano nam uczyć w szkole minutą ciszy śmierć Stalina, wraz z koleżanką, wybuchnęliśmy śmiechem. Oczywiście, Pani Neufeld wyrzuciła nas z klasy. Była przerażona, bo wiadomo, jakie to były czasy. Jednak robiła uszysztko,

aby sprawę zatuszować. I udało się. (...) Po odejściu z Pamiętki, zamieszkała w Gołkowie.

Ludwika Neufeld. Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 23 listopada 2015 roku.

Janina Niedolistek

10 lipca 2014 roku opublikowałem w „Gazecie Wyborczej Stołecznej” tekst *Władysław Niedolistek. Wspomnienie*.

Kiedyś mieszkali w Stefanówce. Razem jeździli do pracy w Grójcu, więc nieraz ich z matką spotykaliśmy, bo podróżowaliśmy w drugą stronę – do Piaseczna. Kobiety rozmawiały, a my z panem Władysławem staliśmy na peronie, w cieniu akacji. Wiem, że moja matka i pani Janina nadawały na tej samej częstotliwości. I trwało to latami, póki się nie wyprowadzili z córkami Elżbietą i Marią do Grójca.

Do ich domku z podwórkiem i ogródkiem nieraz wzdychano – *ach, jak tu pięknie!* Moja siostra Bożenka dodawała, że pod ich dachem była *mała encyklopedia a–z*. Oczywiście, że o tym nie wiedziałem, bo nigdy nie byłem w ich gnieździe rodzinnym z ogródkiem, gdzie zza płotu wychylały się kwiaty, nieopodal stacji PKP Pawłowice–Kopana. Jak wracałem do swojej chudoby, to przy ich posesji pociąg zaczynał hamować.

Czasami się pojawiała z córkami w Kopanie, bo sentymenty się nigdy nie starzeją. Zachodziła do mojej matki, która robiła poczęstunek, jak to bywa na wiosieczce. Ciasto, herbatka, kawka, pogaduszki...

W marcu 2018 roku dowiedziałem się, że zmarła pani Janina Niedolistek. I zamknęła się księga małżeńska, co jest w twardych albo miękkich okładkach. Na papierze w jedną linię albo w kratkę; z marginesem albo bez marginesu.

Piszę o tym, żeby ktoś mnie nie posądził, że uciekam od wspomnień z okolic *Kwitnącej Jabłoni*, przez którą sunęła ciuchcia po szynach o prześwicie torów 1000 mm. Było to w czasach, kiedy dzieci nie dopuszczano do głosu. Dzięki takiej dyscyplinie, mogłem zabrać ze sobą milczenie.

Janina Niedolistek. Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 20 września 2018 roku.

Władysław Niedolistek

Aż mi się w to nie chce wierzyć, że odszedł pan Władysław. Panią Janinę Niedolistkową i pana Władysława Niedolistka zawsze widzę razem. Powolutku podążają. Zapatrzeni w siebie, a przecież mają już swoje lata i dorosłe córki, koleżanki mojej siostry Czesławy Bożeny. Idą połączeni niewidzialnym węzłem, który nazywa się wierność. Często można było ich spotkać na stacji kolei wąskotorowej Pawłowice–Kopana. Jak jechałem z matką do Piaseczna, to państwo Niedolistek podchodzili do nas i rozmawiali. Wymianą słów skracali sobie oczekiwanie na pociąg do Grójca. Pani Niedolistkowa była zawsze elegancko ubrana, podobnie jak jej mąż, który pracował w sklepie mięsny. Pamiętam latem, jak stali w letnich kreacjach. Pan Niedolistek w bielusińskiej koszuli z krótkim rękawem, w spodniach odprasowanych, butach na glanc wyczyszczonych, ogolony i pachnący. Biła od nich czystość i świeżość. Pani Niedolistkowa w garsonce (spódnica i żakiet). Starannie uczesana. Z torebką w dłoni. Czasami pojawiały się ich córki Elżbieta i Maria. Bardzo miłe i udane dziewczynki. Cichutkie, jak wzorowe uczennice. Grzeczne. Cudownie potrafiły dygać, gdy kłaniały się sąsiadom. Ludzie stawiali je za wzór dla innych dziewczynek, i to powinno wystarczyć za komentarz. Wyprzedzę nieco czas i powiem, że jedna ukończyła studia na wydziale matematyki, zaś druga na wydziale farmacja. Czyli umysły ściśle, oraz chemia z zasadami i kwasami.

W ich domu była biblioteka, mieli też *Małą encyklopedię powszechną*. Pani Niedolistkowa prowadziła z moją matką rozmowę stosowną. Jej małżonek raczej nie był skory do konwersacji. Słuchał. Przytakiwał. To znaczy, że był głową domu, zaś szyją małżonka. Jeżeli chodzi o mnie, to milczałem w myśl zasady, że dzieci i ryby głosu nie mają. W czasach mojego dzieciństwa latorośle nie mogły się wciąć w rozmowy starszych.

Po dłuższej chwili pociąg wąskotorowy przyjeżdżał i zabierał nas, i pozostawialiśmy na peronie maleńkiej stacyjki pod akacjami państwo Niedolistek.

I kiedy się oddaliliśmy kilkaset metrów, matka pokazywała mi po lewej stronie ich dom. Drewniany. Z ogródkiem, z kolorowym płótem, zatopionym w kwiatach. *Synu, tam jest tak czyściutko jak w pudełeczku. Na podwórku tak wysprzątane, że się nie ubrudzisz*, mówiła matka. Bardzo chwaliła ich obojście, a to nie było aż takie częste.

Nigdy nie byłem w pobliżu ich domku. Oni też nas wtedy nie odwiedzali. Ich miejsce zamieszkania znam li tylko z widzenia przez okno pociągu popularnej ciuchci, o której wyrażano się żartem, że to czajnik, który po szynach jedzie i sapie: *pomóż bracie!*

Drewniany dom znam z oddali, chyba mogę napisać, że był sympatyczny. W takich domkach najłatwiej jest znaleźć własny kąt. To była ta strona wsi Kopana (a dziś Stefanówka), gdzie śmigały jaskółki. Tu dym z lokomotyw rozsiewał nostalgię po polach i sadach.

Państwo Niedolistek za kilka lat wyprowadzili się do Grójca. Oczywiście, że byli bardzo znani, bo do sklepu mięsnego prawie wszyscy chodzili, jeszcze wtedy nie było wegetarian i wegan. Podobnie jak do piekarza czy do kiosku.

Nie wiem, kiedy umarł? Wiem, że nieraz spędzaliśmy chwile czekając na pociąg wąskotorowy, który nie zwykł się spóźniać, jak pociągi z szerokich torów. Zawsze przychodziliśmy wcześniej, tak na wszelki wypadek, aby kolejka wąskotorowa nam nie uciekła. Nie zapominajmy, że według pociągów ludzie nakręcali zegarki. Tak,

tak... ja wcale nie poetyzuję. Zachowywaliśmy się jak ludzi z prowincji, którzy potrafią cierpliwie czekać. Mają marzenia nie z tej ziemi, z którymi się obnoszą przed światem, bo tak nie uchodzi. I co najważniejsze, znają swoje miejsce w szeregu. Wiedzą, gdzie umiar ma granicę.

Spotkać taką parę, jak państwo Niedolistkowie, to sama przyjemność.

Miłych ludzi się nie zapomina. Wspomina li tylko przy radosnych okazjach, choć smutno, że ich nie ma.

Już.

Władysław NiedolisteK. Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 10 lipca 2014 roku.

Irena Teresa Nizińska

To była bardzo energiczna nauczycielka ze Szkoły Podstawowej im. Wojciecha i Anieli Małżonków Górskich w Pamiątce koło Tarczyna. Świeżo po Studium Nauczycielskim uczyła historii, geografii, języka rosyjskiego.

Działała w harcerstwie. Organizowała apele.

Pan Kierownik Szkoły Józef Chodecki miał z pani Nizińskiej pociechę, bo potrafiła w ryzach utrzymać uczniów. Wystarczyło, że spojrzała. Umiała stroić sobie żarty. Mieszkała z rodziną na terenie szkoły. Jej mąż był kierowcą, zapamiętałem jego kasztanowe włosy, i nic poza tym. Mieli dwóch synów Sławomira i Roberta.

We wszystko się angażowała. Było jej wszędzie pełno. Taki już miała charakter. No i dobrze, bo zawsze coś się działo w Pamiątce, otulonej lasem mieszanym, sadem, ogródkami działkowymi, dębami i orzechami włoskimi. Dzięki niej była dynamika, a nie statyka.

Głos miała ostry. Nie dopuszczała nikogo do dyskusji. Realizowała zasadę, że ryby i dzieci głosu nie mają. Dzisiaj takie coś by nie przeszło, rodzice by podnieśli larum, że olałoga. Zjechałaby telewizja. W internecie heiterzy by pojechali, jak po łysej kobyle.

Na apelach pojawiała się w stroju harcerskim. Patrzyłem na nią i podziwiałem, bo ja w zuchach wytrzymałem tylko jeden dzień, a pani Nizińska co rusz zdobywała nowe specjalizacje, sznurki i odznaki. Przy takiej nauczycielce mężczyzna musiał się pewnie czuć w terenie. No bo wiadomo – harcerz i bez kompasu trafi nawet, gdy ciemność, że oko wykol. I czuwa. To była drużna (*drużka*). Oto co robi z nas dyscyplina!

Irena Teresa Nizińska. Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 30 czerwca 2014 roku.

Stefan Niżyński

W latach 60. XX w. w sadzie stanął nasz nowy dom z cegły. W Kopanie, poczta Tarczyn. Pokryty czarną, jak smoła, papą. Zamieszkaliśmy pod dachem z kominem, co zakręcał warkoczyki dymu do nieba. Ogień rozpałała matka, to znaczy, że było wiadomo – kto trzyma klucze i nakręca zegary. Ojciec sprawy dnia codziennego powierzył matce. To ona była gospodarzem i wiedziała, co jest potrzebne, a na co trzeba zbierać pieniądze, które chowano do słoika przed myszami i innymi gryzoniami. Tata robił wszystko, żeby od nikogo nie pożyczać.

Kiedy zaczęto kosić zboże, to matka powiedziała do ojca, że tylko patrzeć, jak zaczną padać deszcze. *Trzeba założyć rynny, bo zaleje nas woda* – powiedziała do taty. A on odpowiedział, że wie o tym i nie musi mu tego przypominać. Takie to prowadzili rozmowy. Ktoś by sobie mógł pomyśleć, że dochodziło do kłótni. Z góry uprzedzam, że scysje należały do rzadkości. To nie było w stylu mojego ojca, rzemieślnika z warsztatów kolejowych w Piascznie. W onych czasach słowo rzemieślnik coś znaczyło. Dziś, w dobie seryjnej produkcji, odeszło do lamusa, choć jeszcze się zdarza spotkać *złotą rączkę*.

Pewnego sierpniowego dnia ojciec oznajmił, że przyjedzie jego kolega z warsztatów kolejowych i będzie zakładał rynny i parapety.

Nie wiedziałem, o jakiego kolegę chodzi. Współtowarzyszami mojego ojca byli tokarze, ślusarze, stolarze, kowale, frezerzy, elektrycy, murarze i inni. Czyli swoje chłopy, co mieli fach w rękę i – uogólniając nieco – w głowie wszystkie klepki poukładane. Nie wiedziałem, że wśród nich jest także blacharz, co potrafi okiełznać deszcze, burze z piorunami, śniegi i zawieje.

Tata pod wiatr zaniósł stertę cynowych blach. Do drewnianych skrzynek wrzucił obejmy, gwoździe i gruby, nierdzewny drut. To wszystko przykrył plandeką, bo nigdy nie jest wiadomo, jakie ma kaprysy pogoda. O dom oparł drabinę, którą wykonał stolarz, stary Jan Ogrodny.

W poniedziałek, z opasłą teczką i zawiniętym w gazetę jakimś przedmiotem, pojawił się pan Stefan z Zalesia. Ogolony i wypachniony. Był ubrany jak urzędnik. W niebieskiej koszuli z krótkim rękawem. W granatowych spodniach. Na nogach miał skarpety i sandały. Oczywiście, że nosił na głowie beret, bo w owych latach rzemieślnik bez nakrycia, to nie rzemieślnik. Powiedział dzień dobry. Matka oprowadziła go po działce. Zachęcała, żeby skosztował owoców z naszego sadu. Spec ds. blacharstwa patrzył na dom i kiwał głową. A matula opowiadała z jakim to trudem wzniesiono budynek. Biadoliła na wyrost, jakby chciała zaniżyć cenę usług. I to był błąd, ponieważ rzemieślnicy między sobą się nie targowali. Uzgadniali cenę i koniec. Bez sentymentów i liryzmu.

Pan Stefan zapytał, gdzie może się przebrać? Matka zaprowadziła go do pokoju. Za chwilę wyszedł w ubraniu roboczym. Pod studnią rozłożył się ze swoimi kłopotami. Termos oparł o wisienkę. Z gazety odwinął tajemnicze urządzenie do zwijania blachy. Po czym je zamontował na stole z imadłem. Wyjął długie i ostre nożyce, cęgi, szczypce jak szczupaki. Do rozgałęźnika włożył kabel od lutownicy.

O szarej godzinie wrócił ojciec z pracy. Popatrzył i nic nie powiedział, nawet nie pochwalił, choć matka rozplątywała się w komplementach. Tata zerkał na nią, jakby chciał dać jej do zrozumienia: *Marysia, przestań pleść głupstwa!*

Pan Stefan poprosił o miednicę i ciepłą wodę. Matka przyniosła czajnik. Nalał z czajnika do michy wrzątek i dolał z kubelka, co stał pod studnią, i zaczął się myć.

Po ablucji poszedł do pokoju się przebrać i odjechał pociągiem wąskotorowym.

W ciągu niespełna tygodnia uwinął się z robotą.

Robił, co do niego należy i posprzątał po sobie.

Dzięki niemu dach wyglądał dostojnie, jak człowiek pod krawacikiem. Okna miały srebrne parapety, które lśniły, jak srebrne spinki u mankietów koszuli.

Matka była olśniona. Przecierała oczy i nie mogła się napatrzeć.

Ojciec przyniósł pod wisienkę zapłatę w szarej kopercie. Pan Stefan schował do portfela i nawet nie przeliczył. To świadczyło o jednym, że słowo rzemieślników miało moc. Wiatr nie miał nic do powiedzenia.

Na do widzenia rodzicielka dała panu Stefanowi pękata torbę owoców z naszego ogródka i kwiaty dla żony. To była taka tradycja, żeby nie wychodzić z domu pustymi rękami.

Ojciec odprowadził gościa na stację kolejki wąskotorowej.

Ktoś może sobie pomyśli, że piszę tekst *na blaszkę wyklepany* zamiast poetyzować. Inaczej się nie da.

Dlaczego?

Bo niepisana zasada rzemieślników brzmiała – *Rób swoje i wracaj do domu*.

Chętnie bym o nim skrobnął wierszem, ale nie mam pewności, czy pan Stefan potrafił z gwoźdźcia wyklepać rynnę. Czyli majster-szytk.

O

Jerzy Ofierski (11 I 1926– 24 XI 2007)

Aktor, pisarz, dziennikarz, twórca postaci sołtysa Kierdziołka z Chłapkowic, tj. wiejskiego filozofa, który komentuje bieżące wydarzenia na wsi i w Polsce. Latami uprawiał monolog sceniczny (inc. *Cie choroba*). Miał specyficzny dowcip, występował w radiowej au-

dycji *Podwieczorek przy mikrofonie*, który słuchaliśmy w okolicach *Kwitnącej Jabłoni*. (Podobnie było z innymi programami emitowanymi przez Polskie Radio jak *W Jezioranach*, *Matysiakowie*, *Wesoły autobus*). Pisał książki prozatorskie. Obieżyświat.

Miał charakterystyczny tembr głosu. Jego gadki były podszyte humorem, zdrowym chłopskim rozsądkiem. Za tym śmiechem kryły się prawdy, które przemycił. Był trochę lekceważony. Zapomniany. Szkoda, bo to gość z dowcipem, jakiego coraz trudniej spotkać na estradzie i za kulisami.

Oto próbka jego pogodności, o której Jerzy Skoczylas z kabaretu „Elita” wspomina: (...) *Przypomniała mi się taka scena: mieliśmy wspólną garderobę z Jerzym Ofierskim, słynnym sołtysem Kierdziołkiem. To było w Kostrzynie na biesiadzie satyryków. Myśmy jeszcze wtedy występowali na luzie, po studencku: dzinsy, podkoszulki. Siadamy w garderobę, a przed nami się Ofierski szykował do występu – właśnie krawat wiązał. Spoglądnął na nas kątem oka i mówi: «A panowie tak się nic nie przebieacie?». My na to: No, nie. Na co Ofierski: «Widać dobre teksty...».*

Daniel Ogrodny

Daniel był synem Jana Ogrodnego, stolarza, na którego mówiono „Stary Ogrodny”. Od lat 50. do 70. XX wieku pracował jako pomocnik maszynisty na kolei wąskotorowej relacji Warszawa Południowa–Nowe Miasto nad Pilicą. W latach 70. XX wieku awansował i został maszynistą wagonu spalinowego, tzw. motorka. Nasz sąsiad był porywczy i nerwowy, w przeciwieństwie do swojej żony, pani Stefanii, urodzonej 16 kwietnia 1927 roku, czyli w tym samym dniu, co Joseph Ratzinger, przyszły kardynał i papież Benedykt XVI, który abdykował. Sąsiad-kolejarz odziedziczył pasiekę, oraz książkę Pszczelarstwo. Organ Polskiego Związku Pszczelarskiego i miesięcznik „Poradnik pszczelarski” po Andrzeju Zarzyckim, toromistrzu, co mieszkał naprzeciwko.

Żył 64 lata. Zmarł 23 marca 1994 roku.

Na cmentarzu parafialnym w Rembertowie koło Tarczyna jest jego grób, obok grobowca mojego ojca Czesława, z którym wiecznie był w sporze. Mieli inne zdania, co się mijają, choć chodzili tą samą uliczką i drogami. W tomiku wierszy pt. *Dzięki!* (Warszawa-Ursynów 2012, wydano nakładem własnym) zamieściłem o tym liryk:

* * *

*Paradoks życia. Oto przykład z brzegu.
Na cmentarzu obok mojego ojca leży Daniel,
maszynista kolei wąskotorowej. Sąsiad, z którym
mój ojciec miał zawsze na pieńku. Klócili się,
a kiedy zbliżały się święta, Daniel przynosił
butelkę wódki, a pani Stefania blachę ciasta.
I siadali do stołu przykrytego śnieżnym obrusem.
Godzili się, przepraszali i pili na pohybel losu.
Po śmierci, obaj leżą w betonowym grobowcu.
Tak zgodni, że bosc trawy za nich się modlą.
Wiem o tym od wypalonych zniczy i sztucznych kwiatów.*

Aha!

Kiedy przygotowywałem debiutancki tom prozy pt. *Bądź zdrów!* (Oficyna „Z bliska” Biblioteki Publicznej w Gołdapi) mój syn Paweł Piotr wykorzystał zdjęcie czarno-białe Daniela Ogrodnego z Kopańskiej koło Tarczyna, dawny powiat grójecki. Wykonał okładkę. Z polotem. Dzięki książce wróciłem do pierwszej fotografii, jaką zrobił mi maszynista grójeckiej ciuchci, którą po 1989 roku skasowano, bo lokalnym władzom zabrakło wyobraźni i pewnie denerwowało ich to, że coś się ludziom udało.

Mała fotka to jedyna pamiątka z dzieciństwa. Nie chcę tego nazywać – sentymentalna, bo to byłaby (gruba) przesada do *światła druku*.

Daniel Ogrodny. Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 4 sierpnia 2016 roku.

Daniel Ogrodny. Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 25 lipca 2018 roku. Drugie wspomnienie było lekko poprawione.

Jan Ogrodny (1902–17 IV 1980)

Mówili o nim *Stary Ogrodny*. Mieszkał z żoną Petronelą (zm. 28 stycznia 1991 roku) przy drodze, jak drzewiej mówili na wsi. Idąc od stacji kolejki wąskotorowej, trzeba było minąć aż pięć chałup murowanych, żeby do niego trafić. Był stolarzem. Albo jak kto woli: cieślą. Piła u *Starego Ogrodnego* pracowała od rana do późnej nocy. Jej dźwięk był komentarzem, że miał pełne ręce roboty. Przez sześć dni tygodnia. W niedzielę u niego tylko w pasiekach były w ruchu tylko pszczoły. Nie było mowy, żeby włączył krajeżę; nawet do ręki nie wziął młotka. Nie sypał trocinami lub wiórami.

Opowiadano, że to mruk i chadziaj (bogaty gospodarz) lub, inaczej, majątkarz (gwara mazurska). Że lepiej się z nim nie targować. Dawniej był właścicielem ziemi, którą moi rodzice kupili i pobudowali dom, posadzili drzewa i krzewy owocowe. Obok naszej działki była jego wielka łańca roli. Wąski pasek między oddzielał nasze od jego pola, na którym uprawiał zboże albo kartofle. Tak na zmianę. Pole uprawne traktował jak posąg, nie mogło leżeć ugięciem.

W niedzielę przed południem *Stary Ogrodny* obchodził swoje dawno, dawno temu sprzedane działki. Szedł, podpierając się leszczynową laską. Wolniutko drobił i dyszał. Obserwował. Mrużył oczy. Kiwał głową. I nic nie powiedział, bo *Stary Ogrodny* poza *choleria...*, nie mówił za wiele. Lustrował. A kiedy obszedł swoją ziemię i miał buty ciężkie od rosy, odwiedzał mojego ojca. To znaczyło, że ma jakiś interes. Tata wychodził na podwórze. A matka uspakajała psa, żeby nie ujadał. Stary rzemieślnik siadał w ganku. Zdejmował czapkę. Matka przynosiła popielniczkę, bo bez papierosa nie

było sposobu z nim pogadać. Tata siadał na zydelku przed domem, bo nikotyna przyprawiała go o mdłości. To on radził się ojca i pytał, czy może przynieść piły do naostrzenia, bo mają tak zdarte zęby, że nie sposób rznąć. Narzekał, że chłopci przywożą podkłady z torów, które tępią i wyrwiają zęby. Z tych cięć podkładów miał na całe życie traumatyczny ślad. Kiedyś uszczerbek z piły wpadł do jego oka. Nie uratowano gałki ocznej, która wypłynęła. Od tamtego wypadku miał szklane oko, które zachodziło biało-żółtym nalotem i na dodatek łzawiło. Mój ojciec nie lubił ostrzyć pił, bo piły nie dość, że miały ponad metr średnicy, to każdy ząbek trzeba było bardzo starannie wygładzić pilniczkiem. To była dłubanina. W ganku siedział *Stary Ogrodny* i ćmił najtańsze papierosy bez filtra, i snuł opowieści z szyfrem. Mimochodem patrzył na drzwi, jakby chciał sprawdzić, czy jego robota dobrze się trzyma. Okna i drzwi z framugami we wszystkich prawie domach na wsi były jego dziełem. Z warsztatu Ogrodnego pochodziły skrzynki, platony, drabiny, deski do wozów, sztachety na płot. Oczywiście, że potrafił zbić łóżko, kołyskę, a nawet trumnę. Wszystko, co wyszło spod jego rąk, było solidne, ciężkie. Na długie lata. Ojciec lubił sobie z nim pogadać. Jak rzemieślnik z rzemieślnikiem.

I następowała chwila, kiedy *Stary Ogrodny* brał czapkę i laseczkę, i mówił: *No to przyjdź po piłę, Szczepaniak*. Słowa starego stolarza brzmiały jak rozkaz. Tata nic nie odpowiadał. To znaczyło, że w poniedziałek będzie musiał znów ostrzyć piłę. Ojczulek, zgodnie z polskim zwyczajem, odprowadzał gościa do bramy. Wolniutko szli przez wąski pasek ścieżki porośniętej bosą trawą i zieliskiem.

Po każdej jego wizycie byliśmy zdziwieni, bo na krześle, na którym siedział, były zawsze trociny. Wszyscy jak jeden pytaliśmy: skąd się one wzięły.

Jan Ogrodny potrafił różdżką wskazać, gdzie jest woda i można kopać studnię. Brał w dłonie kijek kształcie Y i szedł, i mówił: *To tu!* Kopano i wybijała woda w studni. Na kilka kręgów.

Przez cały tydzień dom *Starego Ogrodnego* się nie zamykał. Chłopi przywozili bale drewna, które ciął i narzekał jak Polak, z kresowym akcentem.

Nagle zachorował i jeszcze szybciej zgaś.

Kiedy umarł, na tablicy na jego grobie w Rembertowie koło Tarczyna wyryto, że pochodził z Wołynia. O miejscu urodzenia nieraz opowiadał. Od brata Ireneusza dowiedziałem się, że raz do roku wyruszał w świat. Ubierał się elegancko i z walizeczką jechał w odwiedziny. Gdzie? Nie wiadomo. Poza tym lubił, gdy wracał z kościoła w Rembertowie, peregrynować po gospodarzach. Zatrzymywał się w domach i korzystał z prawa gościa. Pod wieczór ściągał na swoje podwórko. Pamiętam jego charakterystyczny tembr, przeniknięty kaszlem i chrypiący. Zawsze miał w ustach przyklejony okruch papierosa. Lubiał palić fajeczki w orzechowej fifce. Mocno się zaciągał. Dym go szczypał do łez. Kaszał. I dla kurażu głośno chrząkał. Nie zapomniałem jego śmiechu, powleczonego nostalgią. Ze znaków szczególnych zapamiętałem, że nosił grube pikowane spodnie, na grzbiecie dźwigał waciak, zaś na głowie miał sfatygowaną czapkę z daszkiem, wypłowiałą, obsypaną pyłem trocin. W ustach miał okruch papierosa, więc nie muszę pisać, że jego nutą zapachową był tytoń (spalony) wymieszany z żywicą spod gorącej piły. Nie zapomniałem o tym, że w jego kuchni stał trociniak, przy którym zwykł sobie od czasu do czasu grzać miejsce, gdzie kończy się szlachetna część pleców. Dla mnie, Mirusia, to był odważny gość. Silny, twardy, chytry na robotę. Stolarz, snycerz, tracz... w jednej osobie.

Piszę o Janie Ogrodnym, choć wiem, że to są li tylko trociny spod piły *Starego Ogrodnego* z Kopanej, którego serce biło w Wołyniu. Dziś w tym miejscu, gdzie mieszkał, wybudowano dom-pałac z monitoringiem, ogrodzony wysokim żelaznym parkanem, z ciężką bramą. Oto jak kończą się baśnie. Z dzieciństwa i młodości.

Józef Olszewski i Szczepan Grzondkowski

Mój dziadek Józef, ojciec mojego ojca, podobno, tak opowiadała siostra, gdy umarł młodo, to ksiądz nie chciał go pochować w Wórowie k. Grójca. *Taki był socjalista, Miruś...* Po śmierci babcia Leokadia wyszła za mąż za Olszewskiego i urodziła 5. dzieci, mojego ojca Czesława przygarnęła babcia Studniarkowa – dla nas prababcia; wspaniała kobieta, która do końca swego życia wychodziła na polne dróżki, żeby sprawdzić, czy z 2. wojny światowej Józek nie powraca. W jej domu na ścianie wisiły jego skrzypce.

Pamiętam Józefa Olszewskiego, ojczyrna mojego taty, bo jak się denerwował, to rzucał o ziemię czapkę i podnosił. Jak kozak. Czasami potrafił się tak unieść w gniewie, że tupał nogą – i zaklął jak chłop, żeby złość przeszła i opadł kurz.

Drugi mój dziadek, Szczepan Grzondkowski (z Józefa z Fronczyków), ojciec mojej matki, póki się nie ożenił, był w Rembertowie ministrantem – biegał na czczo na mszę, żeby zdążyć jeszcze przed pierwszą zorzą. A potem, kiedy się ożenił z Zofią (z d. Niewiadomska), nosił księdzu zaskórniaki. Babcia urodziła pięcioro dzieci.

Matka, kiedy podchodziła pod 90., powiedziała do siostry, że w dzieciństwie chodziła głodna. W tym czasie ksiądz osiągał ideał kuli, tył.

O dziadku Szczepanie skrobnałem kilka opowiadań, w których trochę nakłamałem. Było to w czasie, kiedy pochylałem się nad Biblią i żyłem jak mnich, ale według własnej reguły. Za kilka lat to mi przeszło. Stał się antycud, którego się nie wstydzę. Wręcz przeciwnie! I poczułem ulgę, że już nic nie muszę. Zrozumiałem, że nie warto oszczędzać na prawdzie – staram się pisać słonecznie w niebieskim zeszycie chmur, które skubią owieczki i baranki. Jam tylko pastuszek, który skreśla wyrazy ukradkiem, a nie gra na fujarce z wikliny. (W życiu nie spotkałem fauna, przed którym mnie ostrzegali starsi).

Wanda i Zygmunt Ostrowscy

W Grójcu, przez który płynie struga Molnica, zawiązano mój pępek. Ponieważ w tym mieście zachorowałem, więc to miejsce było dla mojej matki traumą. O Grójcu wspaniale opowiadała moja ciocia Wanda Ostrowska (1930–2013), która mieszkała w Kobylinie k/Grójca. Ciocia i wujek Zygmunt mieli sad. Wujek dorabiał u okolicznych sadowników, bo drzewa owoce lepiej znał niż swoją kieszeń.

W latach 80. XX wieku siostra mojej matki, w czasie odwiedzin w naszym domu w Kopanie, powiedziała: *Ten sadek sadził jego dziadek*. Po czym wyjaśniła, że tak mawiano przed laty w dawnym powiecie grójeckim. Tego przysłowia nie ma w 4-tomowej antologii pt. *Nowa księga przysłów i wyrażeń przysłowiowych polskich w oparciu o dzieło Samuela Adalberga opracował Zespół Redakcyjny pod kierunkiem Juliana Krzyżanowskiego*, PIW, Warszawa 1969. Być może jest to mutacja przysłowia: *Dobry sadek, który sadził dziadek*.

Moja chrzestna wspomagała wujka we wszystkich pracach w sadzie i przechowalni. W obórcie mieli krowę, więc nie brakło mleka, śmietany i sera. Wujek prześwietlał drzewa nożyczkami rozsądku, dbał o opryski. Z liści czytał notatki, nakapane przez korzenie. Walczył z chwastami i wszelkim chorobami drzew owocowych. Na punkcie zdrowych owoców miał bzika. Prenumerował specjalistyczną prasę. Sprawdzał teorię z praktyką. Konsultował się z sadownikami. Ciocia czasami przywoziła nam kilka jabłka. Owoce były soczyste, chrupkie, o smaku mandarynek. Młodsza siostra matki, żeby troszeczkę się pochwalić, mówiła, że owoce wysyła na Zachód (Niemiecka Republika Demokratyczna). Pamiętam jak wujaszek obchodził z moim ojcem nasz przydomowy sadek. Brał liść i czytał, i paląc papierosa, pouczał. Czasami się unosił i purpurowiał, i z wdziękiem kłął (*Cesiek, k... jego mać!*). Oczywiście, że mój tata odkuwał się potem na wujku, który prosił go, żeby coś mu wytoczył na tokarce do jego fikuśnego ciągnika sadowniczego. Wujek Zygmunt słuchał, zerkając na nasze owocowe drzewka. Oprowadzanie po działce należało do rytuału każdych odwiedzin.

Ciocia w wolnych chwilach szła na maszynie nożnej marki „Łucznik”. Ponieważ specjalizowała się damskich kreacjach, więc jej sława przekraczała granice dawnego powiatu grójeckiego. Matka nieraz wzdychała, że to świetna krawcowa, tylko trzeba ją długo prosić.

Moja chrzestna (dawniej mawiano kuma) nieraz mówiła: *Mirus, ja muszę być choć raz w Grójcu, żeby się dobrze poczuć.*

Ciocia latami drałowała do Grójca. 30 minut na piechotę, a z podwózką – 5 minut. Nieraz nawet 2–3 razy. To może być komentarzem o jej kondycji. Nie chcę tu używać wielkich słów, ale... muszę napisać, że tak zachowuje się tylko grójecki patriota. Podobno znała wszystkich z Grójca, który liczy sobie około 15 000 mieszkańców. (A jeżeli miała wątpliwość, odpowiadała – *to pewnie Cygan albo Żyd*).

Ciocia z wujkiem wolniutko gaśli.

Podczas odwiedzin ciocia było oburzona zdzieniem obyczajów, jakie mają miejsce pod koniec XX wieku na cmentarzu w Grójcu. W pewnym momencie zaczęła snuć: *Mirus, z grobu Kosztelskich ukradziono wieniec. Opowiadam sąsiadce o tym zdarzeniu. A ona mi na to, Mirus, zapytała: «Dwoje ich leży w ziemi i nie upilnowali złodzieja?!»*

Aż przyszedł czas i zdrowie odmówiło posłuszeństwa, i przestała opuszczać podwórko. Zabrakło im chyba ze dwa miesiące na 50-lecie pożycia małżeńskiego.

Odszedł wujek.

Ciocia nie wychodziła już za bramę. Nagle zaśląbła. Pogotowie zabrało ją do szpitala w Grójcu. Zmarła w wieku 81 lat. Spoczęła na wieki wieków w Grójcu. Z wujkiem.

Taki to bywa los ludzi i obowiązują zasada: *bądź zawsze gotowy za złe słowa z słowy.*

Gdyby szukano patrona ulicy w Grójcu albo w Kobylinie, zgłaszam ciocię Wandzię z wujkiem Zygmuntem.

Dla mnie to był wzór, jak kochać Grójec, choć cioci przez usta tak łatwo nie przechodziły pewne intymne słowa jak miłość.

Ciocia Wandzia była otwarta na to, co przynosi życie i nie dopuszczała myśli, że nie zawsze tak będzie. Że otwarta księga się zamknie.

Wacław Pawlak (1909–7 IX 1989)

P

W maju 1965 roku pojawił się w Szkole Podstawowej im. Wojciecha i Anieli Małżonków Górskich w Pamiątce koło Tarczyna, woj. warszawskie. Pamiętam, że jak wracałem ze szkoły do domu, to widziałem, jak stał na przystanku PKS. Cierpliwie czekał na autobus do Grójca. Zerkał na szkółkę ogrodniczą w Księżowoli. W garniturze. Elegancki. Z teczka. Z siwymi zaczesanymi włosami. Wglądał jak urzędnik.

Nic o nim nie wiedziałem. Wieść gminna głosiła różne opinie, które nie sprawdzałem ani nie powtarzałem. Może Pamiątka była dla niego zsyłką? Nie wiem.

W budynku szkolnym nieraz go mijałem. Kłaniałem się. I to wszystko. Nigdy z nim nie rozmawiałem.

Moja siostra mówiła, że można z panem Pawlakiem wytrzymać. Że zawsze patrzy na uczennice, jakby chłopców nie zauważał. Dla mnie znaczyło to tyle, że za bardzo nie wymaga i nie straszy dwójkami. Siostra utrzymuje, że uczył historii, języka polskiego, muzyki, grał na skrzypcach. Na lekcjach i szkolnych apelach.

To był jedyny nauczyciel, który przyjeżdżał z Grójca.

Potem dowiedziałem się, że pracuje w Liceum Ogólnokształcącym w Grójcu (kierownik świetlicy, nauczyciel wychowania plastycznego).

Już myślałem, że pan Wacław Pawlak odszedł w zapomnienie.

W 1994 roku prof. Zdzisław Szelaąg przysłał mi na pamiątkę *Słownik wiedzy o Grójeckiem* (Pod redakcją Zdzisława Szelaąga, Zeszyt drugi, Towarzystwo Literackie im. Adama Mickiewicza, Oddział w Grójcu, Grójec 1994). W książeczce profesor napisał biogram w *systemie holenderskim* (po polsku to znaczy tyle, co *alfabetycznie*)

o Waławie Pawlaku. Dzięki temu wiem, że to był nauczyciel, bibliotekarz, działacz społeczno-kulturalny. Że pracował w Pamiętce do 31 sierpnia 1966 roku. Potrafił nauczać rysunków i dziennikarstwa. W niejednej szkole pracował, więc poznał niejednego kaflowy piec i drewnianą ławkę oraz tablicę. Profesor dokładnie opisał peregrynacje pana Pawlaka, który z niejednego pieca jadł chleb i bułkę, i nie lubił za długo usiedzieć w jednym miejscu. Profesorowi nie umknął żaden znaczący fakt. Wychwała nauczyciela, który był współorganizatorem *Grójeckich Dni Kwitnących Jabłoni*. Taktownie przemilcza. Ba! Potrafił pisać scenariusze, zrobić oprawę plastyczną. Pisał satyryczne kuplety i okolicznościowe piosenki. Miał odznaki i medale, oraz dyplomy, i pewnie stąd u niego to upodobanie do marynarki z klapami. Że trzeba być gotowym, bo nigdy nie wiadomo, czy nie wezwą do odbioru medalu. Dzięki słownikowi ocalono od zapomnienia wiele imion i nazwisk (i nie tylko!). Gdybym nie otrzymałem gratis tego grójeckiego zeszytu, jakie ubogie byłoby moje wspomnienie o nauczycielu, który stał na przystanku PKS Pamiętka. Przy trasie E7 – obok krawężnika asfaltowej łąki. Naprzeciw siatki, za którą była szkółka drzew owocowych PGR Księżowola. Siwy pan czekał na (niebieski) autobus. W jednej ręce trzymał teczkę, zaś przez ramię miał przerzucony zatrzaśnięty futerał od skrzypiec. W Pamiętce był gościem znad Molnicy. Innymi słowy, z Grójca.

PS

W książce Hanny Wołkiewicz pt. *Pamiętka każe pamiętać. Szkic monograficzny z dziejów Szkoły Powszechnej imienia Wojciecha i Anieli małżonków Górskich w Pamiętce w latach 1925–1998* (Wydawca: Regionalny Ośrodek Kultury w Tarczynie na zlecenie Szkoły Podstawowej imienia Wojciecha Górskiego w Pamiętce, Pamiętka kwiecień 1998) w wykazie *Nauczyciele i katecheci szkoły w latach 1946–1997* odnotowano Waławę Pawlak. Poza tym zamieszczono jego zdjęcie z niepełnym gronem pedagogicznym (Stanisław Fijałkowski, Ewa Rutkiewicz, Józef Chodecki – kierownik szkoły, Marianna

Jakubowska, Helena Dorocińska). Kadra nauczycieli stoi, w tle sad, gdzie rosły słynne czereśnie *pamiętkowskie*, które wyrwano przed laty. W tym miejscu wybudowano aneks szkolny.

Wacław Pawlak (1909–7 IX 1989). *Wspomnienie*,
„Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 9 stycznia 2014.

Wacław Pawlak

Było dwóch Wacławów Pawlaków, choć jeden o drugim nic nie wiedział.

Pierwszy, nauczyciel z Grójca, o którym pisałem w „Gazecie Wyborczej Stołecznej” z 9 stycznia 2014 roku.

Drugi Pawlak pochodził z Rembertowa koło Tarczyna. To był studniarz. Robił kręgi i kopał, póki woda nie wybiła, jak źródło. Mówili na niego *Wacús*. To był bardzo wesoły człowiek, choć pracę miał niebezpieczną. No bo drążył ziemię, a potem w ten starannie wykopany dół wpuszczał obręcz betonowego kręgu. I dalej kopał, póki nie wybiła kurzawka. A jak wytrysła woda, to szybko musiał zmykać, żeby go błoto nie wciągnęło jak bagno. Kopanie studni wymagało siły, sprytu i pomysłu. Poza tym *wszystkiego się czepiał, aby zarobić* – tak mi powiedziała matka, rocznik 1926.

Wacús nieraz przed robotą zachodził do nas. Wóz zostawiał na ulicy, pod wisienką. Na furze były dwa duże betonowe kręgi, umocowane linami i drutem. Wpadał do domu jak po ogień. Lapidarnie mówił: *Marysia, pożycz mi szklaneczkę, po robocie ci oddam*. Matka miała w pogotowiu kilka szklaneczek po musztardzie, specjalnie dla takich gości jak on. Brał grubościenny słoiczek bez gwintu, w formie lekko stożkowej i pędził na metę, żeby kupić flaszeczkę. I jechał do roboty.

Oczywiście, że po pracy przynosił małe naczynie szklane. Dotrzymywał słowa jak harcerz. Może tym porównaniem z harcerzem posunąłem się za daleko, ale... coś jest na rzeczy. Na pewno to jest jasne dla tych, co lubią pić tzw. harcerzyka.

Był zawsze taki wesolutki i skory do miłych komplementów. Nie słyszałem, żeby narzekał. Zachowywał się jak nie-Polak. Taką postawą bardzo mi imponował.

I tak to trwało od wiosny do pierwszych przymrozków.

Kopał studnie.

Pożyczał szklaneczkę. A przy okazji wspomagał polski przemysł spirytusowy i nikotynowy. (Nie wiem, czy znał polskie przysłowie: *nie pije, nie tabaczny i gównu znaczy*).

Aha!

Podobno był z nami spokrewniony – stanowił gałąź rodziny. Z czego byłem bardzo dumny. Był, jak do się kiedyś gadało, po kądzieli. Konkretnie: ze strony mojej babci Zofii Grzondkowskiej.

Dzięki jego pracy ludzie mieli zadaszone studnie, w których woda uderzała do kręgow. Pijane wiadra nosili do domów.

Dzisiaj okoliczne wsie są skanalizowane, ale studnie pozostały, bo krynic nie zwykło się zakopywać. Taki jest przesąd. Studnia to nie kuchnia z bladymi fajerkami.

Wacús to była bardzo znana postać w okolicach *Kwitnącej Jabłoni*.

Wcale nie przesadzę, gdy napiszę, że jego zasług nie sposób spiścić na skrzydełkach jaskółek, które kreślą ballady o deszczu.

Dzięki takim jak on – blacharze musieli się starać, żeby z gwoździa rynnę wyklepać.

Wacław Pawlak. Wspomnienia, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 4 kwietnia 2014 roku.

Prof. dr Szczepan Aleksander Pieniążek (27 XII 1913–1 VII 2008)

Było to w 1986 roku. Redakcyjnym samochodem „Tygodnika Kulturalnego” pojechaliśmy do Anina zabrać profesora Szczepana Pieniążka do Skierniewic. Zadzwoniłem. Przybiegł duży pies i mnie obszczał. Po chwili pojawiła się żona i powiedziała: *mąż zaraz bę-*

dzie. Szczuplutki pan profesor drobił małymi kroczkami. Spytałem, czy możemy zrobić zdjęcie. Nie było sprawy! Fotoreporter kilka razy pstryknął i ruszyliśmy przed siebie – do Instytutu Sadownictwa w Skierniewicach. Skierniewice w onych latach były miastem wojewódzkim, z Komitetem Wojewódzkim Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, na czele którego stał sekretarz Leszek Miller. Przed południem pojawiliśmy się w południowej części Równiny Łowicko-Błońskiej (Nizina Środkowomazowiecka).

Pan profesor oprowadził nas po sadzie doświadczalnym. Zachwalał. Mówił, pokazywał karłowate jabłonie, oblepione jabłuszkami. A ja upominałem się za starymi odmianami jabłek (kosztela, antonówka, malinówka). Opowiadałem o swoich okolicach *Kwitnącej Jabłoni*. Profesor skusił mnie jabłkiem. Wziąłem. Wytarłem i zanurzyłem zęby w jego treść. Profesor zachwalał. Nie komentowałem, co odczuwam, żeby znanego pomologa nie zasmucać. Ponieważ pan profesor jadł z niejednego sadu owoce, powiedział do mnie: *Proszę pana, w tym sadzie, jak pan zauważył, nie ma drabin. Bo jak by sadownik miał wejść na drabinę, to mu z kieszeni pieniądze uciekną.* Fotoreporter dodał, że *w tym sadzie są drzewa takie, jakby ktoś je batem przyciął.* Profesor spojrzał zza krzaczastych brwi na fotoreportera. Zdążyłem jeszcze zapytać, czy mogę sobie zapalić? *Niech pan pali, tu jest dużo powietrza.* Zrobiła się taka nijaka sytuacja. Jakoś nas te (niskopiennie) sady nie wzięły w ramiona. Ze wszystkiego wybawił nas sam profesor: *Kiedyś zaprosiłem do tego sadu malarza, żeby namalował jabłonie. I nagle widzę, jak artysta poszedł gdzieś i znalazł rachityczną, starą jabłoń i ją namalował, na te jabłonie nie spojrzał.* Z miny profesora widziałem, że był zdziwiony. Zrozumiałem, że podobnie, jak artysta malarz, zawiodłem profesora. Zamiast wpaść w zachwyty. Przygasiłem papierosa. Aż mnie korciło, żeby powiedzieć *pochwalone drzew starych święte bezrobocie* – (Emil Zegadłowicz, *Ballada o trzecim powsinodze beskidzkim sadowniku, o oknie w nie swój sad spoglądającym życzliwie, także o jabłkach, gruszkach, śliwach i drzewie krzyżowem rozkwitłem owocami*).

Chwileczkę pobyliśmy i ruszyliśmy z garścią jabłek od profesora Pieniązka w kierunku Iłży, gdzie był natchnięty *Malinowy chrusniak* Bolesława Leśmiana.

W czasie jazdy samochodem, jabłkami gasiliśmy pragnienie. Jabłuszka były takie soczyste.

Raz się tylko spotkałem z panem prof. Szczepanem Pieniążkiem. Mam kilka czarno-białych zdjęć oraz felieton pt. *Na czatach*, który ukazał się w „Tygodniku Kulturalnym” 1986, nr 32.

Nie ma Autora *Dookoła sadowniczego świata* oraz „Tygodnika Kulturalnego”, którego redakcja mieściła się przy ul. Grzybowskiej 4, a potem przy ul. Nowogrodzkiej 22. Pismo Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego nieraz śni mi się. Za to mamy w bród owoców. Niemała w tym zasługa profesora Szczepana A. Pieniązka. Mamy też kłopot z klęską urodzaju, więc jest duży spad na fartuchu ziemi. I to jest skandal, niestety.

Dopisek w czasie korekty: jeden z moich ziomków zwrócił mi uwagę: *Mirek, ty piszesz okolica «Kwitnącej Jabłoni», a jesienią owoców nie zbierają, bo im się nie opłaca za 9 groszy za kilogram zbierać jabłek...*

Odpowiadam, że piszę wspomnienia, za które nigdy mi nie zapłacono, więc sprawy się jeszcze bardziej komplikują.

Bogdan Przyborowski

W wierszu Pod Trzema Gwiazdami (*** *W Kopanie przed zimą kwaśno-ciepło*) m.in. we wrześniu 1986 roku pisałem: (...) / *Bogdan P. który zachorował / na jesieni nosi klatki przez tory i / tarza się w błocie mówi że idą / gorące dni – / (...).*

Liryk opublikowałem w lubelskim kwartalniku „Akcent” 1988, nr 3, znalazł się także w spisie treści tomiku poetyckiego pt. *Po naszej stronie* (Młodzieżowe Centrum Kultury, Gdynia 1988). Wiersza nikt nie przeczytał, bo ludzie z okolic *Kwitnącej Jabłoni* mocno trzymają się prozy życia.

Bogdana pamiętam jako radosnego młodzieńca. Skorego do żartów, pracowitego. Mijałymi się i nigdy ze sobą nie rozmawialiśmy. Kiedy mówiłem dzień dobry, odpowiadał – *Cześć, Mirek!* I szedł przed siebie. Zaczepił mnie dopiero w 1986 roku, kiedy choroba psychiczna zaczęła nim poniewierać. Tracił kontakt ze światem. Był moim sąsiadem, kłaniał się rodzicom. Matka chwaliła go, że jest taki grzeczny. Że pracuje. Dość długo był kawalerem. Aż w końcu się ożenił. Wybranka pochodziła z Ochotniczego Hufca Pracy PGR Pawłowice. Pamiętam jego wesele, o którym opowiadano. Słyszałem nieprzyjemne prawdy. Małżeństwo szybko się zaczęło i jeszcze szybciej skończyło. Po rozwodzie zaczął się dziwnie zachowywać. Jego ukochana (nieboga) odeszła w siną dal.

Nieraz go widziałem go w pociągu wąskotorowym, jak marokotny siedział w wagonie. A potem było już coraz gorzej i gorzej. Obłąd go chwycił i nie popuszczał. I nikt nie ruszył mu na odsiecz. Pod sklepem siedział w zmiętych trawach, z tymi, którzy nie mogli się oderwać od szyjki butelki. Choroba i alkohol przyspieszyły śmierć. I bardzo szybko o nim zapomniano. Został w moim utworze literackim, choć jego życie nie miało w sobie nic z poezji. Od dr. Andrzeja Horsta, świetnego historyka-archiwisty, jego szkolnego kolegi ze Szkoły Podstawowej im. Wojciecha i Anieli Małżonków Górskich w Pamiętce koło Tarczyna, wiem, że Bogdan bardzo lubił czytać Henryka Sienkiewicza. Mój starszy kolega z czułością go wspomina. Andrzej, ilekroć wdepnie na cmentarz w Rembertowie koło Tarczyna, tylekroć zapala Bogdanowi świeteczko; odwiedza też inne groby, co może być komentarzem, jak szanuje pamięć. Ponieważ nic dotychczas nie zrobiłem dla mojego ziomka, więc spróbowałem coś o nim skrobnąć. Zacząłem wierszem, bo to trudniejsze. Pisząc o nim, wiedziałem tylko tyle, że w 1958 roku ukończył siódmą klasę. O tym jest wzmianka w rozdziale pn. *Absolwenci*, w książce Hanna Wołkiewicz, *Pamiętka każe pamiętać. Szkic monograficzny z dziejów Szkoły Powszechnej imienia Wojciecha i Anieli małżonków Górskich w Pamiętce w latach 1925–1998* (Wydawca: Regionalny

Ośrodek Kultury w Tarczynie na zlecenie Szkoły Podstawowej imienia Wojciecha Górskiego w Pamiętce, Pamiętka kwiecień 1998). Imię i nazwisko. I tyle.

R Apolonia i Lucjan Rajewscy

Piszę w liczbie mnogiej, choć nigdy z panem Lucjanem nie zamieniłem ani pół zdania. Za to pani Apolonii trochę się nasłuchałem. Mieszkali w Kopanie, poczta Tarczyn, na rzut beretem do szosy krakowskiej (E7). Mieli trzy córki: Alina, Anna, Danuta. Jej dom to była forpoczta. Prowadziła sklepik spożywczy. Do niej gnali na przerwach uczniowie ze Szkoły Podstawowej im. Wojciecha i Anieli Małżonków Górskich w Pamiętce koło Tarczyna. Nieraz pan kierownik szkoły Józef Chodecki zachęcał uczniów, żeby poszli do sklepiku *cioci Rajewskiej* i kupili sobie bułkę albo mleko w szklanej butelce z kapslem. Pani Rajewska prowadziła sklepik, do którego się wchodziło po stromych betonowych schodach. Siedziała za ladą w białym fartuszk. Miała tapir na głowie. Włosy spięte białym szlaczkiem krajki i spineczkami. Była zawsze umalowana. Powierzchnia sklepiku przypominała mały pokoik. Na półkach był chleb i bułki. W skrzynce butelki z piwem, oranżadą, mlekiem, kefirem. Było w nim, jak się drzewiej mówiło, mydło i powidło, a nawet wino patykem pisane z Głuchowa k. Grójca. Zza szybką była piramidka z landrynek i cukierków w papierkach (miała wspaniałe grójeckie „krówki”). W sklepiku panował słodki zapach. Uczniowie cierpliwie ustawiali się w kolejce i czekali. Nie było mowy, żeby ktoś krzyczał i robił brewerie. Pani Apolonia potrafiła zdyscyplinować tych, którzy nie mogli się opanować. Uczniów znała z imienia i nazwiska. Wiedziała kto jest jego matką i ojcem, i nie tylko. Anonimowość w okolicach *Kwitnącej Jabłoni*, to rzecz nie do pomyślenia. Jeżeli komuś zabrakło pieniędzy, to nie robiła z tego powodu dramatu. Sprzedawała, bo wiedziała, że uczniowie ze szkoły w Pamiętce nie kiwają, tzn. jeszcze nie nauczyli się cwaności i bajeru. Nie należałem

do stałych klientów, bo kanapki mi wystarczały, ale... zachodziłem; dla przyzwoitości coś kupowałem, żeby pani Rajewska nie myślała, że mam węża w kieszeni. Oczywiście, że lubiłem patrzeć, jak się przeciska pani Apolonia między ladą a ścianą. Czasami znikwała za drzwiami, żeby wpaść do swojego domu i słyszałem jej podniesiony głos. To znaczyło, że kogoś z domowników przywoływała do porządku. Jaki ona musiała mieć posłuch! Muszę się przyznać, że bardzo mi się podobała jej praca. Że nie musiała wychodzić z matcznika do pracy, bo sklep był pod jednym dachem.

Jej mąż krzątał na podwórku. Pracował na świeżym powietrzu. Chodził w robociarskim ubraniu i szarej czapce z daszkiem. Miał szmat ziemi i sad. W sezonie prowadził skup owoców. Widziałem jak nieraz jechał wozem ze skrzynkami. Aha! Do pani Apolonii w południe przyjeżdżał samochód marki „Żuk” i dostarczał produkty z Tarczyna. Pamiętam zapach okrągłego chleba i długiej chudej żółciutkiej bułki. Jeszcze słyszę jak chrupią pieczywo uczniowie ze szkoły Wojciecha Górskiego. Nawet teraz, gdy to piszę, przełykam ślinę. Oto co z człowiekiem potrafią zrobić wspomnienia ze szkolnych lat, kiedy to na dużej przerwie pędziliśmy ile sił do pani Apolonii Rajewskiej z Kopanej, przy szosie krakowskiej. Ponieważ pochodzę z tej wioseczki, która drzewiej nazywał się *Szczera Wieś*, więc z mlekiem matki wyssałem to, że nie muszę obwijać słów w bawełnę. Czyli oszczędzać na prawdzie.

Ci, którzy by chcieli zobaczyć miejsce, gdzie mieszkali, muszą zasmucić, bo tędy prowadzi droga ekspresowa S7 z Warszawy do Grójca (29,2 km), węzeł Tarczyn Północ i Tarczyn Południe. Dwupasmowa trasa pochłonęło to, o czym piszę. Mówiąc wprost – zalano asfaltem.

Podobny los spotkał domy Dryglewskich, Gadomskiej i innych. Wyrwano sady, pola i łąki zamieniono w coś, co jest dalekie, a nie bliskie. Pod piłę poszły aleje kasztanowców, co mają pięciopalczaste liście i owoce w mundurkach. Oto cena industrializacji, żeby wieś pokarać miastem.

Noga na gaz!

Mamy drogę dwupasmową, więc na trzeciego nie będę się wciskał. To nie jest moja baśń. S7 nie złapie mnie na haczyk. Ja już nią nie przejadę. Na szczęście. Zachowam w sobie starą dwupasmówkę, na której spieszo się powoli.

Drogi są po to, żeby zatrzeć ślady, więc szlus!

Oczywiście, że nie wiedziałem o tym, że św. Apolonia – jest patronką stomatologów (w prawej ręce trzyma obcęgi z wyrwanym zębem, w lewej palmę i księgę). Wspominam o tym, bo piszę o czasach szkolnych, gdzie mieliśmy mocne zęby i chrupaliśmy bułkę, aż nam się uszy trzęsły.

PS

O tym, co się stało w 2019 roku pisze naoczny świadek:

Szanowny Panie Mirosławie, u nas w okolicy Kwitnącej Jabłoni pusto, smętnie i bez słońca. Od czasu do czasu drogą przez wieś przemknie samochód, poza tym żywego ducha.

Ale z daleka dochodzą odgłosy pił spalinowych. Wzdłuż trasy E7 wszystkie drzewa wycięte. Nie istnieje już dom p. Rajewskich, gdzie w czasie przerwy lekcyjnej biegło się do sklepu po cukierka lub kwas. To już historia, zostały wspomnienia.

Zostają zabudowania p. Gadomskich, będą mieli jezdnie pod oknami. Pan Gadomski nawet starał się, aby wykupiono i jego dom, no niestety.

Zniknie też budynek p. Dryglewskich.

Tak że wszędzie mamy dźwigi i buldożery.

Będzie nowa trasa do lotniska w Warszawie. Odciąży na pewno naszą siódemkę. Bo nawet Pan sobie nie może wyobrazić, jaki panuje tu ruch. Chyba rzeczywiście jak na Marszałkowskiej.

Jeszcze dodam, że nie ma już domu dróżnika, gdzie mieszkali p. Sankowscy.

Serdeczne pozdrowienia dla całej Pana Rodziny i dla Pana zawsze życzliwa Jolanta Sas.

Kopana 8.03.19.

Edward Rek (1915–1979)

Był kolegą mojego ojca Czesława, tokarza, starszego rzemieślnika w warsztatach kolei wąskotorowej w Piasecznie.

O starej godzinie odwiedzał tatę pan Edward Rek, który miał fikuśny traktor, starą młockarnię, maszyny do orki i siewu, i oprysków. Rolnik–mechanik. Całą gębą. Obrabiał pola okolicznym sadownikom i chłoporobotnikom. Ludność z okolic *Kwitnącej Jabłoni* chwaliła pod niebiosa pana Reka ze Szczerbówki koło Tarczyna. Pracował od świtu do nocy. Kiedy spał? Nie wiem.

Wieczorami skręcał małe traktory dla sadowników. Przez sześć dni tygodnia miał pełne ręce roboty. Bramy do domu nie zamykał. Zawsze ktoś miał do niego jakiś interes. Niezależnie od pogody i pory roku. Nie bał się żadnej roboty. To nic, że był ubrudzony smarami. W drelichowym ubraniu. Z beretem na głowie i papierosem w fifce, jak komin. To był pierwszy robotnik w naszych stronach. Pan Rek należał do tych rzemieślników, których szanował mój tata. Był przy tym niezawodny. Potrafił prawie wszystko zrobić. Nie rzucał słów na wiatr. Mało mówił, więcej pracował. Nosił z sobą olbrzymi portfel, nadziany banknotami.

– Na co on pracuje? – pytała matka.

– A co ma leżeć do góry brzuchem? – odpowiadał ojciec.

Pan Rek dobrze płacił ojcu za usługi. Łączyły ich interesy i pasje rzemieślnicze. Pieniądze utrwały tę znajomość.

O jego rodzinie tylko tyle wiedzieliśmy, że miał żonę Mariannę, żyła lat 87; zm. 24 lutego 2005 roku, oraz dwie córki Halinę i Marię i syna Zbigniewa.

Mój ojciec, idąc do kościoła w Rembertowie koło Tarczyna, wiedział, że spotka pana Reka, z którym będzie wracał do domu. Przed i po Mszy Świętej rozmawiali o interesach i pogodzie. Na do widzenia pan Rek wręczał rysunek techniczny, starannie nakreślony na okrajku papieru. Tata chował zapisek do portfela. Wyznaczał termin i cenę, i rozstawali się pod kasztanowcami w Pamiętce. Nie było dyskusji.

Pan Rek oczekiwał dobrej roboty, zaś ojciec należytej zapłaty. I trwało to latami. Ojczulek nie narzekał, że na jego drodze stanął pan Rek. Nigdy nie widziałem, żeby usiedli razem do stołu. Wypili szklankę herbaty. Połamali alkohol. Uskuteczнили rozmowę stosowną. Nie gościli się. Żaden z nich nie zaproponował, żeby wreszcie przejść na *ty*. Nic z tych rzeczy.

Pan Rek lubił siedzieć pod gruszą albo pod orzechem, i czekał. Kiedy ojca nie było, to matka wynosiła dla niego z komórki robotę, zawiniętą w papier. Śruby, nakrętki i części mechaniczne. Pan Rek wyciągał gruby portfel z tylnej kieszeni. Ślinał banknoty i wydawał do ostatniej złotówki. Bez żadnego *ale*. Płacił. Koniec. Kropka. Gdyby chciał się targować, to zapewne tata nie zrobiłby mu nigdy nawet najdrobniejszej szajby.

Pan Edward Rek był częstym gościem w naszym domu. Siedział w cieniu drzew owocowych. Zazywał ochłody. Palił papierosa w fifice. Dymek snuł się w powietrzu. Było sennie i bardzo leniwie. Ręce miał czarne od smaru i oliwy. Wolniutko zaciągał się papierosem.

We wsi Kopana, która ma wyasfaltowane ulice, moja siostra Czesława Bożena wspomina, że jak przyjeżdżał do sklepu traktorem z przyczepą pan Edward Rek ze Szczerbówki koło Pamiątki, to kupował wór cukru, soli i mąki. Po czym tachał to na plecach i delikatnie zrzucał na przyczepę. W czasach siermiężnego PRL-u pan Rek, pracowity rzemieślnik, dorobił się bogactwa. Był wzorem dla innych. Oto do czego prowadzi oszczędność. I liczenie się ze wszystkim. Na każdym kroku.

Jaka stąd nauka?

Ano taka, że nawet wtedy, kiedy jest dużo mąki, nie możemy sobie pozwolić na rozkurz. Niby to takie słowo—pyłek, a ma swój ciężar.

Kiedy o nim myślę, to przychodzi mi na odsiecz cytat z Adama Mickiewicza: *I na samo wspomnienie połykamy ślinę, (...)*.

Edward Rek (1915–1979). Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 25 lutego 2016 roku.

Marta i Franciszek Rylscy

Mieszkali w Kopanie, poczta Tarczyn, województwo warszawskie. Byli naszymi sąsiadami. Dwie działki dzieliły nas od ich małego domu.

Pan Franciszek był zdunem. Pracował na kolei wąskotorowej w Piasecznie. Dbał o piece kaflowe w budynkach stacyjnych. Znał się na robocie murarskiej. Pani Marta, starsza niewiasta, zajmowała się domem. Jej wszechświatem była (kaflowa) kuchnia na węgiel. To była bardzo pracowita osoba. Od jutrzni do wieczora. Gotowała, zmywała, sprzątała, prała, prasowała, cerowała. Opiekowała się wnuczkami państwa Henryka i Henryki Horstów (Danuta, Urszula, Janusz, Władysław, na którego mówiliśmy Andrzej). Często odwiedzała ich liczna rodzina z dziećmi. W wakacje na ich podwórku było mnóstwo drobniczy. Dziewczynki i chłopcy. Pani Marta potrafiła to wszystko ogarnąć. Pamiętam, że było u nich zawsze tak radośnie. Jak w ulu. Mogę napisać, że dzięki dzieciakom, kurz nie miał prawa usiąść.

Po pracy pan Franciszek brał wózek i szedł do ogrodu, w którym rosły owocowe drzewa, warzywa i redliny kartofli. O szarej godzinie widziałem, jak powraca z działki z pełnym wózkiem płodów ziemi (warzywa i owoce). To był taki sympatyczny milczek. Poza zwrotami grzecznościowymi, nigdy z nim nie rozmawiałem. Należę do pokolenia, gdzie dzieci miały słuchać i nie wcinać się do rozmów, jakie prowadzili starsi. Szkoła uczyła też milczenia. To tak na marginesie. Kiedy szedłem uliczką do szosy (dzisiaj to jest ul. Działkowa), to zerkałem na drewnianą furtkę i aleję ze smolinosów, która prowadziła do domu państwa Rylskich i Horstów. Zdarzyło się, że wtykałem nos do kielicha kwiatów, i byłem umazany miodno-rdzawym pyłkiem. Poza tym pani Marta zajmowała się leczeniem ziołami. Wystarczyło, że pojawiała się choroba, a ludzie w te pędy biegli do pani Rylskiej. Oczywiście, że pani Marta pędziła do chorych jak do ognia. To było takie potrzebujące i wzruszające. Była w ciągłej

dyspozycji; nie znała takich słów jak *zaraz czy proszę czekać*. Nieraz odbierała porody, pełniła rolę akuszerki. Kiedy dzieciak miał kolkę, to znała sposób, jak ją usunąć. A gdy były kłopoty z biodrami, to je ustawiła tak, jak ortopeda. Miała praktykę i wiedzę. Gdy zachorowałem, to matka też pobiegła po panią Rylską, żeby mnie ratowała. Ona zaleciła kąpiele w ziołach, pokrzywach, masaż, ciepłe okłady, etc. Nawet wykształceni lekarze powiedzieli mojej matce, że dobrze poradziła jej sąsiadka.

Nigdy nie widziałem, żeby się oddalała od domu. Do sklepu szła w południe. Dźwigała w siatce chleby. Czasami spotykałem ją pod lasem, gdzie na zapłociach zbierała zioła do suszenia.

Mieć taką sąsiadkę, to był skarb.

Pamiętam, że czasami jak szła przez podwórko, to przystawała przy płocie i patrzyła na alejkę kwiatów (coś na wzór żywopłotu). Na dłuższą chwilę zastygała w bezruchu i zerknęła w dal.

Oczywiście, że ilekroć ją spotkałem, to kłaniałem się. Nie pozdrowić sąsiadów, to było nie do pomyślenia na wsi.

Pan Franciszek dbał o nasze kuchnie kaflowe i piece. Raz był w naszym domu. Pracował i nawet nie upomniał się o kubek wody. Za to jego małżonka często bywała u nas. Matka nieraz biegła do pani Rylskiej z płaczem, bo moja matka ma dar łez. *Nawet przy reklamach się wzrusza* – jak mówi moja siostra. Pani Rylska ratowała mnie, jak tylko mogła. Miała coś w swoich czcigodnych dłoniach, że choroba ustępowała. Pamiętam, że kiedy opuszczała nasz dom, to matka wycierała łzy z policzków. Prawie wszyscy tak czynili, bo pani Marta Rylska – jak mówiono drzewiej – miała wielkie serce, które skubali wszyscy, poczynawszy od wnuczków po sąsiadów z okolicy *Kwitnącej Jabłoni*. Piszę o tym, bo ja też z niego spory kawałek wydarłem – ku pamięci.

Marta i Franciszek Rylscy. Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 13–14 lipca 2013 roku.

Wacław Sankowski

S

Mieszkał przy szosie krakowskiej, obok Szkoły Podstawowej im. Wojciecha i Anieli Małżonków Górskich w Pamiętce, poczta Tarczyn, woj. warszawskie. Był absolwentem (rok szkolny 1946/1947, wychowawca Józef Chodecki). Starsi mówili, że to dom dróżnika. Pan Wacław był krawcem. Rzemieślnikiem nagiej igły, która obszywa cały świat. Raz do roku szliśmy z matką do niego – matka brała do torby elanobawełnę z podpinką. Zwykle to było w sierpniu, tuż, tuż przed pierwszym dzwonkiem do szkoły. Telepaliśmy, Lelum polelum, poboczem drogi z *kocimi łbami* (dzisiaj to asfaltowa ul. Pawłowicka) do szosy (obecnie trasa E77). A następnie skręcaliśmy w lewo i wchodziliśmy w furtkę, która zapraszała na podwórko, w bosej trawie i mleczach. Mijaliśmy klatki z królikami. W sieni witała nas babcia Sankowska, która dbała, żeby głód nie miał pola do popisu. Starsza pani z siwiuteńkimi włosami, oraz fartuszką i trepkami na nogach. Ciężko się poruszała – miała płytki oddech. Siadaliśmy na stołeczkach. Z pokoju było słycać, jak pracuje maszyna do szycia, przy której siedział pan Sankowski. Naprzeciw żona Maria, coś fastrygowała. W kuchni grało cichutko maleńkie radyjko. W dwóch dużych pomieszczeniach (kuchnię i pokój) mieszkali z dziećmi: Anią i Tomaszem. Matka rozmawiała ze starszą niewiastą. Powiedziała co nas tu sprowadza. Po dłuższej chwili pojawiał się krawiec, z miarą przewieszoną przez plecy, podobnie lekarze kładą stetoskop. Zapraszał nas do pokoju. Stałem przy stole, krawiec wziął kawałek szarego papieru i brał miarę na spodnie. Matka powiedziała, żeby portki były troszeczkę szersze, tj. maskowały i zakrywały aparaty ortopedyczne, które nosiłem. Rzemieślnik pokiwał głową, dając do zrozumienia, że rozumie i uwzględni tę uwagę podczas szycia pump. Rodzicielka wręczyła zwój elanobawełny i cieniutką podpinkę. Pan Wacław chwalił jakość materiału. Wyznaczył dzień przymiarki. I to wszystko. Dłuższą chwilę matka porozmawiała z panią Sankowską. Zapłaciła a conto. Wróciliśmy tro-

szczękę szybciej do domu, bo rodzicielce gdzieś się spieszyło, jak zawsze.

Za kilka dni przyszliśmy na przymiarkę spodni, które były starannie zaprasowane, z kantem, z tasiemkami u nogawek. Z guziczkami w rozporku, ze szlufkami, przez które można było przewlec pasek. Podpinka usztywniała materiał i była miła w dotyku. Przeszedłem się po pokoju. Pan Sankowski prosił, żebym stanął przed lustrem. Matka powiedziała, że jest zadowolona ze spodnie, jakby to była jej spódnica. Takie to były te lata 60. XX wieku, że dzieciom sznurowano usta zamiast buciki.

Pan Wacław zapakował porteczki w szary papier i wróciliśmy do domu, jak ludzie zadowoleni. Portaski matka schowała do gniada szafy. (Każda dobrze zrobiona rzecz świadczy też o tym, ile wad nie mogło się ujawnić).

To był krawiec i smuklerz (rzemieślnik wyrabiający m.in. paski, tasiemki i inne niezbędne akcesoria do wykańczania ubrań). Z poetycka rzecz biorąc mogę napisać – krawcowi we śnie goją się igłą pokłute palce; ma napałek nadziei, że nie popłucze nici życia.

Dzięki pani Jolancie Sas z Kopanej, dowiedziałem się, że w 1976 roku Maria i Wacław Sankowski wyprowadzili się do gminy wiejskiej Rędziny pod Częstochowę – zbudowanej na skałach wapiennych. (Rędzina pochodzi od staropolskiego słowa *rzędzić*, czyli mówić, gwarzyć. Ponieważ tamtejsze gleby zawierają dużo żwirów i kamieni, które w trakcie orki *gwarzą* z rolnikiem).

Wacław Sankowski po ciężkiej chorobie zmarł w 1993 roku.

Z czasem ludzie z okolic *Kwitnącej Jabłoni* zapomnieli, że był krawiec, co szył dla dzieci, kobiet oraz mężczyzn. Igła, nitka, napałek, miarka krawiecka, szpileczki, maszyna do szycia – to było całe jego dobrodziejstwo. Indonezyjskie przysłowie poucza: *Przejdzie igła, przejdzie i nitka*.

Ileż to chodziłem potem do krawca – myślałem o nim, jak brał miarę i przymierzałem spodnie w jego warsztacie. Myślałem, że krawiectwo to jest nużące zajęcie. Kroisz materiał, zszywasz na maszy-

nie do szycia, rwą się nici, czasami płaczą. I dopiero, kiedy prasujesz, widzisz swoją pracę. Masz chwilę na uśmiech. Rzemiosło to bardzo praktyczne sprawy. Jak w warsztacie przy stole. Jan Kochanowski pisał, że *Na słabej nici wiszą wszystkie ludzkie rzeczy*. Niekoniecznie. Wystarczy, że pamiętamy tych, którzy starali się wykonywać dobrze robotę, nie oczekując pochwał.

Wacław Sankowski wraz z żoną Marią, to była mistrzowska para od ściągów drobnych i nieseryjnej produkcji, która tak nachalnie wkroczyła w nasze życie.

Dawni rzemieślnicy, jak krawiec z Pamiątki pod Tarczynem, robili wszystko, żeby to, co wyszło spod igły z nitką, dobrze leżało na kliencie. Było skrojone na miarę i nie piło.

W czasie roboty mimochodem zerkali na wskazówki zegara, który strzygły czas – przypominając rzymską sentencję, że *wszystkie godziny ranią, ostatnia zabija*. W ówczesnej Polsce nie obowiązywało angielskie przysłowie: *Jeden człowiek, to dziewięciu krawców*.

Apolonia i Władysław Siejkowie

W Kopanie koło Tarczyna mieszkało dwóch Siejków: Roman i Władysław z żoną Apolonią. Gospodarze, którzy mieli wielkie sady i pola obsiane zbożem. Ich podwórka wyróżniały się. Domy drewniane były objęte ogródkami, w których rosły kwiaty i krzewy. Moi rodzice najmowali się, żeby latem rwać czereśnie, a jesienią jabłka u Władysława Siejki. Ksiądz proboszcz Henryk Wierzbowski przyjeżdżał po sumie na obiad do Siejków. W sutannie z 33. guzikami. Nigdy nie byłem u nich na podwórku, widziałem je raz, gdy jechałem z dziadkiem wozem na targ do Tarczyna. Siedziałem na furze i nie mogłem oderwać oczu od tego widoczku. Zobaczyłem mnóstwo kur, kogutków, gęsi, kaczek, indyków. Istna menażeria, jak w *Panu Tadeuszu* (Księga *Gospodarstwo*). Nie byłem na tyle oczytany, żeby powiedzieć, że poczułem namiastkę Soplicowa.

Mój tatuś chwalił pana Władysława, który nigdy nie ociągał się z zapłatą, jak inni bogaci gospodarze, co mieli węża w kieszeni.

Władysław i Apolonia Siejkowie mieli syna Tadeusza, który zginął w czasie 2. wojny światowej. Usługiwała im pani Stefa, której nigdy nie widziałem. O pani Apolonii, zwanej *Niusią*, mówiono, że z nią trzyma sztamę pasterz parafii pw. św. Jana Chrzciciela. (Dobrodziej ani słówkiem nie pisał w kronice parafii Rembertów o tej wybitnej parafiance, choć często gościł pod dachem ich domu). Oczywiście, że po poczęstunku pan Władysław odwoził plebana bryczką. Moja siostra Czesława Bożena zapamiętała, że *pani Apolonia piekła świetne ciasta i była miłą osobą*. Za to Ks. Stefan Milewski, proboszcz parafii pw. św. Jana Chrzciciela, w diariuszu m.in. napisał: *Dnia 25 sierpnia 1974 roku (...) Przybyłem z parafii Piecyska – również dekanatu grójeckiego – po ośmiu latach pracy.*

Przed plebanią zebrali się tłumnie parafianie, gdzie dzieci i młodzież powitała mnie wierszami i wiązkami kwiatów, poczem procesjonalnie – przy śpiewie «Gwiazdo śliczna...», udałem się do świątyni. Przed wielkimi drzwiami świątyni powitał mnie w imieniu starszych parafian – zasłużony dla parafii i Kościoła, dobry gospodarz, p. Władysław Siejka – z Kopanej. (...).

Ks. Stanisław Kaczmarek, proboszcz od 20 kwietnia 1983 roku, doda: *(...) Liczni parafianie serdecznie powitali swojego Proboszcza. Szczególnie wzruszająco przemawiał przewodniczący Rady Parafialnej, Pan Władysław Siejka. Po Mszy św. Rada Parafialna przygotowała obiad. (...).*

Z tego wynika, że był to tęgi mówca. Potrafił ubrać tak słowa, że z przyjemnością tego było słuchać. Należał do starszyny.

Z lat szkolnych zapamiętałem, jak w południe wracałem szosą ze szkoły podstawowej w Pamiętce, to słońce przechadzało się po ich dziedzińcach, gdzie mieszkali najbogatsi w naszych okolicach *Kwitnącej Jabłoni*. Widziałem domy, jak w wypukłym szkle. Widok panoramiczny był świetny, szczególnie między końcem września a początkiem października. Szkoda, że tego żaden malarz nie utrwa-

lił na płótnie. Dlaczego tej starej Kopanej nikt nie sfotografował? Czyżby przez to miejsce, oddalone około 36 km od Warszawy, nie przejeżdżał artysta? I kiedy stanąłem na szosie z *kocimi łbami*, pod pachami wysokonogich grusz i jabłoni rozłożystych, i patrzyłem na te domy z drewna i cegły, to mi się oczy szklily od zachwytu. A może to był znak, że przypływ nadziei przekracza poziom miłości?

Słońce prześwietlało tę stronę Kopanej: pola, skrawek łąki, stawik, drogę, płoty i domy. Słyszałem odgłosy psów albo jak ktoś wyciągał wiadrem wodę ze studni. Widziałem jak komin wypływa dym. Drogą jechał wóz z klatkami owoców. W górze pojawiały się gołębie, którymi ktoś na dole górował, czyli gwizdał i ploszył szmatą na kiju.

Raz tylko spotkałem się z panem Władysławem Siejką. Twarzą w twarz. Było południe. Lata 80. XX wieku. Siedziałem pod orzechem włoskim, i nagle widzę, że przy bramie pojawił się pojazd dwukołowy. *Czy jest ojciec?* – zapytał. Odpowiedziałem, że coś dłu-bie w warsztacie. Gdy pies zaczął ujadać, wyszedł tata. Pan Siejka chciał go zabrać do rwanja czereśni. Żeby wsiadł do bryczki. Tata po dłuższej rozmowie powiedział, że jutro przyjedzie maluchem (fiat 126P) i oberwie mu czereśnie. Uzgodnili cenę. Pan Siejka odjechał. I to było jedyne spotkanie.

Panią Apolonię znam tylko ze zdjęcia z albumu pn. *Tacy byliśmy jeszcze wczoraj... Tarczynian Portret Własny*, Wybór zdjęć i redakcja: Alfred Kohn, Wydawca Gminny Ośrodek Kultury w Tarczynie, 2014, ss. 279. Na fotografii widać dwie niewiasty – pani Apolonia przyjechała biedką (dwukółką na gumowych kołach) z siostrą Anną Mulewicz do kościoła pw. św. Mikołaja w Tarczynie. Biały konik w całym rynsztunku. Lato 1957. Pani Siejka w ciemnej kreacji. Ma białe rękawiczki. Trzyma lejce. Leciutko się uśmiecha na prośbę fotografa. Oczywiście, że jak przystało na damę, nie ma bata!

Od matki wiem, że Siejkowie, podobnie jak inni zaradni obywatele z naszej wsi (Stara Kopana), mieli w kościele swoją ławką, na

której była przymocowana tabliczka z imieniem i nazwiskiem. Takie to były czasy. Siostra dodaje, że pani Apolonia żyła 78 lat.

To byli gospodarze nad gospodarzami, więc śmiało mogę napisać, że byli na wozie i pod wozem. Mieli dużo, więc mogli się dzielić. Przestrzegali przysłowia: *Kiedy masz więcej, niż potrzebujesz, zbuduj dłuższy stół, a nie wyższy płot.*

Grobowiec Władysława i Apolonii Siejków jest na cmentarzu parafialnym w Rembertowie. Nie ma nic z kurhanka, którego tak łatwo zadeptać i zagłuszyć.

Apolonia i Władysław Siejkowie. Wspomnienie,
„Tygodnik Warszawa”, „Gazeta Wyborcza”
z 21 czerwca 2019 roku, nr 143.

Fot. Archiwum prywatne. Siostry Anna Mulewicz
z Tarczyna i Apolonia Siejka z Kopanej przed gotyckim kościołem pw. św. Mikołaja w Tarczynie.

Na cmentarzu w Rembertowie jest grobowiec z tablicami, na których wyryto:

Śp. Tadeusz Siejka, żył lat 19, zginął śmiercią bohatera 8 IX 1943.
CO MIAŁEM NAJDROŻSZEGO, ZŁOŻYŁEM W TYM GROBIE I TYLKO CIĘŻKI SMUTEK ZOSTAŁ PO TOBIE. OJCIEC

Śp. Stefan Siejka, żył lat 21, zginął tragicznie w 1956 r.

Śp. Apolonia Siejka, żyła lat 78, † II II 1977, Śp. Władysław Siejka, żył lat 86, † 18 XI 1985

Śp. Jadwiga Morzycka z d. Siejka, żyła lat 77, † I VII 1984

Franciszek Skibiński

Mieszkał w Kopanie, poczta Tarczyn, przy szosie. W małym domku z cegły, który zasłaniały drzewa i krzaki. Jadwiga, córka, był krawcową. Samotnie wychowywała wnuczkę (Magdalenę Giedz, w 1976 roku ukończyła VIII klasę w szkole w Pamiętce). Nigdy nie byłem na ich podwórku, choć plac był nieogrodzony, zasłonięty

krzewami i drzewami. Ponieważ matka czasami sobie szyła sukienki u pani Jadzi, więc opowiadała, że radzą sobie *bez mężczyzny*. Nie śmiałem zapytać, co to znaczy?

Stary Skibiński, kiedy opadła rosa, wychodził z krową, żeby ją paść. Szedł naszą uliczką do zapuszczonego czereśniowego sadu, co rósł przy działce Józefy i Stanisława Rodzimów. Stał pod rosochatymi drzewami, trzymał żelazny łańcuch. Miał na sobie płaszcz przeciwdeszczowy z kapturem. Nosił gumowce i zapewne onuce. Koszulę miał przypaloną potem. Palił papierosa. Połówkę „sporta” upychał do fifki zrobionej z orzecha i sztachał się. A potem kaszał. Aż do łez!

Starszy pan. Szczupakowaty. Z zarostem kilkudniowym. Miał takie maleńkie oczy. Milczek.

Nieraz, jak wracałem z lasu albo z łąk, zachodziłem do niego, żeby z nim pobyc. Staliśmy w trawie po kostki. Rzadko coś powiedział. Było mi go żal, że tak samotnie stoi. Jak strach. W pogodę i niepogodę. Krowa szczypała trawę. A on sterczał z zimnym łańcuchem w dłoni. Aż do południa. Dzień w dzień. Od wiosny do późnej jesieni. W poniedziałek, wtorek, środę, czwartek, piątek i sobotę.

Wracał do domu pierwszy, a za nim szła leniwie krowa z wielkim wymieniem i przeżuwała. Z jej pyska ściekała pajęczyna śliny.

Czasami go spotykałem nad dworskim rowem, gdzie pilnował, aby krowa nie weszła w szkodę. Chodził też po miedzach. Tylko w niedzielę nie oddalał się od domu. Pilnował podwórka.

Co robił zimą? Nie wiem. Zapewne wyglądał przez okno i patrzył na drogę. A może palił w kuchni, omiatał podwórko ze śniegu. A może rąbał drzewo? Na pewno dokarmał krowę, zmieniał podściółkę.

Małuczko o nim wiem, więc muszę uważać, żeby czegoś nie przekreślić i nie wpaść w pastewność.

Za sąsiadów miał państwo Zykubków i Starych Ogrodnich (Jana i Petronelę).

Kiedy z nim próbowałem rozmawiać, był zdziwiony, że chcę z nim nawiązać kontakt. Z paczki wyjmował papierosa, którego łamał na pół, wkładał do fifki, zapalał. Raz mi powiedział, że córka mu wydziela jedną paczuszkę (10 papierosów) na dzień, choć on tak lubi sobie zapalić. Dzięki temu, że dzielił papierosa na dwie części, miał wrażenie, że pali 20 na dzień. Pomyślałem – dobrze, że córka nie każe mu dzielić zapalek. Jeszcze wtedy nie wiedziałem, że nikotyna prowadzi do przodu raczka, co chodzi do tyłu zdrowia.

To był ostatni pastuszek, jakiego udało mi się spotkać w okolicach *Kwitnącej Jabłoni*, który zabijał czas, nikotynizując się. Stał pod pachami starych zdziczałych czereśni i spozierał w niebo. Z cienia czytał godzinę. Był taki szary. W głębokim tle. Przeszedł życie brzegiem cienia – gdzieś zza. Sam wśród innych z wioski.

Dzięki temu, że go spotkałem, nie powtarzam idiomów o krowie, która ma dal w oczach. I nie rozumiem tych, którzy mówią jak pyszałki mleczne, że *kto chce krowę doić, powinien ją paść*. Że trzeba tłumaczyć coś komuś, jak *chłop krowie na miedzy*.

Stary Skibiński. Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 3 marca 2014 roku.

PS

Ponieważ nie znałem jego imienia, więc napisałem do pani Jolanty Sas z Kopanej, która w liście z 27 listopada 2018 roku m.in. skreśliła:

Pan Franciszek z żoną Jadwigą byli postrzegani jako osoby otwarte, życzliwe, kontaktowe i lubiane. Mieli wielu przyjaciół wśród sąsiadów.

Pan Franciszek całe życie, od kiedy zamieszkał w naszych stronach, zajmował się rolnictwem. W Kopanej miał swoją działkę, a w czasach reformy rolnej, powiększył swoje gospodarstwo.

Państwo Skibińscy byli spokrewnieni z p. Rylskich [Marta i Franciszek], krewnymi p. Jadwigi Skibińskiej, żony p. Franciszka.

Na cmentarzu w Rembertowie spoczywają w jednej mogile: p. Franciszek Skibiński z żoną Jadwigą i córką Jadwigą.

Wszystkich informacji udzieliła córka p. Jadwigi Magdalena Giedz, o której Pan pisał „dziewczynka cichutka jak jej mama”.

PS

Chcę jeszcze dopisać jeden szczegół. Otóż, jak wiadomo, córka p. Franciszka p. Jadwiga zajmowała się krawiectwem. Zawód swój zdobyła w Warszawie, w pracowni p. Stefanii Skowron.

Szanowny Panie Mirosławie,

chcę jeszcze wrócić do p. Skibińskiego. Otóż mała poprawka. Jak przekazała mi wnuczka p. Skibińskiego, p. Magdalena Urwalska, jej dziadkowie do domu w Kopaniu wprowadzili się w 1952 r., chociaż dom był częściowo tylko wykończony.

Serdeczne pozdrowienia dla całej Pana Rodziny i dla Pana zawsze życzliwa Jolanta Sas.

Kopana 8.03.19.

Jan Stach (1918–2011)

Jan Stach, chłop ze Znamierowic koło Nowego Sącza, został odcięty od świata. Stracił drogę, bo z jednej strony wybudowano zbiornik Rożanowski, zaś z drugiej strony strumienia sąsiad kategorycznie odmówił mu, żeby przejeżdżał furmanką przez jego pole. I wtedy ten dobrotliwy chłop, zamiast zaciskać pięści, podjął decyzję, że postawi most z kamieni, jakie wykopie z ziemi, wedle własnego pomysłu.

W latach 1968–1971 roku budował. Stawiał kamień na kamieniu wraz z zaprawą. Z pola zwoził kamienie. Od jutrzni do wieczora pracował – a pot wyjadał mu światło z oczu. Był sam, jak palce jego rąk.

Kiedy wybudował kamienny most o długości około 20 m, wysokości 12, z 3-metrowym tunelem, gdzie płynął strumyk, nagle wszyscy wpadli w podziw. W krakowskim „Życiu Literackim” uka-

zał się reportaż. Potem pokazano Jana Stacha w telewizji, jak zaprosił sąsiadów do chałupy i powiedział, że wieś może korzystać z tego mostu, który jest po to, żeby łączyć, a nie dzielić. Wszyscy prześcigali się w komplementach. A on milczał przy stole, nakrytym obrusem. Taki to był mruk ten Jan Stach.

Oczywiście, że chcieli go odznaczyć, zwrócić koszty itd. Ale ten chłop z dumną lapidarnie powiedział: *nie!*

Ani razu się nie poskarżył, nie pisnął o krzywdach, jakich doznał od sąsiadów. Swoją budowlą wzbudził podziw inżynierów budowy mostów.

Kiedy oglądałem reportaż o Janie Stachu, to brakowało mi słów. Co za charakterny chłop! Ile on musiał doznać krzywd, żeby potem zapomnieć. Siedziałem przed czarno-białym telewizorem i miałem wilgotne policzki. Musiałem dobrze kombinować, żeby tego ktoś nie zauważył. Jan Stach bardzo mi zaimponował.

Pomimo że upłynęło już tyle lat, a ja o tym kamiennym moście Jana Stacha pamiętam. I kiedy mi się coś burzy z ludźmi, to przypominam sobie, jak w takich sytuacjach zachował się Jan Stach. Chłop ze Znamierowic. Być może łatwiej mi go zrozumieć, bo sam jestem ze wsi Kopana, poczta Tarczyn, dawny powiat grójecki. Z poetycka rzecz biorąc – okolice *Kwitnącej Jabłoni*.

Codziennosc jest inna, bo w mojej wiosce są ulice zamiast uliczek, które prowadziły nas od dzieciństwa do miedz i wysokopiennych sadów. Z dawną wsią zabrały się też strachy.

Jan Stach (1918–2011). Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 16 lipca 2015 roku.

Augustyn Studniarek

Ilekcraz jechałem z ojcem do Lasu Lesznowskiego (na tzw. Karczunek), obowiązkowo musieliśmy iść do Studniarków. Szliśmy na podwórze. A tam był... XIX wiek, jak w piosence Jacka Skubikowskiego. Wchodziliśmy do izby. Sadowiliśmy się przy stole. I wujek

Gieniek nadawał. Rzadko pozwalał komuś dojsć do głosu. Kochana prababcia kiwała głową. Ojciec próbował wchodzić w jego słowa. Ciotka Jadwiga, krawcowa, tajemniczo się uśmiechała i zerkała przez okno, czy ktoś nie idzie. Nie wiedziałem, czy rozmawiają, czy się kłócą. Jak słowo daję. Taki to był mój wujek. Syn prababci Studniarkowej, brat matki mojego ojca Czesława (9 II 1930–18 X 1986), czyli babci Olszewskiej. Poza tym, o czym wiedziano w okolicy *Kwitnącej Jabłoni*, wujek Gieniek był obecny na pogrzebach. Ilekroć kogoś chowano w Worowie koło Grójca, było pewne, że będzie jak amen w pacierzu. O jego mowach mówiono na Podolu, Dużym Dole, Kośminie, Lesznowoli, Chudowoli i innych przysiółkach, o których pamięta tylko mapa dawnego powiatu grójeckiego.

Kiedy mój ojciec wracał z pogrzebu, matka zwykła go pytać: *jak było?* Tata lapidarnie odpowiadał: *Mówił Gieniek!* I to wszystko, co miał do powiedzenia matce, która czekała na dłuższą narrację. Od matuli wiem, że Gieniek lubił wygłosić długą przemowę, zanim trumny nie zakopano i nie położono wieńców. *Mówił i nie było końca...* – tak to skomentowała. Ponieważ zawsze miałem kłopoty z perorowaniem, więc wujka brałem w obronę. Ilekroć ktoś miał jakieś *ale*, stawałem za nim murem i perswadowałem, że gadacze to są ci, co mają krótkie struny głosowe. Oczywiście, że większość nie wiedziało, co mam na myśli.

On działał tylko na terenie swojej parafii Worów. Do innych się nie zapuszczał. Taką miał strategię.

Pamiętam, że kiedy umarł mój ojciec, zdyszany przyjechał i strasznie żałował. I sygnalizował matce, że coś powie *o Ceśku!* Zapłakana wdowa odpowiedziała, że nie są potrzebne słowa. Wystarczy to, co powie ksiądz w kościele pw. św. Jana Chrzciciela w Rembertowie koło Tarczyna, co ma w odsieczki wodę święconą i kadzidło. Wujek się zmieszał. Patrzył na mnie, jakby szukał alibi. Na cmentarzu rwał się, żeby coś zgadać po swojemu. Musiano go pohamowywać.

W tym miejscu muszę wyjaśnić, że w dzieciństwie nigdy mnie nie zabierano na pogrzeby, więc o jego mowach wiem z drugiej ręki. Przepraszam, z drugich ust. Matka mówiła, że nie miał umiaru w słowach. W koło to samo! Czyli tak jak dzisiaj jest w telewizji. (*W koło Wojtek* albo w *koło Macieju*, niby to samo, ale co innego znaczy. Wojtek to bocian, a Maciej to Maciej).

Kiedy opracowałem kronikę parafii Rembertów (*Zapiski parafialne*, Warszawa-Ursynów 1998, nakładem własnym) zerknąłem do księgi z 1954 roku, w którym to się urodziłem. I przecierałem oczy, bo w rubryce było napisane atramentem, że do chrztu mnie podawali: Wanda Ostrowska, lat 23, *przy mężu, z Kobylina* oraz Augustyn Studniarek, lat 32, *rolnik z Lasu Lesznowskiego*. Czyli ciocia Wandzia i wujek Gieniek. Po raz pierwszy się o tym fakcie dowiedziałem.

Wróciłem do domu i opowiadałem o tym odkryciu podczas kwerendy.

Mieć takiego chrzestnego, to zaszczyt! – westchnąłem. Aż matka popatrzyła na mnie i pokiwała głową. I to był cały komentarz.

Nie wiem, kiedy umarł.

Siostra przywiozła mi kolorowe zdjęcie, na którym zobaczyłem jego wielki grobowiec. Na frontonie napisano wersalikiem, że tu spoczywa ŚP. AUGUSTYN STUDNIAREK. Kubatura jego grobu może świadczyć, że to był ktoś, komu nie wystarczył skromny kurhanek.

Nikt z nas nie wiedział, że wujek Gieniek miał na imię Augustyn. Że nosił imię świętego grzesznika. Żył 86 lat; zmarł 23 listopada 2007 roku.

Jeżeli ktoś układa antologię o sztuce funeralnej, to wujka Gieńka, przepraszam, wujka Augustyna, można śmiało wciągnąć na listę tych, co głosili na cmentarzach mowy pożegnalne.

Dla mnie to był taki gadacz, który nigdy mnie dopuścił do głosu. I dobrze, bo dzięki temu uzyskałem przywilej, żeby coś o nim skrobnąć. Z opóźnieniem, bo w księdze parafialnej wyczytałem, że to

był mój chrzestny. Czyli kum. Zapisano czarno na białym. Mam ksero, żeby ktoś nie mówił, że zmyślam dla potrzeb literatury pięknej.

Augustyn Studniarek. Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 11 października 2013 roku.

Józef Studniarek

Mieszkał w Lesie Lesznowskim (dawny Kazimierzów), powiat grójecki, wraz z matką, naszą prababcią Studniarkową. Kiedy mojemu ojcu zmarł tata, Józef, jego matka Leokadia postanowiła powtórnie wyjść za mąż za Olszewskiego, więc zamieszkał na gospodarstwie Studniarków. I usynowili go, to może świadczyć o tym, jacy byli kochani. Mój tata półgębkiem mówił o Józku. O wiele więcej matka. Że Józiek grał na skrzypcach. Że jak wrócił z wesela/zabawy, to przynosił harmonię pieniędzy, i miał gest. Dawał mojemu ojcu dołę. Te pieniądze za granie imponowały mojemu ojcu, który zdecydował, że kupi sobie harmonię i będzie grał jak jego brat cioteczny. Mówiono, że nikt tak nie muzykował jak Józiek. Kiedy pytałem – jak?, to nikt nie był w stanie mi odpowiedzieć. Same niewiadome (x, y) były wokół niego. Taka to była arytmetyka wspomnień.

A gdy wybuchała 2. wojna światowa, poszedł walczyć. Nasza prababcia wychodziła na drogę, żeby go wypatrzeć. Nie czyniła mu wymówek, że tak się ociąga z powrotem z za widnokresu.

Po wojnie mój ojciec zaczął grać na harmonii. Uczył się w szkole zawodowej na tokarza i czasami jeździł do Warszawy na kurs grania na harmonii. Na kilka lat starczyło mu zapału. W końcu zaprzestał. Instrument muzyczny sprzedał braciom Badowskim z Tarczyna. Za te pieniądze kupił działkę od Jana Ogrodnego z Kopanej, na której wykopano studnię, postawił dom, komórkę i posadził drzewa owocowe.

Gdy w latach 70. XX wieku szedłem łąkami, to nieraz spotykałem w szczerym polu prababcię Studniarkową. Patrzyła i myliła

mnie z ojcem. Ze smutkiem mówiła, że wyszła sprawdzić, czy z wojny Józiek nie powraca. A kiedy z ojcem ją odwiedzaliśmy, to zerkaliśmy na skrzypce wiszące na gwoździu. To właśnie z nich wydłubywał muzykę. Samotne skrzypce. Bez futerału, smyczka. Z zastygłym dotykem.

W chwilach, gdy matka wspominała Józka, ojciec zawsze marcotniał. A przecież mógłby coś powiedzieć, bo słyszał, jak Józef Studniarek grał, *Aby się też smutna myśl czasem ochłodziła*, (Mikołaj Rej, *Muzykowie*).

Po śmierci Józka nie zagrał na harmonii/akordeonie. Nawet na naszym weselu, gdzie mój teść Feliks, rocznik 1924, wywijał smyczkiem, a potem chwycił za akordeon – popularnie zwany *zmarszczka* albo *kaloryfer*.

Prababcia Studniarkowa

Jedyna moja prababcia. Ojciec nas uczył, żebyśmy mieli do niej to, co zwie się miłością, choć nigdy nie używał takiego słowa. Nawet gdyby powiedział miłość, to też byśmy nie wiedzieli i pytali: a co to jest takiego miłość? Jak jeździliśmy do Lasu Lesznawskiego (zwanego *Karczunek*, choć poprawnie powinno być: *Korczunek*) do ciotki Celi (Cecylii) i wujka Tadeusza Tomeckich, to zabierał nas do ich sąsiadów Studniarków. Tu był miecz jego rodziny i kądziel. Szedłem do prababci, która mieszkała z synem pod jednym dachem. Pamiętam, że na ścianie wisiały skrzypce. Prababcia witała się ze mną. Całowałem ją w rękę, choć mówiła – *Nie trzeba, Cesiak...* Myliła mnie z moim ojcem, który miał na imię Czesław. Tatuś witał się jak wnuczek, onieśmielony nieco. Siadaliśmy przy stole i prababcia była wpatrzona w mojego tatę jak w lustro. Co ja piszę? Patrzyła jak w obraz. Była taka kruchotka. W szarym fartuszkach. W zapasce. Miała haftowaną chusteczkę do nosa, którą co chwila obcierała oczy albo kąciki ust. Starsi mówili, dzieci nie miały prawa głosu. Patrzyłem oczarowany i czułem, że otacza mnie baśń, która tajem-

niczo się zaczyna i dobrze kończy, choć tego nie zapowiadała na początku.

Gdy dorosłem, to matka powiedziała, że ojca wychowywała prababcia Studniarkowa. Jego matka wcześniej owdowiała i wyszła za mąż, i stało się to, co zdarza się, dla ojca nagle zabrakło miejsca w domu. Zabrała go do siebie babcia Studniarkowa, której też się nie przelewało. Ten fakt może świadczyć o tym, jakie miała duże serce. Na jej podwórku się wychowywał. Poszedł do szkoły. Nauczył się grać na harmonii, oczywiście że ze słuchu. A potem jak dorósł, to z synem babci, Józkim, grali na zabawach. Józek wydfubywał ze strun duszę, zaś mój ojciec przebierał palcami na guziczkach i klawiszach tak, żeby nogi rwała się do tańca. Nadeszła wojna, na którą Józek poszedł. Skończyła się 2. wojna światowa, a Józek nie powrócił. Prababcia wychodziła na drogę, żeby sprawdzić, czy nie wraca. Latami to trwało. Do końca jej życia.

Nieraz, gdy zapuściłem się w nasze strony, to natrafiałem na prababcie. Witała mnie: *Cesiek...* Stała w łąkach po kolana. W sukience na gumce, przepasana fartuszkim w kwiatuszki. Pod niebem, gdzie śpiewał skowronek. Zawsze wzruszały mnie te spotkania. Prababcie odprowadzałem do domu, bo bałem się, że zagubi się jak skarb rodzinny. Mógłbym napisać inne słowa, ale... boję się, żeby ktoś nie powiedział, że przesadzam.

Kiedyś jak ją spotkałem, to zwierzyła się cichutko: *Józiek nie powrócił...*

Po latach odnalazłem przysłowie mongolskie, które poucza, że *Dobra myśl obejmuje cały step; zła myśl obejmuje tylko siebie*. Jakie to mądre, choć takie pastewne!

Czesław Szczepaniak (9 II 1930–18 X 1986)

Zwykło się wspominać ludzi prozą, ale... tym razem chciałbym poświęcić garść słów wierszem. O ojcu sporo pisałem: *Mieliśmy Białe ściany* (Wydawnictwo „Iskry”, 1977), *Przerwane wiersze* (Wydaw-

nictwo „Iskry”, 1981), *Na własny rachunek* (Wydawnictwo Łódzkie, 1986), *Po naszej stronie* (Młodzieżowe Centrum Kultury, Gdynia 1988), *Okruchy ballad* (Oficyna Literacka „Libraria”, Warszawa 1991), *Zapiski i ballady* (Warszawski Ośrodek Kultury, 1992), *Zaczysza* (Dziecięca Oficyna Wydawnicza, Sejny 1994). Niejeden wiersz mu poświęciłem. O rodzicach na ogół dobrze się pisze. Psychoanalityk mógłby mój przypadek zakwalifikować jako *kompleks Eneasza*.

Kilka lat temu zamarzyłem sobie, żeby ułożyć antologię *Księga o sadach i owocach*. Pomyślałem sobie: szewc bez butów chodzi, a sadownik bez... Od razu przystąpiłem do pracy. W wolnych chwilach pisałem wiersze, listy, opowiadania, felietony. Dla higieny psychicznej jechałem w Polskę. Cesałem książki. Zbierałem z ich kart owoce. Co piękniejszy kłaczek poetycki przepisywałem i układałem jak sadownik w platony i skrzynki. Tak rósł mój sad. Poetycki sad. W pracy nad książką kierowałem się posłaniem dobrego sadownika, który wie, że drzewo owocowe długo rośnie, wymaga pielęgnacji i życzliwości, aby mogło wydać owoce. Antologia o sadach to nie wypisy o kwiatach, choć antologia to zbiór najwonnniejszych *kwiatów z sadów poezji*. W miarę sił i zdrowia pracowałem i dla higieny psychicznej jeździłem do sadu dzieciństwa. Odpoczywałem w cieniu spracowanych drzew. W tym czasie mój ojciec rwał w obcym sadzie owoce. Kiedy miałem wyraźny zrab *Księgi*, ponownie pojechałem w moje strony, żeby zażyć w cieniu drzew wywczasu. I właśnie wtedy przywieziono z obcego sadu mojego zmarłego tatę. Leżał na fartuchu ziemi wśród rozrzuconych jabłek i platonów. Jabłonie, ptaki i źdźbła trawy, niemi świadkowie. W obcym sadzie został wezwany przez śmierć. Tego samego dnia miałem sen, w którym płonęły nasze sady. Z pożogi ocalały tylko jabłka. Przerwano mi sen słowami: *Ojciec umarł w sadzie...*

Sady go żegnały, bo droga na cmentarz w Rembertowie k. Tarczyna prowadzi przez wysokopienne jabłonie.

Do dziś nie mogę wyrwać spod powiek ojca. Jego rąk, które miał takie, jakby we śnie rwał jabłka. W wielkim żalu pisałem:

*Tak się rwiałem do Ciebie, mój ojczy,
 przyjeżdżałem bogaty w kłęski i
 niebiedny w przekleństwo losu,
 a Ty uciekałeś w obce sady,
 w samotność albo
 w Polskę sanatoryjną.*

*Porzuciłem Biel, bo myślałem że
 w Kopanie moje dziedzictwo i
 nieporęczny wiersz.
 Dzisiaj tremę obnoszę jak tren.*

*Upadłeś w obcym sadzie
 u sadowników, którym było i jest, i będzie mało.*

Napełniłeś mnie smutkiem pod jesień.

*Tobie koniec, a mnie trzeba iść dalej,
 gdzie wiatr liże z ręki łzy, i nic nie poradzimy,
 jak świat światem*

(Skończył się sen czyli trzęsienie sadów).

Cień mojego ojca cały czas towarzyszy mi w pracy nad tą pierwszą na świecie antologią o sadach. Nie przerywałem pracy. Wręcz przeciwnie! Dzięki tej antologii szybciej się pogodziłem z tym, że tam, gdzie początek – musi być koniec.

Skończył się sen, czyli trzęsienie sadów.

Kropka.

Czesław Szczepaniak. Wspomnienie (9 II 1930–18 X 1986), „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 14–15 sierpnia 2003 roku.

Czesław Szczepaniak

Urodził się w Kazimierzowie (dzisiaj Las Lesznowski) pod Grójcem. Matka miała na imię Leokadia, a ojciec Józef (zmarł bardzo młodo). Wychowywała go prababcia Józefa Studniarkowa z Lasu Lesznowskiego. Nie ma dnia, żebym o ojcu nie myślał. Rano, gdy stoję przed lustrem, żeby ogolić się, to widzę jego rysy na swojej twarzy. Przeżyłem własnego ojca, który żył tylko 56 lat. Aż się to nie chce wierzyć, bo był zawsze taki zdrowy, żywotny, nie chodził na zwolnienia, lekarzy omijał wielki łukiem. A matka, jak pamiętam, zawsze narzekała, że umrze. I tak umierała i umierała, aż przekroczyła 90 lat. I żyje, i ma się dobrze. Moja siostra Bożenka dba o matkę wraz ze szwagrem Jędrusiem. Mój brat Renušek przyjeżdża do Kopanej, gdy nostalgia go chwyci na warszawskim Bródnie. Ja już z domu nie ruszam, niestety. Jestem pod (komórkowym) telefonem, jak myszka pod miotłą.

Jestem do ojca podobny, choć nie mam tyle włosów i od lat nie używam grzebienia. Ojciec wyglądał jak kawał chłopa. A ja, dzięki temu, że choroba mnie zżera, jestem jak szczupak. Mój ojciec nie lubił robić sobie zdjęć. Bał się szpitali. Pamiętam, że kiedy miał kłopoty z VII nerwem twarzowym, nie potrafił się z tym pogodzić. Wpadł w popłoch. Skoczyło mu w górę ciśnienie. Na nic zdały się moje perswazyje z anatomii i fizjologii. Być sprawnym znaczyło dla niego wszystko. I nagle zaczął chorować, trochę o siebie nie dbał. Nie słuchał się matki. W wieku 56 lat dopadł go w obcym sadzie wylew i śmierć. Był 18 października 1986 roku. Sobota. Odszedł na zawsze do Rembertowa, gdzie modrzewiowy kościół pw. św. Jana Chrzciciela i cmentarz parafialny, i sady nad sadami.

Zostało po nim kilka zdjęć. Świątecznych i codziennych. Białą koszulę zakładał przy niedzieli albo gdy wyruszał w interesach do miasta. Na wszystkich zdjęciach, jakie znam, mój ojciec tylko raz się uśmiecha, w warsztacie przy tokarce, wyciąga w górę ręce i widać jego bielusińkie zęby. Na pozostałych fotografiach ma zamknięte usta i patrzy w dal. Trzyma się tokarki. Jest nieobecny. Dlaczego tak

się zachowuje? Widocznie miał ku temu powód i nie do mnie należy rozstrzygać.

Mój ojciec, Czesław, był starszym rzemieślnikiem obróbki skrawaniem w warsztatach kolei wąskotorowej w Piasecznie. Tokarzem. Był *mężem zaufania*. Nieraz mi powtarzał: *Synu, nie oczekuj pochwał za pracę. Masz dobrze pracować, a opieprzyć zawsze ciebie mogą...*

Staram się o tym nie zapominać, choć mam już swoje lata. Napisałem ponad 154. książeczek literackich, publikowałem w około 150 tytułach prasowych, więc nabyłem pewnych praw. A poza tym pamiętam o tym, co pisał Cyprian Kamil Norwid: *Żyjemy zaś (jeżeli się nie mylą?) w Epoce łatwego czytania rzeczy płodzonych szybko, ponętnych i głośnych. I to stało się jedną z pięknych pobudek o wywołania równocześnie o d c z y t ó w, z powodu iż, przy szybkim umysłowych płodów spożywanii, o d - c z y t y w a ć na nowo godzi się.*

Ilekoć pochylałam się, żeby zaczerpnąć papier, przychodzą do mnie jego powiedzenia. Żeby obrabiać tak słowa, aby nie dziwiły się zdania. Żeby nie nakłamać. Więc opukuję tekst, jak rewident, który sprawdza młotkiem na długim trzonku koła pociągu.

W tomiku *Przypomnienie* (nakładem własnym, 2015) zamieściłem o tym wierszyk Pod Trzema Gwiazdkami, który streszcza to, o czym tak długo piszę:

*Jako syn tokarza, starszego rzemieślnika specjalisty,
z Piaseczna Wąskotorowego, nieraz sobie zadaje
pytanie: jak wygląda warsztat, w którym odbywa się
przeгляд kół, co toczą koleje naszego losu?*

PS

Fotografia pochodzi z lat 50. albo 60. XX wieku. Mój ojciec Czesław przy tokarni w warsztatach kolejowych w Piasecznie, w których pracował z kolegami-rzemieślnikami. Robili wszystko, żeby ludzie mogli dojeżdżać i nakręcać zegarki według rozkładu jazdy pociągów. Po 1989 roku zakład zlikwidowano wraz z ciuchcią grójecką.

W tym miejscu jest dzisiaj restauracja „Odjazd” z parkingiem. Pozostała tylko obróbka słów i przywilej wspomnień.

Czesław Szczepaniak (9 II 1930–18 X 1986). Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 14 kwietnia 2016 roku.

Włodzimierz Szczepaniak (13 IX 1950–21 I 1951)

Pierworodny. Mój braciszek. Zawsze był obecny. Matka o nim nam przypominała i płakała. Ojciec milczał. Duma męska nie pozwalała, żeby wyskoczyła choć jedna łza z łódeczki powiek. Zrozumiałem wtedy, że łzy nie pachną, błyszczą.

Pochowano go w styczniu na cmentarzu parafialnym w Rembertowie koło Tarczyna. Matka zadbała, żeby na tablicy miał swój wersalik.

O zmarłym bracie nigdy nie zapominałem. Jest zawsze obecny, gdy będę się nad tekstem.

Drzewiej często pojawiał się w moich snach. Może chciał mnie w ten oto sposób wynagrodzić albo pocieszyć. Przychodził z tarczą cienia, z chłodnym światłem.

Ilekcóż siedzę z rodziną przy stole, zawsze go przypominam przy radosnych okazjach. Jest mi bliski, jak ktoś, kto odszedł tak daleko, że zagubił ślad.

Jego postać zatrzymałem w poezji i prozie. W latach 80. XX napisałem liryk (inc. *Powrócił Zmarły*) *Włodziowi*, który znalazł się w spisie treści książki pt. *Przerwane wiersze* (Wydawnictwo „Iskry”, Warszawa 1981).

W 1982 roku opublikowałem esej pt. *Tren. Uskrzydleni cierpieniem* („Tygodnik Kulturalny” nr 32), który jemu dedykowałem. W 1983 roku szastnąłem jednym tchem *Balladę o naszym stole*. Ten wierszyk publikowano aż 19 razy. To tak na marginesie. Przeczytajcie:

*Powrócili na zimę ludzie i zwierzęta
Zmarły Brat witał się z Siostrą*

*Ojciec z piwnicy nosił alkohole
 Matka rozlewała nam światło
 Dom jesieniami był po naszej stronie
 Rozłupany z pestek Owinięty szalem
 W oczach rósł sad
 Dostrzegliśmy w domu pełno zalet
 Powrócili ludzie rośliny i zwierzęta
 Sęki kaleczyły dłonie
 Stół słojami opity
 Milczał po naszej stronie*

*Włodzimierz Szczepaniak (1950–1951). Wspomnienie,
 „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 15 stycznia 2014 roku.*

Włodzimierz Szczepaniak

O moim najstarszym bracie są krótkie wzmianki w kronice parafii pw. św. Jana Chrzciciela w Rembertowie koło Tarczyna. Ks. proboszcz Henryk Wierzbowski odnotował, że zmarł w szpitalu w Grójcu. Przyczyną śmierci było zapalenie opon mózgowych. Podał też, że jego ojcem był tokarz, a matką Marianna (z d. Grządkowska), jak się wtedy pisało – *przy mężu*. Rodzice mieli 24 i 21 lat. Stała się rzecz straszna na początku wspólnej ich drogi życia.

To, co miało być radością, zamieniło się w łzy. W Grójcu, Pa-włowicach, Kopanie i Rembertowie.

Małe wspomnienie jak braciszek, co zgaśł niczym puszek. I wciąż czegoś żal.

**Prof. Zdzisław Szelağ (4 XI 1932, Ochmanów
 k. Wieliczki – 24 X 2011, Grójec)**

Zdzisław Szelağ uczył języka polskiego w szkołach średnich w Mogielnicy i Grójcu.

Był profesorem w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Kielcach.

Od lat działał na niwie pedagogiczno-literackiej w Grójcu i Kielcach. Współ z żoną Wandą redagował *Słownik wiedzy o Grójeckiem* (od 1993 roku światło druku ujrzało kilka jabłoniowych zeszytów). Poza tym wydał: *Stefan Garczyński. Zarys biografii*, (Kielce 1983), *Romantyzm i polityka. Materiały i szkice* (Grójec 1996), *Póki my żyjemy. Z dziejów Mazurka Dąbrowskiego w latach 1980–1989* (Grójec 1997).

To był lokalny patriota, który chciał z Grójca uczynić stolicę kulturalną Polski. Na pewno to była nietuzinkowa postać w okolicach *Kwitnącej Jabłoni*.

Profesora Szelaǳa dobrze znały okoliczne i warszawskie biblioteki/czytelnie, i Archiwa Akt Nowych. Zaglądał też do ksiąg parafialnych. Pokłosie wieloletnich kwerend publikował na łamach czasopism, jakie wychodziły w okolicach Radomia („Tygodnik Radomski”, „Nowy Tygodnik Radomski”, „Wieś Radomska”) i Kielc („Przemiany”).

Pan profesor bardzo skrupulatnie notował wszystko, co dotyczyło ziemi grójeckiej. Zajmował się małą ojczyzną, Czesi powiedzieliby *domov*, a Niemcy *heimat*.

Pod jesień 1998 roku ukazała się kolejna jego książka *Strofy o grójeckiem* (Wyd. Towarzystwo Literackie im. Adama Mickiewicza, Oddział w Grójcu, Grójec 1998). Antologijny wybór sygnalizuje, że na terenie dawnego powiatu grójeckiego nie było tak, jak w stereotypie (inc. *Coś pan/i! z Grójca?*) albo dowcipnej riposie: *O, święta Trójca, coś pani z Grójca? – Bez różnicy ja z Mogielnicy*. Sporo ziemia grójecka wydała osób, które coś znaczą (ks. Piotr Skarga, Piotr Wysocki, Kazimierz Puławski, Grzegorz Knapski, Konstanty Gaszyński, Wojciech Górski). Gdyby tak pogrzebać w życiorysach, to uzbierałby się duży indeks osób, którzy przyjeżdżali w te okolice, nie koniecznie bezinteresownie.

Profesor uczył szacunku do regionu, w stosunku, do którego było zawsze jakieś *ale*. Nieraz rzemieślnicy słowa w sposób mało elegancki wycierali dzioby piór i zalewające długopisy o Grójec. Morze atramentu/tuszu wylano, żeby moich krajanów zdenerwować.

Ponieważ pan profesor cały czas szukał prenumeratorów i autorów do pisania haseł do słownika grójeckiego, więc nie muszę się rozpisywać, jak niektórzy uciekali od zadań, jakie im wyznaczał podczas spotkań. Innymi słowy, gonił do roboty, żeby działać, a nie narzekać i siedzieć.

Mam trochę wyrzutów, bo co rusz mnie kusił i prosił o jakieś zapiski. Im był starszy, tym częściej mi przypominał. W swoich zbiorach mam kilkanaście listów, pisanych szybko, nerwowo, z pośpiechem. Nie odpisywałem, bo ledwo, co się wyrabiałem z wierszami, felietonami i opowiadaniem. Ponaglał, żebym wpadł do miasta opleczonego strugą Molnicą. Tylko raz uległem, żeby się na mnie nie boczył.

Feblikiem profesora Szeląga był romantyzm, więc z latami ła twej było mu znieść, że *świat pod starość pustoszeje*.

Dochodziły do mnie wieści o tym, że słabnie.

Po śmierci żony zaczął przygasać.

Chyba nie przesadzę, gdy po Mickiewiczowsku napiszę, że *usnął z lekka na wieki*. W Grójcu. Był przysłowiową solą ziemi grójeckiej, i nie dlatego, że pochodził z Wieliczki. To był jego wybór.

Prof. Szeląg Zdzisław (4 XI 1932–24 X 2011). Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 29 sierpnia 2014 roku.

PS

Tekst opublikowano ze skrótami. Redakcja „Gazety Wyborczej Stołecznej” w ramce *Pożegnania i wspomnienia* apeluje m.in.: (...) *Do rubryki przyjmujemy teksty o objętości nieprzekraczającej 3600 znaków. Prosimy, by nie były to wiersze ani encyklopedyczne biografie. Nie gwarantujemy terminu publikacji. Zastrzegamy sobie prawo skracania i redagowania tekstów (...)*. Piszę o tym, żeby czasami ktoś sobie nie myślał, że ktoś mnie krzywdzi. Zawsze jest coś za coś. Powinno się iść na ugodę. Tu ważna jest pamięć, żeby ją przedłużyć nieco we wspomnieniach.

Prof. Zdzisław Szelağ

Pan profesor Zdzisława Szelağa z Grójca po raz pierwszy napisał do mnie list w latach 90. XX w. Poinformował, że będzie redagował zeszyty pn. *Słownik wiedzy o Grójeckiem; w systemie holenderskim*. W pierwszym odruchu przypomniałem sobie cytaty z listu Cypriana Kamila Norwida do Konstancji Górskiej, skreślonego w 1859 roku: – *Na pogrzebie Adama zrobią burdę karczemną – przy skonaniu Zygmunta wieczór tańczący – I zawsze są między karczmą – flamandzką a salonem – francuskim, i nigdy nie są niczym polskim, oprócz też narodowych i kolorów narodowych (...)*.

Nie odpisałem na propozycję złożoną przez profesora z Grójca, który upomniał się o mnie, byłego mieszkańca wsi Kopana pod Tarczynem.

Od 1993 roku profesor słał do mnie grójeckie zeszyty, gdzie na okładce był sad z jabłoniąmi (zmieniały się tylko kolory), a wewnątrz biogramy z rozbudowaną częścią narracyjną dotyczącą związków danego autora z ziemią Grójecką albo oddzielne hasła.

Profesor był znaną osobą i cenionym pasjonatem.

Póki był zdrowy, to odbywał kwerendy po archiwach i bibliotekach.

W swojej biblioteczce, co rusz natrafiam na jego pokłosie prac, z których wylatują karteluszkę zapisane jego ręką, gdzie ponagla mnie i używa łagodnej perswazji: *proszę rozważyć możliwość włączenia się do działalności Towarzystwa Literackiego im. A. Mickiewicza, Oddział w Grójcu. W ten sposób utrwaliłby Pan swoje nazwisko w «Krainie Kwitnącej Jabłoni» i nie tylko*. Ponieważ ledwo co się wyrabiałem z pisaniem, więc nie obiecywałem, że będę starał się skreślać teksty w systemie holenderskim. Uczciwość nakazywała, żebym zachowywał się przyzwoicie. Aby to zrekompensować profesorowi, raz wybrałem się na spotkanie autorskie z okazji *Dni Kwitnących Jabłoni 1993 roku*. Profesor nie był zadowolony, bo dopuściłem do głosu innych, którzy tak się rozgadali, więc przeczytałem tylko kilka

wierszyków. Wyjeżdżając, miałem wyrzuty sumienia, że zawiodłem pana profesora, który przypominał, żebym się włączył w pracę domową nad kolejnym zeszytem.

Po jego śmierci nikt nie kontynuuje tego, co z takim rozmachem prowadził. Nie czytałem, żeby ktoś go wspominał. Wszystko, co robił wspólnie z żoną Wandą, przechodzi bez echa, niestety.

Nie wiem, jakie są losy jego zbiorów.

Jest mi głupio, że tak szybko zapomniano polonistę, który chciał, żeby Grójca nie brali na języki. Że Grójec to nie tylko jabłka i *Krówki Polskie mleczne* (Cukiernicza Spółdzielnia Inwalidów JED-NOŚĆ).

Nieraz mnie korciło, żeby poinformować profesora Zdzisława Szeląga, że to nie moja wina, że w Grójcu zawiązali mój pępek.

Prof. Zdzisław Szeląg (4 XI 1932–24 X 2011). Wspomnienie, „Magazyn Stołeczny. Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 22 kwietnia 2016 roku.

Zbigniew Szymańczak

Zbyszek był przez mamę rozpieszczany, bo wcześniej stracił ojca. Miał siostrę Urszulę i dwóch starszych braci. Mieszkał w *Pałacu* w Kopanej, który zasiedlili pracownicy PGR Pawłowice i Książkowa. *Szymer* – taką miał ksywkę. To był taki brat łąta. Z nauką na bakier, ale przechodził z klasy do klasy. Radził sobie w szkole. Siedzieliśmy w jednej ławce. Pomagałem mu w ściąganiu, choć dziś w dobie amerykańskiej poczytano by mi to za wielki występek i grzech. Nie mam z tego powodu wyrzutów sumienia, bo są ludzie, do których człowiek ma słabość jak do Zbyszka Szymańczaka. Od młodych lat nikotynizował się, więc jego marynarka miała zapach papierosów. Po skończeniu VIII klasy, kontrakt się urwał.

W 2014 roku prosił moją siostrę Bożenę, żeby podała mi do niego telefon. Zadzwoiłem. Miał kłopoty z utrzymaniem opty-

mizmu. Mówił, że jest na rencie. Narzekał na zdrowie. Żdziebko go pocieszałem, że trzeba się cieszyć, bo powrócił do domu dzieciństwa, a to nie jest takie częste.

Zmarł we wrześniu 2016 roku. Kolejny z rocznika 1955. Ze Szkoły Podstawowej im. Wojciecha i Anieli Małżonków Górskich w Pamiętce pod Tarczynem, którą obejmował las mieszany, ogródki i sad, który wykopano po 1989 roku. Las został wraz z dębem *Wojciechem*. Jeszcze.

Pochmurnie się robi, gdy o nim myślę. Cyprian Kamil Norwid w liryku pt. *Dumanie pisał: Dzikie smutki, jak kolcem / najeżone głogi, / (...) / A niebo, tak jak dawniej milczące, zamknięte, / Ani płacze ani się śmieje! / (...)*.

Szkolne czasy. Lata 60. XX wieku.

Odchodzą nauczyciele, koleżanki, koledzy, i inni. I nic na to nie poradzimy, że czas tak siecze – ścina.

Ceny życia nie ustala śmierć – na szczęście. (Po śmierci nawias życia się zamyka, jak muszla).

Zbigniew Szymańczak. Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 24 października 2019 roku.

Ś Stefan Śledź

Mieszkał w Lesie Lesznowskim koło Izaków. W dawnym powiecie grójeckim. Jak szedłem do cioci Celi i wujka Tadka Tomeczek, to mijałem ich podwórko. Był murarzem. Pani Amelia Śledź zajmowała się domem i wychowaniem dzieci (Rysiek, Tadek, Roman, Jadzia).

Oczywiście, że był to bardzo ceniony i znany murarz. Z najwyższego rusztowania, zbitego z nieheblowanych desek.

Nieraz go widywałem, jak jechał rowerem do roboty.

Niejeden dom w okolicach *Kwitnącej Jabłoni* był wzniesiony jego rękoma. Cegła po cegle, z solidną zaprawą. U nas po nim została komórka, która pomimo, że ma już swoje lata, a trzyma się cał-

kiem dobrze. Komórka może być wizytówką, jak solidnie budował pan Stefan Śledź.

To nie był tani murarz. Wiem to od tych, którzy się z nim targowali. Rzetelny rzemieślnik kielni. Trzymał pion. Jak pamięcią sięgnę, był zawsze trzeźwy jak szkło. A to cecha niezbyt często spotykana u tych, co pracują przy zaprawach z wapna i cementu, piasku i wody. O specach od kielni mawiało się, że nie wylewają alkoholu za kołnierz, i czapka im gore.

Pan Śledź jechał do roboty rowerem. I wracał jednośladem. Bez zygzaków. Nie widziałem, żeby go dwa kółka prowadziły do domu.

Nigdy z nim nie rozmawiałem, bo tak się zdarzało, że kiedy szedłem, to pedałowiał. Z poziomnicą przymocowaną do bagażnika i torbą. Mówiłem dzień dobry, kiwał głową, oczami strzygł, mocniej naciskał na pedały i przyspieszał. A zresztą, co ja, młokos z Kopanej, miałbym do powiedzenia panu Stefanowi Śledziowi? U dawnych rzemieślników nie było żadnych sentymentów. Nie strzępili języka. Im lepszy, tym miał gdzieś wszelkie pochwały. Niepisana zasada mówiła: robotę masz dobrze wykonać, a opieprzyć cię zawsze mogą.

Kiedy mój ojciec stawiał dom, pojechał do pana Stefana, żeby się rozmówić. Pan Śledź postawił takie warunki, że ostatecznie inni murarze wzniesli w sadzie naszą chałupę. Oto, czym się kończą spotkania dwóch rzemieślników. Tokarza i murarza. Piszę o tym, żeby było wiadomo, jak murarz Śledź się cenił. Za życia potrafił oszacować, ile jest wart. Dzięki takim jak on, zrozumiałem, że gratis też ma swoją cenę, ale w sztuce, która gładzi szorstkość świata.

Stefan Śledź żył 68 lat; zmarł 16 kwietnia 1986 roku, zaś jego żona, Amelia Śledź, dożyła 84 lat, zmarła 19 września 2010 roku – wyszła z domu i po kilku dniach ją odnaleziono.

Stefan Śledź. Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 8 października 2014 roku.

T Tola

Nikt w naszej wsi nie wiedział, jakie miała imię i nazwisko. Mówili o niej Tola. Służyła u pana Romana Siejki w Kopanie koło Tarczyna. Mieszkała u niego po tej stronie, gdzie byli najbogatsi gospodarze okolic *Kwitnącej Jabłoni*. Sady, warzywniki, wirydarze i szczerze pola. Czasami wracając ze szkoły, spotykałem ją, jak pasła krowę na miedzy albo w przydrożnym rowie, gdzie strumyk płynął z wolna, jak w piosence z dzieciństwa. Była ubrana w workowatą spódnicę, na głowie miała chustę zawiązaną byle jak, na grzbiecie dźwigała wysiapaną kapotę. Kiedy mówiłem jej dzień dobry, to patrzyła na mnie i odpowiadała bardzo niezrozumiale. Wpadała w nerwowość i pojawiał się zacięty ni to grymas, ni uśmiech. Zapamiętałem jej piskliwy, ptasi, skrzeczący głos. Nie słyszałem, żeby się skarżyła. Dla mnie była, jak ktoś, kto płacze już tylko suchymi łzami. Zapewne nosiła w sobie krzywdę, którą chciała przemilczeć. A zresztą, kto by miał czas, żeby ją wysłuchać. Na takich jak ona, już dawno machnął ręką nawet ksiądz dobrodziej, co tak o sobie dbał i lubił się na mokro zaczesać, i nosił sutannę z wykrochmaloną koloratką.

Tola była nieobecna. Wszyscy wiedzieli, że mieszka u pana Siejki w pomieszczeniu i wykonuje prace w oborze, i obejściu. Jest w ciągłej dyspozycji. Na każde zawołanie. We dnie i w nocy. Wykonywała najcięższą robotę, za którą nikt nie zwykł dziękować. Jej nikt nie przeproszał. Tola była, jak się wtedy mawiało, służącą.

Tola czasami wpadała do naszego sklepu, co był nieopodal stacji kolei wąskotorowej Pawłowice–Kopana. Dorośli stroili sobie z niej żarty, bo nie umiała liczyć, dzieci ją przedrzeźniali, bo nie potrafiła się obronić.

Ilekcóż ją spotykałem, jak stała w gumowcach w bosych trawach, tylekcóż podchodziłem, żeby powiedzieć dzień dobry! Tola patrzyła tak, jakbym był stuknięty.

Tola spod Tarczyna. Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 19 lipca 2018 roku.

PS

Tola – właśc. Teodozja Smołuch, żyła lat 60, zm. 11 X 1992; ur. 1932 roku. Podobno miała córkę. Została pochowana w grobowcu swoich chleboodawców. Spoczywa z rodziną Siejków: Roman Siejka, żył lat 71, zm. 21 IV 1980 roku, oraz z jego pierwszą żoną, Marią Siejka, żyła lat 51, zm. 12 IV 1962 roku, a także drugą żoną, Józefą Siejka, żyła lat 78, zm. 13 II 1995 roku. W grobowcu złożono prochy innych Siejków. Rzadki to przypadek w sztuce funeralnej, żeby pracowników, którzy służyli, chować w tym samym grobowcu. Na wieki wieków.

Kierasant, korespondent z Tarczyna, pisał: (...) *Jedna z obywatelk nie pozwala swej służącej klęczeć przy wielkim ołtarzu, mówiąc, że nie wypada, aby służąca zajmowała miejsce, które się należy rodzinom obywatelskim* (...) („Głos. Tygodnik literacko-społeczno-polityczny” 1890, nr 16 w: *Grójczanie sami o sobie. Antologia korespondencji prasowych z lat 1889–1959, część I*, Wybór, wstęp i przypisy Zdzisław Szelaąg, Towarzystwo Literackie im. Adama Mickiewicza, Oddział w Grójcu, Grójec 2002).

Tadeusz Tomecki (10 V 1924–19 V 2016)

Był moim wujkiem. Z ciocią Celą mieszkali w Lesie Lesznowskim (zwanym Karczunek). Mówili, że tam jest XIX wiek. Mieli kawał ziemi, którą uprawiali, jak prawdziwi gospodarze. Nieraz jeździliśmy do nich ciuchcią grójecką albo szliśmy na piechotę ponad 2 km. Ich dom był taki gościnny i zadbane; od sieni po pokoje. Wujek dbał, żeby wszystko było jak trzeba. Od podwórza przez warzywnik, sad, grządki truskawek i pola, gdzie zboże (od żyta do pszenicy) oraz kartofle.

Wujek Tadek miał specyficzny męski dowcip, aż ciocia musiała go dyscyplinować.

Latami palił po połówce najtańsze papierosy bez filtra, w fifice z orzecha. Kiedy go częstowałem, to odpowiadał: *Za dobre palisz,*

wolę swoje, bo się przyzwyczaiłem. Skracał rękę zamiast wyciągać po cudzesy. Tym mi też zaimponował.

Z wdziękiem kłął, z umiarem pił wódeczkę.

Jako chłopiec lubiłem patrzeć jak orze ziemię. Równiutko. Bruzda do bruzdy. Świetnie potrafił kosić. Miał silnego konia i krowy z wymionami pełnymi mleka, oraz mnóstwo domowego ptactwa na podwórzu. Jego stodoła była pełna w siasiekach, po sam szczyt. Potrafił z mapy nieba wyczytać pogodę i trafiał lepiej niż ówczesny Wicherek, spec od prognozy pogody w Telewizji Polskiej; dzisiejsze przy nim pogodynki wyglądają jak deszczyk-kapuśniak. W niedzielę brał gazetę „Gromada Rolnik Polski” i czytał.

Nie słyszałem, żeby zadawał pytania o charakterze filozoficznym. Miał chłopski rozum, w granicach przysłowia. O życiu wiedział, że w pewnych sprawach nic nie poradzimy, więc lepiej nie bełtać, czekać aż się same uleżą. Po co strzelać batem? Kiedy była radość, to się cieszył jak mężczyzna, a gdy był smutek, markotniał. Od młodych lat był uczony, żeby z byle czego nie robić płaczu.

Tyrał od światu do wieczora. Z ciocią byli chytrzy na robotę, tj. pracowici.

Nie wiem, jak odpoczywali.

I nagle zaczęli się starzeć. Wujka opuściły siły, tzn. nogi go nie niosły. Był częstym pacjentem szpitala w Grójcu. W domu doglądała go ciocia z córką Małgosią, czasami zaglądała Ela, młodsza córka. Słabł. Tracił apetyt i humor. Zaczął ludzi nie rozpoznawać. Po Reymontowski mówiąc (...) *był posepny jak to patrzanie chorego, co ledwie oczy ozewrze i coś niecoś rozpozna, i znowu pada w mrok choroby, (...)* (Chłopi).

To był z krwi i kości chłop. Polski. W czapce. Silny i krzepki. W sile wieku. Aż skruszał.

Pochowano go na cmentarzu w Worowie pod Grójcem.

Wujek Tadek to był ktoś, kto wiedział, jak wziąć się w garść.

I nagle odszedł tam w co wierzył. Nie jestem taki odważny, żeby zdradzić gdzie.

Tadeusz Tomecki (10 VI 1924–19 V 2016). Pożegnanie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 3 sierpnia 2016 roku.

Celina Tomecka (16 III 1924–16 V 2019)

To była moja ciocia. Urodziła się w Pawłowicach nieopodal Kopanej, co leży między Tarczynem a Grójcem. Z domu Grzondkowska. Zmarła w szpitalu w Grójcu. W maju, tak jak jej mąż Tadeusz, i także w czwartek. Po operacji nie doszła do zdrowia. Było za późno na nadzieję i za wcześnie na cud.

Należała do osób, które nie mogła żyć bez pracy. Miała pełne ręce roboty i była cały czas na nogach. Ogarniała gospodarstwo – dom, podwórka i to, co w oborze, stodole i za płotem. Głód był z nią w sporze. Bieda od niej musiała czmychać. Lubiła gości. W Lesie Lesznowskim znana z tego, że nigdy się nie oszczędzała. Była, jak jej rodzice (Szczepan, Zofia), przypisana do ziemi. Pole, sad, łąka, podwórko ze studnią – te rewiry to jej życie. Potrafiła świetnie gotować i piec ciasta, m.in. w tłusty czwartek jeździliśmy do cioci Celi na pączuchy obsypane pudrem, z konfiturą w środku.

Ciocia miała swoje zdanie, którego nie zwykła cofać. Potrafiła obsztorcować, a także przytulić. Przeszła od strzechy do domu z cegły. Od kuchni węglowej po kuchnię gazową. W życiu nie spotkałem takiej osoby, która by była tak chytra na pracę. Jak przystało na kapłankę domowego ogniska – była tak zarobiona, że nie miała czasu o sobie pomyśleć. Wiedziała, gdzie przechodzi granica między dniem powszednim a świętem. I nigdy się nie żaliła przed zachodzącym słońcem, że ją nogi bolą chodzić, a ręce bolą robić. Przyjmowała wszystko jak tajemnicę z rąbkami losu i nie zadawała pytań, powiedzmy. Potrafiła wszystko pogodzić – radość przyjmowała uśmiechem, a nad niedolą szklify się jej oczy.

Celina Tomecka. Wspomnienie, „Tygodnik Warszawa”, „Gazeta Wyborcza” z 12 lipca 2019 roku, nr 161

U Tadeusz Urbanek

Wspomnienie jak dwie strony medalu.

Pierwsza.

W Kopanie żył 103-letni pan Tadeusz Urbanek, który miał syna Tadeusza. I był na chodzie. Jeszcze.

Kiedy skończył 100 lat, to z Urzędu Miasta i Gminy Piaseczno (ul. Tadeusza Kościuszki 5) przyjechała delegacja urzędników z dyplomem i kwiatami. Szukają go po wsi. Podchodzą do bramy i pytają: „Gdzie mieszka pan Tadeusz Urbanek?”. „Młody czy stary?“, zapytał. „Stary, bo chcieliśmy wręczyć mu dyplom z okazji 100-lecia urodzin”. „To jestem ja”, odpowiedział. Urzędnicy byli zadziwieni, że *tarabani się* przez życie.

W 2016 roku, mając 103 lata, pojechał do Tarczyńskiego Centrum Medycznego i w poczekalni opowiadał, że ma od siebie młodszego o 20 lat kolegę (Janusza Frączaka), ale... *nie lubię z nim chodzić, bo za wolno idzie*.

O takim seniorze można napisać, że *Starcy, to żyjące wspomnienia dawnych pokoleń otoczone aureolą lat (...), godni są naprawdę poszanowania i czci od nas* („Tygodnik Ilustrowany” 1863, nr 201).

Oto, jakiego miałem autochtona. Ze (Starej) Kopanej. O Tarczynie Władysław Stanisław Reymont pisał w książce pt. *Pielgrzymka do Jasnej Góry*, pod datą 5 maja 1894 roku skreślił: *Czuć tu jeszcze Warszawę. Tablica na rynku powiada, że miasteczko ma 74 domy, a jakiś cicerone miejscowy objaśnia mnie, że prócz wielu instytucji publicznych Tarczyn posiada 24 szynki, czyli, co trzeci dom – szynk (...).*

Odwrotna strona.

17 stycznia 2019 roku, w niedzielę, zadzwoniła do mnie siostra Bożenka z wiadomościami, że zmarł 105-letni Tadeusz Urbanek, który w tamtym roku pochował małżonkę. (Mówił, że jego recepta na długowieczność, to trzeba mieć młodszą o 10 lat żonę).

Chyba dwa lata leżał w łóżku. Jeszcze niedawno był taki żywotny. Latami gniewał się z bratem Henrykiem. I się nie pogodzili nawet, gdy czuł, że to już koniec. Oto jaki może być chłopski upór.

Pan Tadeusz mimochodem opowiadał, że na łąkach w Kopanej spotykał Wojciecha Górskiego, który pytał dzieci – *Dlaczego nie są w szkole?*

Opowiadał o tym w kółko. To był ostatni mieszkaniec wioseczki Kopana, co leży między Tarczynem a Grójcem, który nieraz na oczy widział zanego patrona szkoły powszechnej w Pamiętce. Już nie ma świadków. Musimy się pogodzić z tym, że przychodzi czas i trzeba zwolnić, i schować wspomnienia. Wszystko się kończy. Nie pomogą ćwiczenia, silna wola, leki, zioła, skalpel, naświetlania, kiedy ciało jest uparte, jak osiołek przykryty panelem albo jak stary jamnik.

Jan Wasilewski (25 V 1949–26 VII 1995)

W

To drugi obok Pana Kierownika Szkoły Podstawowej w Pamiętce mężczyzna, który chodził w garniturze i bielusińskiej koszuli, pod krawatem zawiązanym na gumce. Miał buty starannie wypastowane. Spodnie zaprasowane na tzw. żyłętę.

Wyróżniał go miarowy chód, jaki mają mężczyźni przed pójściem do wojska. Włosy zaczesywał w tzw. mokrą falę.

Mojej matce bardzo się podobał młody nauczyciel, który mieszkał kątem u państwa Zykubków. Przypomnę, że pan Zykubek był ekonomem, a jego żona emerytowaną nauczycielką. Bardzo często zachodziłem do państwa Zykubków, ponieważ mieli *Matą encyklopedię* i biblioteczkę, a w moim domu, oprócz książeczki do nabożeństwa, nie było druków zwartych; pojawiała się tylko popołudniówka „Express Wieczorny” albo tygodnik „Przyjaciółka” (stamtąd matka czerpała wiadomości o robieniu na drutach).

Raz pan Jan przyszedł do nas, siostra ugościła go herbatą i ciastem. Siedzieli przy ławie nakrytej serwetą. Myślałem, że zawiąże się z tego romans.

Ojciec trzeźwo spojrział i powiedział, że jest zbyt duża różnica, jeżeli chodzi o wykształcenie. Eufemistycznie rzekł, choć nie znał takich słów jak synonim czy idiom.

Pan Jan nie pobył długo w naszej okolicy. Wyjechał.

Przypadkowo się dowiedziałem, że umarł. I bardzo mi smutno, że o tym muszę pisać.

Aha!

Pan Jan uczył mnie fizyki. Kiedy pochylał się nade mną, to filuternie mrużył oczy, jakby chciał dać do zrozumienia, że się znamy nie tylko z widzenia.

To tyle jeżeli chodzi o materię i zjawiska w niej zachodzące.

Jan Wasilewski. Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 31 stycznia–1 lutego 2009 roku.

Jan Wasilewski

To drugi obok pana kierownika Szkoły Podstawowej im. Wojciecha i Anieli Małżonków Górskich w Pamiątce koło Tarczyna mężczyzna, który chodził w garniturze i bielusińskiej koszuli pod krawatem zawiązanym na gumce. Miał buty starannie wypastowane. Spodnie zaprasowane na tzw. żyłętę. Wyróżniał go miarowy chód, jaki mają mężczyźni przed pójściem do wojska. Włosy zaczesywał w tzw. mokrą falę. Mojej matce bardzo się podobał młody nauczyciel, który mieszkał kątem u państwa Zykubków. Przypomnę, że pan Stanisław Zykubek był ekonomem, a jego żona emerytowaną nauczycielką. Bardzo często zachodziłem do państwa Zykubków, ponieważ mieli *Matą encyklopedię* i biblioteczkę, a w moim domu, oprócz książeczki do nabożeństwa, nie było druków zwartych. Pojawiał się tylko „Express Wieczorny”. Po godzinie 16.

Większa wzmianka o Janie Wasilewskim znalazła się w tomiszczach: *W przeddzień 100-lecia Liceum Ogólnokształcącego imienia Piotra Skargi w Grójcu 1912–2009*, Opracowanie pod redakcją Zdzisława Szeląga, Towarzystwo Literackie im. Adama Mickiewicza. Odedział w Grójcu, Grójec 2009, ss. 488, oraz *W przeddzień 100-lecia Liceum Ogólnokształcącego imienia Piotra Skargi w Grójcu 1912–2009*, tom 2 *Z tradycją w XXI wiek*, Opracowanie pod redakcją Zdzisława

Szeląga, Towarzystwo Literackie im. Adama Mickiewicza. Oddział w Grójcu, Grójec 2011, ss. 312.

I tyle.

Jan Wasilewski. Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 18 maja 2015 roku.

Jan Feliks Wasilewski

Na stronie 113 monografii pt. *W przeddzień 100-lecia Liceum Ogólnokształcącego imienia Piotra Skargi w Grójcu 1912–2009*, opracowanie pod redakcją Zdzisława Szeląga, Towarzystwo Literackie im. Adama Mickiewicza Oddział w Grójcu, Grójec 2009, zamieszczono krótki biogram Jana Feliksa Wasilewskiego, nauczyciela fizyki. Urodził się we wsi Kukały koło Drwalewa, w powiecie grójeckim. W 1968 roku ukończył Liceum Pedagogiczne w Mławie i od września podjął pracę w Szkole Podstawowej im. Małżonków Górskich w Pamiętce koło Tarczyna. Zamieszkał na stacji u państwa Zykubków, emerytowanej nauczycielki i ekonoma, w Kopanie (dzisiaj ul. Pawłowicka). W okolicach *Kwitnącej Jabłoni* pracował do 1973 roku.

Pamiętam pana Jana, w garniturze, w białej koszuli pod krawatem, zawsze starannie uczesany. Chodził tak, jakby bał się spóźnić. Nie spacerował lirycznie.

Potem uczył w Szkole Podstawowej nr 2 w Grójcu (1973–1977). A po skończeniu studiów w zakresie fizyki na Wydziale Matematyczno-Fizycznym w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Kielcach (1977), podjął pracę w Zespole Szkół Ogólnokształcących w Grójcu. W latach 1992–1996 pełnił funkcję zastępcy dyrektora Zespołu. Dr nauk humanistycznych Katarzyna Nadana-Sokołowska z czułością pisze o swoim wychowawcy, fizyku w książce prof. Zdzisława Szeląga: *Był on [Jan Wasilewski] chyba osobą dość nieśmiałą (udało mi się raz zaobserwować, jak po nagłym huknięciu «Cisza tam!», które bynajmniej nie było dla niego typowe, odwrócił się do tablicy, próbując*

ukryć przed nami swoje zmieszanie i rozbawienie, które go po tym akcie asertywności naszły). Może z powodu tej nieśmiałości relacje pomiędzy nim a naszą klasą były dość formalne. Często bawił nas także z powodu swoich przejęzyczeń. Za to dopiero po studiach, słuchając mrocznych opowieści o zmaganiach się innych humanistów z fizyką, uświadomiłam sobie, jak dobrym był metodykiem. Prowadził lekcje zawsze według tego samego schematu: jak najmniej czasu na teorię, jak najwięcej na praktykę, czyli rozwiązywanie zadań. Teorię umiał nam w kilkanaście minut przekazać w formie zwiezłych i przejrzystych notatek, zawierających głównie przekształcenia wzorów. Praktycznie nie korzystaliśmy więc w ogóle z podręcznika, który, jak się potem dowiedziałam, był zmorą innych osób uczących się fizyki. Nasze zeszyty mogłyby być dla nich prawdziwym skarbem! (...).

To był skromny nauczyciel, nierzucający się w oczy.

Na pewno nie było po nim widać, że pochodzi ze wsi. Ba! Nawet nie miał manier grójeckich.

Przeszedł przez krótkie życie, lekko się spiesząc, zapięty na wszystkie guziki.

To był nauczyciel lubiany, który nigdy stopniami nie straszyl. Może dlatego, że uczył fizyki a nie matematyki, o której mówią krótko – królowa, więc nie uwierała go korona.

*Jan Feliks Wasilewski (1949–1995). Wspomnienie,
„Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 14–15 sierpnia
2019 roku.*

Jan Wilk

W latach 60. XX wieku był dyrektorem Państwowego Gospodarstwa Rolnego Pawłowice koło Tarczyna, powiat grójecki.

Wszystko, co o nim wiem, pochodzi z *drugiej ręki*, oraz z *czudnych słów*. Widziałem go z daleka. Jak uczeń. Zapamiętałem tylko, że był wysoki, miał czarne włosy, nosił bielusięnką koszulę. I to wszystko.

Za jego rządów PGR rozkwitało. Na polach rosło zboże, na łąkach koszone i stawiano olbrzymie sterty z sianem i słomą. W zagrodzie krowy, z wymionami, jak to mawiali, pełnymi mleka. Konie były takie, że nie mogłem się nadziwić ich sile, kiedy drogą ciągnęły wozy żyta, pszenicy, siana. Hodowla tulipanów i zonkili, którą zajmował się pan Defrys, to były wizytówki. W sadach drzewa uginały się od owoców. W stawach pławili się karpie i szczupaki. Na podwórku był ład i porządek. A we wrześniu huczne dożynki.

To on zadbał o to, żeby drużyna LZS *Tulipan* Księżowola miała sportowe stroje w różnych kolorach (czerwone, żółte, zielone) i boisko piłkarskie. Na mecze poza wsią woził ich pan Plech samochodem ciężarowym marki „Star” albo pan Jan Budzik „Nyską”. Na tyłach Pawłowic, na łąkach, gdzie bocianie gniazdo, było murawa do gry, na której trenowali chłopcy z Pawłowic, Kopany i innych wiosek. Zespół piłkarski LZS *Tulipan* to była taka zbieranina chłopaków z okolic *Kwitnącej Jabłoni*, którzy serio traktowali piłkę nożną. Jak amatorzy.

I po marcu 1968 roku rozgoniono ekipę dyrektora Jana Wilka. Mógłbym o tym nie rozpisywać się, ale muszę to odnotować, bo po jego odejściu opuściła Pawłowice to, co zwykło się zwać gospodarność. Na wsi krążyły o nim różne opowieści. Nikt nie zaprzeczył, że to był ktoś, kto potrafił ogarnąć państwowe gospodarstwo. Jeżeli ktoś by chciał sprawdzić to, o czym piszę, będzie – uprzedzam – rozczarowany. Tego już nie zobaczy. Zostały budynki nagryzione przez czas. Jeszcze żyją ci, co nie zapomnieli dyrektora Jana Wilka i jego współpracowników.

Wspomnienia, niby takie stare, a zawsze są świeże, dla nas. Jak tulipany.

Jan Wilk. Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 30 czerwca 2017 roku.

Bronisława i Jan Wrotek

To byli nasi sąsiedzi w Kopanie. Ich ziemię od naszej działki oddzielał rów i polne grusze, oraz dwie wielkie topole, dzikie róże i olszyny. Jan był wysoki jak tyka. Chodził sprężystym krokiem. Pani Bronisława średniego wzrostu. To był jej drugi mąż, pierwszy, pan Przyborowski, zginął. Pan Jan pracował na kolei wąskotorowej, jak Andrzej Zarzycki, nasz sąsiad. Był toromistrzem. Nosił kolejarski uniform i torbę konduktorską. Miał swoją ekipę, która dbała o stan szyn o prześwicie 1000 mm i podkładów kolejowych, i nasypu. Nigdy z nim nie rozmawiałem, oprócz tego, że mówiłem dzień dobry i szybko się odklejałem. I to wszystko, co miałem do powiedzenia. Latem często go spotykałem z kosą, bo lubił strzyc trawę. Miał poletka żyta i kartofli. Zawsze coś dłubał w ziemi. Nie lubił, jak deptało się jego rolę. Koso patrzył, spode łba. Trochę się go bałem. Matka mówiła, że to ostry sąsiad. Jaki tam ostry, skoro ożenił się z wdową, która miała pięcioro dzieci. Który chłop by wziął się, żeby je ubrać i wyżywić? Z całym dobrodziejstwem losu wszystkich przygarnął. Pani Bronisława urodziła mu córkę Krysię. Moja rówieśniczka była, jak wykapany jej ojciec. Kiedy myślę o Janie Wrotku, to widzę, jak idzie przez pole, i przechodzi przez tory na stronę Pawłowic i grzebie w darni.

Mój krajan, Andrzej Horst, historyk i archiwista, mówi, że to był najspokojniejszy chłop we wsi. Był jego sąsiadem, więc widział, słyszał, czuł. Za bardzo go nie rozumiem, bo ja zawsze miałem respekt do pana Wrotka, kiedy na mnie spozierał. Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek się uśmiechnął. Był na serio. Miał takie ostre spojrzenie i suchy głos. A może to nastawienie matki spowodowało, że uległem jej kołysankom?

Dzisiaj na ziemi, o którą tak dbał, wyrósł las i przyciemnił okolicę *Kwitnącej Jabłoni* od wschodniej strony. Czyżby *Nauka poszła w las*? Jeżeli tak, to życzę, żeby kiedyś te drzewa ktoś wykarczował i wykopał, jak to czyni się w Kopanie. Przepraszam, że o tym piszę, choć to nie moje przecież polesie.

Genowefa Wróblowa

Była woźną w Szkole Podstawowej im. Wojciecha i Anieli Małżonków Górskich w Pamiątce koło Tarczyna. Jej mąż, stolarz, to była *złota rączka*. Potrafił wszystko naprawić. Od drewna do metalu. Opiekował się też szkolną pasieką. Mieszkali na parterze, we wschodnim skrzydle szkoły. Mieli za sąsiadów Józefa Chodeckiego, Kierownika Szkoły, i Feliksę (z domu Jarzyna) Chodecką. Za ich oknem był przyszkolny sad i warzywniki z ulami, studnia i orzechy włoskie, na których śmigwały wiewiórki, za żywoplotem była szosa krakowska, czyli trasa E7.

W przerwach czasami zaglądałem do warsztatu pana Stanisława Wróbla. Wchodziłem do szopy, gdzie biedził się nad naprawami szkolnych ławek. Stał po kostki w trocinach i wiórach. Pracował i milczał, choć miał powody, żeby coś powiedzieć o niektórych uczniach.

Z panią Wróblową nieraz siedziałem na drewnianej ławce, na I piętrze. Na parapecie stał ręczny dzwonek z drewnianą rączką, który konserwował mój ojciec, tokarz. Widziałem jaka była zmęczona; nigdy nie słyszałem, żeby narzekała. Miała charakter, który bardzo mi imponowała. Nie wiedziałem o tym, że miała dwie córki: Wandę i Krystynę.

O pani Wróblowej przed laty napisałem opowiadanie pt. *Dzwonek*, które ukazało się w piśmie literackim „Pracownia” 1994/1995, nr 13, Wydawca: Ostrołęcki Ośrodek Kultury.

To było bardzo pracowite małżeństwo. Pani Marianna Jakubowska, emerytowana nauczycielka z Pamiątki, napisała skomprimowane wspomnienie: *Stare, drewniane podłogi zastąpiono nowymi, wymieniono okna, jest kanalizacja, woda, rozebrano kaflowe piece i założono centralne ogrzewanie. To, jak Pani Wróblowa (woźna) szorowała drewniane podłogi, nosiła ze studni wodę, węgiel do pieców, o 3 w nocy rozpałała w piecach, żeby było ciepło – to już tylko wspomnienia starszych pokoleń. I do tej pracy była tylko sama. Dziś są 3 panie do sprzątnięcia, 1 pan konserwator – gospodarz, 2 stróżów. I znów trzeba*

powiedzieć – czasy się zmieniły (...) (*Czasy się zmieniły*, z Marią Jakubowską rozmawiał Czesław Mirosław Szczepaniak, wywiad z 2006 roku, w: Czesław Mirosław Szczepaniak, *Rozmówki polskie*, Warszawa-Ursynów 2011, nakładem własnym).

No cóż!

(...) / Dziś wszystko już inaczej, wszystko spoważniało; / Jako mówią: postawy dosyć, wątku mało (Jan Kochanowski, *Przymówka chłopska*).

Nieraz wspominam panią woźną z Pamiątki, która potrafiła utrzymać porządek w szkole. Było schludnie, czysto. Szybki puszczały tzw. zajaczki, kiedy zaglądały do klas promienie. Ja wcale nie przesadzam z tym, że dzięki pani Wróblowej i uczniom, kurz nie miał prawa usiąść w szkolnej ławce. Zachodzę w głowę i nie mogę sobie przypomnieć ich imion. I nawet nie mam o to kogo zapytać w okolicach *Kwitnącej Jabłoni*. Jeżeli ktoś wie, niech da głos!

Pani Wróblowa z Pamiątki. Wspomnienie „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 28 marca 2014 roku.

PS

Dopisek podczas korekty: Po czasie dowiedziałem się od Grzegorza Jakubowskiego, który mieszka w wiosce Lipie koło Błędowa, nieopodal Grójca, jakie nosili imiona zacni ludzie z Pamiątki, co dbali o czystość i konserwację obiektu szkolnego, objętego wpół – z jednej strony lasem, zaś z drugiej sadem i ogrodem, oraz ciernistymi krzewami.

Genowefa i Stanisław Wróblowie

W tekście pt. *Pani Wróblowa z Pamiątki. Wspomnienie*, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 28 marca 2014 roku, wspominałem panią woźną ze Szkoły Podstawowej im. Wojciecha i Anieli Małżonków Górskich w Pamiątce koło Tarczyna. W poincie napisałem, że nie mogę sobie przypomnieć imion pani woźnej i jej męża. Po czasie dowiedziałem się od pani Marianny Jakubowskiej, nauczycielki

z Pamiątki, mieszkającej w Pracach Małych, jakie nosili imiona ci, co dbali o ład i szkolny porządek. Poza tym pani Jolanta Sas, moja sąsiadka z Kopanej, zachowała czułe wspomnienie o pani woźnej z Pamiątki: (...) *Jeżeli chodzi o dojścia do szkoły w Pamiątce, to mieliśmy dwie możliwości. Jedna z nich, to droga miedzami, którymi dochodziliśmy do dzisiejszej drogi pawłowickiej, następnie do szosy głównej. Była też możliwość przejścia miedzami do dzisiejszej ulicy Państwa Górskich i w prawo już prosto do szkoły.*

Nie było to jednak takie proste. Zimą śnieg po pas, a wiosną rowami, przez które trzeba było przejść, płynęła woda, która sięgała nawet do połowy łydki. Zmarznięci, często mokrzy, docieraliśmy do szkoły. Jednak najpierw do Pani Wróbel, naszej Pani woźnej, gdzie często suszyliśmy się, pijąc herbatę z miodem, z pasieki Pana Wróbla.

Za dobroć i gościnność Pani Wróbel często jeszcze korzystałam, jeżdżąc do Grójca do gimnazjum. Na autobus czekało się nieraz bardzo długo. Zimą zmarznięta biegałam do Pani Wróbel ogrzać się i wypić łyk gorącej herbaty. A jeszcze można było usłyszeć współczucie, jak się bardzo męczę, jeżdżąc do tej szkoły (...).

Wspominam tych znacznych ludzi, którzy mieszały vis-à-vis pana Józefa Chodeckiego, kierownika szkoły, po wschodnio-północnej stronie.

Mieli dwie córki, Wandę i Krystynę.

Naprzeciw ich okien stała studnia.

Pan Stanisław był stolarzem, naprawiał szkolny sprzęt, opiekował się pasieką. Cichy, miły pan.

Obydwoje wyróżniali się tym, że wykonywali to, co należało do ich obowiązków. Byli w ciągłej dyspozycji. Przez całą dobę. Jak na służbie. I dawali radę. To wszystko, o czym piszę, działo się w czasach PRL-u, gdzie nikt jeszcze nie słyszał o takim wynalazku jak mop obrotowy (z wiadrem oraz nakładkami na drążek, które można z brudnej wody odsączyć).

*Genowefa i Stanisław Wróblowie. Wspomnienie,
„Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 29 czerwca 2017 roku.*

Zygmunt Wysocki (1911–1993)

Był kościelnym w Rembertowie koło Tarczyna. Krzątał się wokół kościoła pw. św. Jana Chrzciciela i na cmentarzu parafialnym. Wpadał do drewnianego kościoła (XVIII w.) jak po ogień. Nieraz go Ks. Kanonik Henryk Wierzbowski, proboszcz parafii od 17 grudnia 1949 r. do 29 lipca 1974 roku, takim spojrzeniem omiótł, że ktoś inny by oblał się rumieńcem i stanął niczym słup soli. Jak żona Lota. Ale nie Wysocki, grabarz. Wpadał w gumowcach, z rozwianym włosom, z kilkudniowym zarostem, jak dzisiejsi hipsterzy. Chód miał ciężki, chłopski. Bez żadnych manier i gracji. Zarzucał szybko komżę. Zapalał świeczki i służył księdzu, który był taki wypachniony, ogolony, ładnie zaczesany. Jak z kolorowego obrazka. A Wysocki nieraz się zagapił i przysnął, więc na szturchania był uodporniony. Po Mszy św. błazejkiem gasił świeczki i pędził do chałupy. A był to kawał chłopa. Nazwisko idealnie pasowało do jego postury. Drzewiej o takich mawiano Wyrwidąb. Z takim obywatelem raczej nie wchodziło się w spór, bo mógłby naznaczyć śliwką.

Mieszkał obok kościoła, w drewnianym domu, krytym słomą, w tzw. bliźniaku (dwojaku). Z maleńkimi oknami. Małżonka miała na imię Marianna (połączenie Marii i Anny), rocznik 1918 (zmarła w 1993 roku). Żonka pana Zygmunta nie oddalała się zbyt daleko od podwórka. Zawsze chodziła w gumowcach. Jego gospodarstwo przypominało skansen. Mówili o nim, że to dziad kościelny. Nie podobało mi się, że taką łatkę mu przyszywano, bo do dziada był niepodobny. Bez przesady i złośliwości. Wysocki jako ostatni żegnał się z umarłymi. Brał szpadel i wykopywał w ziemi dół, zgodnie z normami, jakie obowiązują w pochówku w prawie polskim. Z Wysockim trzeba było żyć, bo nigdy nie wiadomo, kiedy przyjdzie śmierć.

Raz tylko się z nim spotkałem na cmentarzu. Było to podczas pogrzebu mojego dziadka Szczepana Grzondkowskiego (1892–1970). Deszczowy lipiec. Stoimy. Trumna leży na ziemi, a Wysocki

mówi, że *wszystkich nas obiją na koniec łopaty*. Wujowie weszli z nim w dialog. Ksiądz skonsternowany. Żałobnicy też. Moje ciocie, co przestrzegały zawsze grzecznościowych form, podniosły larum: *Panie Wysocki!* A on spojrzął, oparł się o szpadel i pouczył: *Wszyscy muszą umrzeć, trumna nie ma kieszeni!* (Dawał do zrozumienia, że to *piżama z drewna*).

Potem wujek Tadek i Zygmunt zapytali grzecznie: *a kto Wysockiego oklepie łopaty?* Pan Stefan, już lekko zziajany, odpowiedział, że zawsze był grabarz, jak świat jest światem. Riposta była na miejscu.

Podobno na każdym pogrzebie Wysocki musiał coś powiedzieć, co zapadało w pamięć. Dzisiaj bym napisał, że wprowadzał taki nastrój, jaki jest w wierszach księdza Józefa Baki (1707–1780, jezuita):

W grobie dobrze dość na dziada, / Bo ucichnie wszelka biada: / Nie męka, / Nie stęka, / Nie licho, / Śpi cicho.

Dzięki Wysockiemu śmierć nie była straszna w okolicy *Kwitnącej Jabłoni*. Po nim już nie było takiego kopidoła.

Raz go tylko spotkałem, a wszedł mi pamięć. I siedzi. Jak fiszka. Nie napisać o tym, to by była dopiero strata dla potomności. (Le-karzowi i grabarzowi nie życzy się *dobrego roku*, jak poucza przysłówie żydowskie).

Zygmunt Wysocki może być wzorem dla innych kopali, choć wyglądał jak stary partyzant.

To był rzemieślnik w sztuce funeralnej. Jego warsztat był przy ołtarzu, oraz tam, gdzie trzeba było wziąć w garść szpadel/łopatę, liny i pasy do ręcznego spuszczenia trumny w dół.

Wszystko było w jego łapach. Przepraszam, rękach.

Zygmunt Wysocki należał do ludzi, którzy ze śmiercią obcowali jak z życiem.

Mieć takiego sąsiada, to byłby dla mnie wielki zaszczyt. Zachować zdrowy rozsądek i poczucie humoru, to piękna cecha charakteru.

Aha!

Ostatnią posługą zajmowała się rodzina i sąsiedzi. Zegar zatrzymywano na godzinie śmierci, lustra zasłanianio lub odwracano do ściany, żeby dusza się w nim nie przeglądała. A śmieci zgarniano pod trumnę, aby *nie wymieść jeszcze kogoś z rodziny*. Trzy dni trwały pożegnania.

Przypomnę, że wedle dawnego zwyczaju, trumnę z nieboszczykiem wyprowadzano z domu i trzy razy uderzano w próg na znak pożegnania, wypowiadając: *Duszo opuść te progi, przez które przeszły twoje nogi*. Drewnianą skrzynię niesiono na plecach do I. przydrożnego krzyża. A potem kładziono na wóz i ludzie szli na cmentarz, żeby pożegnać tego, którego zabrała śmierć. Śpiewali smutne pieśni – zawodzili, i płakali, bo wiedzieli, że trzeba się z końcem życia pogodzić. Ciało chowano głową na wschód, bliscy sypali do grobu garść ziemi, aby nie ciążyła zmarłemu. A potem do roboty zabierał się Wysocki i układał na świeżej mogile wieńce oraz kwiaty. I milczał jak zaklęty. U niego szukali nadziei, gdy było wszystko zaklepane. I widzieli go przez łzy, więc był zamazany; zawsze dostawał do ręki pieniędzy, który się gniecie i nie dźwięczy. I nieśpiesznie rozchodzono się tam, skąd się przyszło. Pogrzeb zawsze był wydarzeniem.

PS

Stefan Wysocki, na którego mawiano *dziad kościelny* wraz z żoną mieszkał w tzw. organistowce (spłonęła w 2014 roku). W tzw. dwójaku. Za sąsiadów mieli organistę Stefana Marciniaka, który miał 4 córki (Lechosławę, Elżbietę, Aldonę, Marię) i syna Jarosława. Trochę przez mgłę widzę Marię, która chodziła do jednej klasy z moją siostrą Czesławą Bożenę. Siostra opowiadała, że na nią mówili *Magda*. Dodając, że już dwie siostry nie żyją, a *Jarka czasami widuję, bo wybudował się w Tarczynie*. Nieco wyraźniej widzę Jarka, co miał, jak jego siostra, blond włosy i jasną cerę. Marciniakówny wyróżniały się urodą. Były takie czyściutkie jak laleczki. To znak, że ich mama przestrzegwała higieny i robiła wszystko, co mogła. Kiedy zapytałem Andrzeja Horsta, absolwenta szkoły w Pamiętce, rocznik 1959-1960, i byłego ministranta w kościele w Rembertowie, który

chodził do jednej klasy z Lechosławą, jaki był pan Stefan Marciniak?, to odpowiedział, że *wyglądał jak sowa?* Więc ja drązę: dlaczego? Mój starszy kolega, szybko uzupełnił, *bo nosił okulary*. I tyle się dowiedziałem o organiście. Ponieważ nie mogę jechać i przejść się po wsi, żeby zapytać, więc to musi zostać, co napisałem, chyba że odezwie się do mnie ktoś z Marciniaków i poprawi, żeby była pełna harmonia – aby nie spadła żadna nutka na ziemię.

W książce Hanny Wołkiewicz *Pamiętka kaze pamiętać. Szkic monograficzny z dziejów Szkoły Powszechnej imienia Wojciecha i Anieli małżonków Górskich w Pamiętce w latach 1925–1998* (Wydawca: Regionalny Ośrodek Kultury w Tarczynie na zlecenie Szkoły Podstawowej imienia Wojciecha Górskiego w Pamiętce, Pamiętka kwiecień 1998) na stronie 65 jest czarno-białe zdjęcie grupowe uczniów i nauczycieli. Obok kierownika szkoły Józefa Chodeckiego, po jego lewej ręce siedzi Stefan Marciniak. Wszyscy patrzą przed siebie, gdzie stoi fotograf, tylko pan Stefan gdzieś w dół i pani Jadwiga Mielec, którą znałem. I na podstawie pani Mielcowej wiem, że pan Stefan to był człowiek zawstydzony, może chciał ukryć to, że za bardzo nie potrafi związać koniec z końcem. Nieśmiałość to niezbyt szanowana cecha w życiu. Ci, którzy są nadwrażliwi, ocierają się o głód a nie sytość. Nie śpią po nocach. Ludziom, którzy mają miękkie łokcie i kolana, nie łatwo się żyje. Wrażliwość to kłopotliwa cecha charakteru. Świeccy muzycy, którzy grali na zabawach (szkolnych, miejskich i wiejskich) mieli o wiele trudniej niż organista. Nie słyszałem, żeby ktoś się nad śpiewakami litował. Traktowano ich jak darmozjadów, a przecież to dzięki nim ludzie zapominali o pracy w pocie czoła.

Aleksandra Zarzycka (1909–5 I 1987) i Andrzej Zarzycki (1906–1990)

Z

Byli naszymi sąsiadami w Kopanie, poczta Tarczyn, powiat grójecki. Mieli ośmioro dzieci: Genowefa, Barbara, Halina, Krystyna, Wanda, Ryszard, Tadeusz i Edward.

Pan Zarzycki pracował na kolei wąskotorowej. Na torach. Jego żona zajmowała się dziećmi i domem. Czyli jak ówczesznie pisali – *przy mężu*.

Mieszkali w wielkim budynku z cegły (wypalonej w sąsiednich Pawłowicach), z dachem pokrytym papą i posmarowanym lepikiem. Na ich działce była pasieka, rosły jabłonie, wiśnie, czereśnie, orzechy włoskie oraz porzeczki. Hodowali kury, króliki i świnie. Nieraz widziałem, jak miedzą – rowem porośniętym trawą po kolana – szła z worem pokrzyw pani Zarzycka. W gumowcach. Prawą ręką ścisnęła pełen węzeł roślin, co miały kłująco-parzące włoski, zaś w lewej ręce trzymała sierp. Za jakiś czas znowu szła z pustym workiem, żeby przyciąć garść mleczków i trawy dla królików. Dzięki pani Aleksandrze, o czym nikt nie wiedział, zmniejszała się populacja motyli (rusałka pawik). Motyle dorosłe, jak wiadomo, żywią się nektarem kwiatów, natomiast larwa – pokrzywą zwyczajną. Samica motyla składa jaja w grupach po kilkanaście sztuk na spodniej stronie liścia pokrzywy. No cóż! Motyle, które mają na skrzydełkach *pawie oczko*, nie doczekały przeistoczenia larwy. Z pokrzywami zostały przyniesione, żeby zasilić menu trzody chlewnej. Oczywiście, że takimi sprawami nikt się nie zajmował. Tu chodziło o to, żeby świnie nie kwiczały z głodu, a nie o motyle.

Jaką ona musiała mieć siłę, żeby utrzymać cały inwentarza?

Latem pomagała panu Andrzejowi przy pasiece. Ubierali się w strój roboczy i podbierali miód z uli.

Pan Zarzycki prenumerował miesięcznik „Pszczelarz Polski”. Jeździł na spotkania z bartnikami. Czytał. Potrafił zbudować ule (*domki apikultu*, tak nazwał Edward Stachura, *Po ogrodzie niech hula szarańcza*, poemat, 1968). Pomimo że byli naszymi sąsiadami, to nigdy z nimi nie rozmawiałem dłużej. Kłaniałem się i to wszystko. Pani Zarzycka nieraz chwaliła mnie do matki, że *dobrze Mirka wychowała*. I to wszystko. Kiedy wpadła do mieszkania pszczoła, to robiłem wszystko, żeby wyleciała. Gdy mnie użądliła, nie krzyczałem, tylko wracałem do domu, wyciągałem żądło. Wiedziałem, że miejsce

uządlenia trzeba naślinić, żeby uśmierzyć jad. Matka zalecała, żeby m o c t e m smarował opuchliznę.

Pan Zarzycki wracał z pracy z torbą na długim pasku. W kolejarskim uniformie. Palił papierosa. Był toromistrzem. Czyli odpowiadał za stan torów kolei wąskotorowej, tzw. grójeckiej, o prześwicie 1000 mm. Po fajrancie resztę dnia oddawał się pracy na działce. Doglądał pszczół. Strzygł żywopłot z grabiny, żeby pszczoły nie wlatywały wprost na drogę, tylko odrywały się do góry. Jak samolot.

Nasza działka była odgradzona najpierw cienkim paskiem miedzy. Za jakiś czas siatką. Jesienią było zabawnie, bo orzechy Zarzyckiego nie dość, że niszczyły dach naszej komórki, o co się wsiekał ojciec z matką, to wpadały na naszą stronę działki. Tata kazał mi je zbierać, więc je podnosiłem, a potem wszystkie orzechy przesypywałem na stronę pana Zarzyckiego. Oczywiście, że musiałem się tłumaczyć przed tatą, dlaczego tak dziwnie się zachowuję.

Chętnie bym napisał coś o miodzie z pasieki pana Zarzyckiego, ale... nigdy go nie jadłem. Musiałem się obejść smakiem. Widziałem tylko jak go z ramki przelewano do kubła. Był słoneczno-bursztynowy. Oczywiście, że nie śmiałybym prosić o słoiczek, żeby spróbować.

Kiedy zmarł nasz sąsiad, odleciały pszczoły. Zostało kilka pu-
stych uli.

Za jakiś czas taki sam los spotkał stare jabłonie i czereśnie. Ocalały tylko egzemplarze miesięcznika „Pszczelarstwo. Organ Polskiego Związku Pszczelarskiego” i *Poradnik pszczelarski* (Praca zbiorowa: Mgr Czesław Bojarczuk, Mgr Zofia Chomińska, Jadwiga Guderska, Dr Mieczysław Lipiński, Inż. Wanda Ostrowska, Inż. Mieczysław Wojtacki, Państwowe Wydawnictwo Rolnicze i Leśne, Wydanie II, Warszawa 1967), które pan Andrzej Zarzycki przekazał Danielowi Ogrodnemu, naszemu sąsiadowi z naprzeciwka. A on mnie obdarował, gdy poczuł, że jest śmiertelnie chory.

Poza tym kilka jego uli ocalało na miniaturce plastycznej Michała Fludra, który pod jesień 1986 roku wpadł do Kopanej i namalował m.in. *sad p. Zarzyckiego i równiutko ustawione ule*.

Pani Aleksandra też zachorzała. Widziałem jak gasła w oczach. Marniała. Córki ją wyprowadzały na spacer. Zrobiła się jak cień. Kruchutka. Drobiła krok za kroczeniem. Aż się nie chciało wierzyć, że to jest pani Zarzycka. Cicho odeszła.

Oboje leżą na cmentarzu parafialnym w Rembertowie koło Tarczyna.

Pozostał wielki dom z cegły, z dwoma kominami, i orzechy, które tak łatwe są jesienią do zgryzienia.

I pomyśleć, że drzewiej tyle tu było życia. Jak w ulu. Wieczorami paliły się lampy w oknach.

Dzisiaj jest tak, jakby w tym domu przepalone były wszystkie żarówki. Komin nie pisze już listów do nieba. Siostra mówiła, że od ich strony wieje smutkiem. Ponieważ już nie ruszam z domu, więc nie pojadę, żeby spojrzeć. A zresztą, nikt mnie już nie woła z okolic *Kwitnącej Jabłoni*. Może to i lepiej dla wspomnień, które się nigdy nie starzeją. W pogodę i niepogodę.

Pamiętam jak w dzieciństwie czytałem w *Elementarzu* Mariana Falskiego: *A tu ule, i tu ule, i tu*. I mówiłem, jak u pana Zarzyckiego. To oni wspomagali pszczołę, która przynosiła do ula kropelkę nektaru, którą podawała robotnicy, co przerabiała tę kroplę między wolem a pyszczkiem. Uszlachetniała swoją śliną. A następnie przekazywała czterem kolejnym robotnicom. Tak przerobiony i doprawiony nektar odkładano w komórce woskowej w ulu. I pomyśleć, że jedna pszczoła robotnica, żyjąca półtora miesiąca, w ciągu całego życia produkuje 1/12 łyżeczkę miodu. Żeby otrzymać 1 kg miodu, pszczoły robotnice muszą pokonać dystans równy dwukrotnemu obwodowi ziemi. Jest mi trochę głupio, że wyjawiam o tym, jak pszczoły piły z kielichów kwiatów. Do dna. Ale czego to się nie robi dla swoich ziomek, żyjących 40 km od Ursynowa.

Aleksandra Zarzycka i Andrzej Zarzycki. Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 15 maja 2015 roku.

Aleksandra Zarzycka

Była naszą sąsiadką w Kopanie, poczta Tarczyn, powiat grójecki. Oddzielał nas pasek miedzy, druty i siatka. Urodziła ośmioro dzieci. Jej mąż był toromistrzem na kolei wąskotorowej relacji Piaseczno–Nowe Miasto nad Pilicą, i milczkiem. Nie tylko dbał o podkłady na kolei o prześwicie szyn 1000 mm, ale potrafił zbić ul z cienkich deseczek i zadaszyc. Mieli działkę z drzewami owocowymi, warzywnikiem, kartofliskiem, pasiekę. Wyróżniał ich wysoki żywopłot przypasieczny, cyklicznie strzyżony sekatorem. To był taki żywy płot, żeby pszczoły nie leciały wprost na uliczkę. Dzięki tej osłonie panował spokój wokół pasieczyska. Poza tym hodowali świnię i króliki. Bardzo często słyszałem jak nabierali kubłem wodę ze studni. Pani Aleksandra rano i w południe szła ścieżką przy rowie, co był przy polu pana Bronisławy i Jana Wrotka, toromistrza. Wyglądała jak zielarka. Na plecach dźwigała w wielkiej chuście pokrzywy. Ciężko szła. Na nogach miała gumowce zachlapane rosą wymieszaną z ziemią. Sapała. Zapaska spadała na jej wilgotne czoło. Kiedy ją mijałem, to mówiłem dzień dobry. A ona z trudem opowiadała, nie zatrzymując się. To znaczyło, że ciężar, który targała, był ponad jej siły. Pani Zarzycka pachniała zmęczeniem. Biła z jej taka siła. Podziwiałem ją, że miała tyle siły, aby przytaszczyć do domu wór pokrzyw o liściach i pędach pokrytymi parzącymi włoskami. Ludzie przesadzają, kiedy mówią: *By nie mróz na złe pokrzywy, byłby ten chwast zawsze żywy*. Prawą ręką trzymała węzeł chusty, zaś w lewej ścisnęła sierp. Nie zapominajmy, że pokrzywa lubi rosnąć przy wonnych kwiatkach takich, jak fiołki, lilie. Z czasem zrozumiałem, obserwując niektóre sąsiadki, że *W domu pokrzywa, róża poza domem*. Pokrzywy lubią słońce. Na nich motyle składają jajeczka. Przyciągają biedronki, co zjadają mszyce. Zawsze parzą. W pokrzywach powinno się trzymać lekko dojrzałe jabłka i gruszki, żeby dojrzwały i zmiękły. W wywarze z pokrzyw kobiety myły głowę. Piszę o tym, bo pokrzywa ma czarny PR. Czasami zamiast pokrzyw niosła wór trawy i mlecza dla królików.

Latem pani Aleksandra pomagała mężowi w pasiece. Ubierała się w płaszcz roboczy, siatkę ochronną. Oboje szli do pracy jak do ślubu. Pachnieli świeżością i czystością, jak mówi ludowe powiedzenie. Pan Andrzej Zarzycki trzymał podkurzacz, z którego sączyła się smuzka dymu, co działa rozbijająco na pszczoły. Okadzali ule i podbierali ramki, w których dojrzewał owoc pracy zbieraczek, co wracały z kroplą nektaru i pyłkiem. Pszczoły strażniczki wpuszczały je, i pracowano nad kroplami miodu, żeby wypełnił sześciokątny plaster. Nasi sąsiedzi w milczeniu obchodzili ule pomalowane w jasne kolory. Z daszkiem dwuspadowym, krytym papą bitumiczną. Czarną jak lepik. Stali wśród domków apikultu, zbitych z deseczek, pomalowanych na niebiesko, biało, żółto.

W ciepły bezwietrzny dzień stałem na czatach i podziwiałem ich, że byli tacy odważni. Widziałem jak nosili ramki z plastrami miodu. Byłem świadkiem, jak pochyłali się nad otwartym ulem. Jak nad kołyską. Potrafili zapanować nad rojem pszczoł. Stałem na podwórku. Nieraz ich pszczoła – starsza robotnica włożyła sztylet żądła w moje ciało. Ale to nie był powód, żeby robić larum, że zbieraczka tak mnie potraktowała. Żądło wyjmowałem i nacierałem bolące miejsce octem.

I tak to trwało latami. Ich orzechy zasłoniły dach naszej komórki. Jabłoni gałęziami wplotły się w ziemię. Pani Aleksandra przestała nosić zielsko w płachcie. Opustoszała ich działka. Gaśła. Jej mąż wyglądał jak zasuszony szczupak, zaś ona przygarbiła się i nogi ją nie niosły.

I nagle odeszła. Cicho. Czyli tak jak żyła.

Za kilka lat jej śladem poszedł Andrzej Zarzycki (1906–1990).

O tym, że mieli sad, ogródek, warzywnik, ule wiem, bo to mam na zdjęciach i na obrazku. To, co już ma wartość sentymentalną, przechowuję w pudełku po butach i w beżowej teczce z tasiekami jak kokardki do włosów.

Kiedy byłem chłopcem, to samotnie chodziłem po naszym sadku i śpiewałem pod nosem. Kiedyś pani Aleksandra Zarzycka

powiedziała do matki, że mam ładny głos. Nikt mnie w dzieciństwie tak nie chwalił, jak moja starsza sąsiadka. Niby taka szara i szorstka. Po jej śmierci podjąłem trud, żeby o niej musnąć wspomnienie. O tym, że w naszych okolicach *Kwitnącej Jabłoni* było śpiewająco i pszczelo jak w ulu. W sadach, łąkach i na polach, i w pawłowickim lesie.

Innymi słowy, ja nic takiego nie robię, tylko przypominam to, co odeszło w zapomnienie. Już.

Edward Zarzycki

Aleksandra i Andrzej Zarzyccy byli naszymi sąsiadami w Kopanie, co leży między Tarczynem a Grójcem. Dzieliła nas miedza, a potem drucziana siatka. Mieli 8. dzieci. Trzech chłopców i pięć dziewczynek. To była dla mnie starsza młodzież. Płeć piękna była cicha, nieskora do rozmów, zaś płeć brzydka głośniejsza. Mieli pakowny dom z cegły wypalanej w sąsiednich Pawłowicach.

Ale po kolei.

Wszyscy to absolwenci szkoły podstawowej im. Wojciecha i Anieli Małżonków Górskich w Pamiętce. Edward był najmłodszy i najgłośniejszy, i trudny do upilnowania. Żywy jako chłopak – krewki jak młodzieniec. *Kawał cholery* – mówili o kimś, kto zaciemniał cholerę jasną.

Andrzej Horst, doktor nauk historycznych, mówił, że synowie byli *srodzy w głosie*. A kiedy dodałem, że patrzyli spode łba, to uzupełnił, że *mieli oczy ostre jak u orła*.

A przecież Andrzej Zarzycki, toromistrz i pszczelarz, to spokojny obywatel. Podobnie jak jego małżonka Aleksandra. Dodałem, że może dlatego, że mieli bujną młodość, więc dłużej się musieli wyhuścić i przebujać. Że jechali po bandzie. Poza tym mój starszy kolega z wioseczki Kopana opowiedział, że zapamiętał jak Edek szedł ze szpadlem – stylisko łopaty kładł na plecy i oznajmiał: *Robotnicy idą się opalać!*

Edward, jak Zarzyccy, miał pewną wyniosłość i mrukliwość. Nieraz brał szpadelek i wywijał, podśpiewując: *Hej, rolnicy, zejdźcie z pola, i zatańczcie rock and rolla, popatrz, popatrz jak to robię, raz od siebie, raz ku sobie...* Stałem za żywopłotem i wsłuchiwałem się w jego zdarty śpiew. To że zatrzymałem się za naturalnym płotem świadczyć może, jaką zachowałem ostrożność – wolałem nie ryzykować.

Podobno Edek był świetnym tynkarzem, tak niosła wieść. Nie sprawdziłem tego, co gadano. Życie swoje – mówiąc eufemistycznie – przechlapał, a resztę puścił z dymem. Koleje losu to nie wylewka pod parkiet, że przyjdzie kit (klej) i będzie git. Na nic zda się murarska poziomnica, gdy nie trzymasz pionu.

Ponieważ przeszedł przez więzienie, więc uprawiał warszawską grypsersę uliczną, która na wsi się zupełnie nie sprawdzała.

Edward – absolwent Szkoły Powszechnej im. Wojciecha i Anieli Małżonków Górskich w Pamiętce, otwartej od 1925 roku, rocznik 1963–64, wychowawca Ludwika Neufeld. Postrach w okolicy *Kwitnącej Jabłoni*. Raczej schodzili mu z drogi. A to, że piszę, wcale nie znaczy, jaki jestem odważny. Wspominam w myśl zasady, jaka obowiązywała nie od dziś w sadybie – pogrzeb na wsi to sensacja, która trzyma podszewkę życia. Że wszystko przemija jak dym. I wpada do otwartego nieba. Wraz z lamentem.

Ponieważ państwo Zarzyccy mieli sporą pasiekę, więc stosowne będzie, że przypomnę przysłowie arabskie: *Gdy wypuszczasz strzałę prawdy, umoc jej grot w miodzie*. Cyprian Kamil Norwid (1821–1883), urodzony w miejscowości Laskowo-Głuchy, radził, że *trzeba trochę zestarzeć i ołysieć pierwej. Z wrażeń chwilowych ochłonać – prawdy żywota obiema rękami dotknąć*.

Chyba za bardzo nie przesadzę, gdy napiszę – milczenie jest złotem, z którego słowo się wysrebrza. Tylko morze ma swoje cmentarze – cichsze oraz głębsze.

Krystyna Zarzycka

Naszymi sąsiadami w Kopanie, poczta Tarczyn byli Aleksandra i Andrzej Zarzyccy. Mieli ośmioro dzieci: Gienia, Basia, Halinka, Krysia, Wandzia, Rysiek, Edward i Tadeusz. Pan Zarzycki pracował na kolei wąskotorowej. Był toromistrzem. Jego żona zajmowała się dziećmi. Od sąsiadów dzielił nas pasek miedzy i orzechy włoskie, które jesienią ciapały na naszą stronę. Nieraz było tak, że ojciec mi kazał je zbierać. Podnosiłem z fartucha ziemi i wyrzucałem je na działkę pana Zarzyckiego. Tata kazał mi wrzucać za pazuchę, bo były nasze. A ja nie słuchałem ojczulka. Uważałem, że owoce nie były nasze.

Pan Zarzycki miał pasiekę. Dzięki pszczołom nieraz byłem uzależniony. Nie znam smaku miodu z jego uli, bo nigdy nas nie poczęstował.

Córki pana Zarzyckiego były bardzo spokojne i ode mnie starsze, więc ich się wstydziłem. I pierwszy się im kłaniałem. Jeżeli chodzi o synów, to ich się bałem, bo byli zdolni do różnych psotów, co na granicy igrania z ogniem. Pamiętam, że ich domem zajmowała się niezamężna Wandzia, która ździebko mówiła. Pani Krystyna była singielką. Spokojna, elegancka – schludnie ubrana. Do pracy jeździła pociągiem wąskotorowym. Moim rodzicom zawsze się kłaniała. W czasie jazdy czytała książkę albo gazetę. Nigdy nie widziałem jej z mężczyzną. Była bez pary. Z pracy wracała z siatką z zakupami, gazetami i książką. Nie śmiałbym z nią rozmawiać.

Kiedy opuściłem na zawsze okolice *Kwitnącej Jabłoni*, pytałem siostrę, co słyhać u naszych sąsiadów. Na bieżąco przekazywała mi wieści wesołe i smutne. Że zmarli państwo Zarzyccy. Że odszedł Edek, potem Wandzia.

Jesienią 2012 roku umarła pani Krystyna, z którą siostra utrzymywała kontakty sąsiedzkie. Odwiedzała ją, chodziły na spacer, gościły się przy radosnych okazjach. Mój szwagier Jędrus nieraz ją zabierał do szpitala onkologicznego.

Pani Krystyna podczas choroby zmieniła się. Zaczęła rozmawiać. Otworzyła się. Była nie ta sama, co dawniej. Lubiła obdarowywać

moją matkę i siostrę drobnymi prezencikami. Oczywiście, że rewanżowano się, bo na wsi nie do pomyślenia jest, żeby brać, trzeba też dawać.

Po jej śmierci wyszło na jaw, że wszystko zdążyła uporządkować. Wyczyściła konto w banku. Pieniądze podzieliła. Zadbła o remont domu, o kupienie sprzętu. Słowem: saldo na zero, tak jak w pracy, tj. w Urzędzie Skarbowym w Piasecznie.

Siostra mówiła, że była oszczędna. Przeczytane gazety zawsze starannie wiązała sznureczkiem, po nie przyjeżdżali i zabierali na makulaturę. Dowiedziałem się, że cały czas czytała. Że lubiła rozwiązywać krzyżówki. Ponieważ też bywałem szaradziwą, więc mogę zaświadczyć, że nigdy ich nie wysyłała. Nie spotkałem jej imienia i nazwisko wśród wygranych. Aha! Ponieważ drukuję od 1970 roku w polskiej prasie, miałem czasami wrażenie, że pani Krystyna to czytała, ale... nigdy z tym się przede mną nie zdradziła. Co może świadczyć, jaka była nieśmiała.

Taką oto miałem w dzieciństwie sąsiadkę, do której mówiłem nieraz: dzień dobry... A nigdy dobry wieczór. Bo pani Krystyna żyła wedle zasady, że za dnia się chodzi, a w nocy śpi. I przestrzegała dyskrecji. Do końca swojego życia (2012 roku).

Oto jaką miałem sąsiadkę, z którą nie zamieniłem ani jednego zdania, poza grzecznościowym zwrotem.

Jej imię i nazwisko znaleźć można li tylko w rozdziale *Absolwenci* w książce Hanna Wołkiewicz, *Pamiętka kaze pamiętać. Szkic monograficzny z dziejów Szkoły Powszechnej imienia Wojciecha i Anieli małżonków Górskich w Pamiętce w latach 1925–1998* (Wydawca: Regionalny Ośrodek Kultury w Tarczynie na zlecenie Szkoły Podstawowej imienia Wojciecha Górskiego w Pamiętce, Pamiętka kwiecień 1998).

Krystyna Zarzycka. Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 27 maja 2013 roku.

Stanisław Zasada

Od dawna chciałem napisać o tym zacnym obywatelu, ale zawsze coś mi stawało na przeszkodzie, że nie pisałem nawet półsłówka.

Dlaczego?

Ponieważ z panem Zasadą nigdy nie rozmawiałem.

Na samym początku muszę napisać, że był to dziwny nieznanomy. Wyróżniał się dosłownie wszystkim, a więc dystansem i dobrym wychowaniem.

Pan Zasada po wojnie był kierownikiem w PGR w Pawłowicach koło Tarczyna.

Kiedy inni jeździli samochodami, traktorami, ciężarówkami, to on peregrynował po okolicach *Kwitnącej Jabłoni* bryczką (mówili *bitką*) zaprzęzoną w siwego konika.

Oczywiście, że to nie była *biedka*. Lekki powóz miał gumowe koła, resory w kształcie esów floresów oraz lampy, bo nocą też jechał naszą polną długą drogą, czyli *kocimi łbami*. Czterokołowy pojazd z miękkim siedzeniem wyróżniał się na drogach okolicznych wiosek.

Pan Zasada był zawsze elegancko ubrany. Pod krawatem. Na głowie miał furazerkę (czapka bez daszka, tzw. pierożek). Starannie ogolony i wypachniony. W ręku trzymał bat, którego nigdy nie używał. Ale bez bata nie ma woźnicy. Bryczuszka jechała wolno, bo pan kierownik nie straszył bacikiem białej klaczy.

Kiedy szedłem do szkoły w Pamiątce, a przejeżdżał pan Zasada, nie było mowy, żeby nie zatrzymał się. Mówiłem: dzień dobry. Pan Zasada uchylał lekko głowę i ręką wskazywał, żebym usiadł przy nim. I odbywaliśmy podróż przez okolicę objętą sadami i szczerymi polami, mijając łąki i miedze, i rów. W milczeniu, bo pan Zasada nie zadawał, jak inni, kłopotliwych pytań.

Ilekrót matka coś chciała załatwić w PGR, to szła do niego i mówiła bez obwijania w bawełnę, po co przyszła. I zawsze pan Zasada usuwał wszystkie przeszkody, aby nie *wywieść kogoś w pole*. Ludzie lubili naszego uczynnego kierownika. Starsi przypominali, że

przed wojną był we dworze, u dziedzica, ekonomem. (Nie sprawdzałem tego, więc biorę to za prawdę). Nie słyszałem, żeby ktoś się na niego żalił i pomstował – wychwalano go pod niebiosa.

Pan Zasada doglądał pól i łąk. Wiedział dosłownie, co na łąkach skrzeczy, co zagłusza zboże i w trawie brzęczy i piszczy. Dyskretnie pouczał. Na osobności upominał. Nigdy się nie denerwował, choć miał ku temu powody. Dla mieszkańców był plastrem albo miodnym okładem na serce. Oczywiście, że ludzie darzyli go życzliwością, oraz zachowywali dystans, bo on z nikim się nie spoufalał. Miał swój styl i zasady.

Miał poza swoim urokiem kłopoty z ciśnieniem. Nieraz widziałem, jak jego twarz obejmował rumieniec. To był dobrze zbudowany mężczyzna. W butach z chlewami. Wystarczyło, że zszedł z bryczki, a widać było jak na dłoni, że latami strzygł w sobie różne złe maniere. Szedł wyprostowany. Z eleganckim krokiem. Jego ukłon posiadał tyle w sobie dostojeństwa, że nieraz kilka razy mówiłem panu Zasadzie dzień dobry.

Dzierżył w sobie coś, co mnie zachwycało. Był przeciwieństwem okolicznych chłopów. Potrafił dochować wierności czasowi, który został zatrzymany na starych fotografiach. Kiedy inni wystawiali nowoczesność i różne cuda techniki, on poza lampami na bryczce, nic nie unowocześniał. Jeździł bryczką na resorach, którą ciągnęła smukłonoga klacz. Konik bardzo miły. Miałem wrażenie, że boi się tych wszystkich narowistych wałachów, jakie były w naszych stronach. Te konie bez pardonu jeździły po drogach i polach. Szły jakby nic nie było poza ich klapkami. Za to jego klacz miała tyle w sobie tyle wdzięku i gracji, jakby ją wiatr natchnął i uskrzydliła droga. Siwa to był typ sprintera, a nie długodystansowca. Lata rekreacji spowodowały, że poza bryczką, do niczego nie była przywiązana. Zawsze starannie wyczyszczona, z maleńką grzywką, która wchodziła na jej duże zapocone czoło. Okoliczna ludność miała trochę żal, że koń pana Zasady nie pracuje, jak inne konie. Lubiłem patrzeć jak kobyłka stuka podkówkami w ka-

mienie. Zdawało mi się, że z kowadełek drogi wyskakują iskierki szczęścia.

Jesienią przez wieś przeszła wiadomość, że zmarł pan Zasada. Matka bardzo żałowała, ojciec, jak przystało na mężczyznę, przemilczał. Poczułem żal, bo lubiłem jego, choć nigdy z nim nie rozmawiałem.

Na obcym cmentarzu pochowano pana Zasadę. Gdzie? Nie wiem. Z jego mieszkania wywieziono samochodem ciężarowym rzeczy. Wdowa odjechała i słuch po niej zaginął. Takie jest życie. Pozostał biały konik i bryczka.

Na początku powózką jeździli dyrektorzy i kierownicy. Na zimę taradajkę odstawiono do szopy i skazano na niepogody. Wiosną zauważyłem, że została zdewastowana. Stała na placu bez kół, z powybijanymi lampami.

Klacz ekonoma zaprzęgnięto do pary z wałachem i robiono wszystko, żeby zaczęła odpracowywać lata spędzone na okolicznych peregrynacjach pól i łąk. Nieraz widziałem jak pegeerowski chłop nie szczędził bata na jej zadzie. *Uwzięto się* na starą kobyłkę. Zapewne każdy może się domyślić, jaki był jej koniec żywota. Konia pana Zasady zarwano, zaczął chorować. Nie pomógł weterynarz. Kobyłkę wywieziono na mięso dla lisów.

Po panu Zasadzie pozostało (we mnie) ciepłe wspomnienia.

Nieraz sobie myślę o panu Zasadzie, który miał fikuśną bryczkę i białą klacz, oraz bat z czerwoną wstążeczką przeciw wszelkim urokom, które zwykły biesiadować na drogach. Nigdy w życiu nie widziałem, żeby ktoś tak jechał dostojnie, jak pan Stanisław Zasada, kierownik w Państwowym Gospodarstwie Rolniczym Pawłowice, poczta Tarczyn, powiat grójecki, województwo warszawskie.

A jednak... byli ludzie z manierami po 2. wojnie światowej – w czasie pokoju. Na wsi. W gospodarstwach prywatnych i państwowych, na które wieszano tyle psów.

Stanisław Zasada. Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 17 września 2013 roku.

Zbrukowie

Mieszali na stacji kolei wąskotorowej Pawłowice–Kopana k. Tarczyna. A potem się pobudowali w Wylezinie. Byli bezpotomni. A kiedy ktoś mówił Zbruk, to dodawano, że to ci, co nie mają dzieci. Nie słyszałem, żeby ktoś powiedział, jakie nosili imiona. Nie zamieniłem z nimi ani jednego słowa, choć tyle razy się kłaniałem. Siedzieli na ławce. Milczeli. Moja matka czasami zagadała z panią Zbrukową, co nosiła chustę i była taka przygaszona. Jak człowiek, który nie radzi sobie z kłopotami, bo mu wiatr nawiał za dużo nie-szczęścia. Zbruk pracował na kolei wąskotorowej relacji Warszawa-Południowa–Nowe Miasto nad Pilicą. Był robotnikiem. Należał do załogi, która dbała o tory i spały. Nieraz ich widziałem, jak siedzieli na ławce przy stacji. Zbruk palił papierosa bez filtra. Czapka mu zasłaniała oczy. Do nikogo nie zagadał. Jak mruk. Oboje byli zawsze ubrani w szarościach i ciemnych kolorach. Spokojni, jak w przysłowiu: *Cichszy od wody, niższy od trawy*. Po wypłacie pan Zbruk bywał ścichapek. Tak mówił mój ojciec, starszy rzemieślnik obróbki skrawaniem w warsztatach kolejowych w Piasecznie. Kiedy pytałem siostrę, Bożenkę, jak ich zapamiętała, odpowiedziała: *Mirus, to byli spokojni ludzie*.

Przypominam ich, bo przeszli przez życie tak, że nikt Zbruków nie zauważył. Spotkać takie osoby, co wody nie zamącą, to jest rzadkość. Gdybym ich pominął, to byłby skandal. Na miarę dawnego powiatu grójeckiego, który obejmował Tarczyn z wioseczkami, co mają takie sympatyczne nazwy. Jak Kopana, Pawłowice, Pamiętka...

Aleksandra Zrobek (2 V 1901–11 IV 1968, z domu Nojbrandt)

Legenda szkoły podstawowej w Pamiętce koło Tarczyna. Tak można było by napisać o pani Aleksandrze Zrobkowej (z domu Najbrandt), która kilka razy mignęła mi na wielkiej sali na pierwszym piętrze. Drobiła wolniutko. Była na czarno ubrana. W sweterku.

Takie chucherko. Twarz miała pociętą zmarszczkami. Na czubku nosa nosiła rogowe okulary. Pod pachą niosła dziennik. Powiedziałem dzień dobry, a pani Zrobkowa po chwili odpowiedziała i na dłuższą chwilę przystała. To, że się zatrzymała, przydało mi się, bo mogłem, w tym błysku spojrzenia, zatrzymać chwileczkę, co jak flesz. Że w jej źrenicach był rzewny czas, chyba nietutejszy, bo było w nim więcej dali.

Matka uczulała mnie, żebym nauczycielom mówił dzień dobry. O pani Zrobkowej mówiła, że to najstarsza nauczycielka. Poza tym opowiadała, że Niemcy zabili jej męża.

Pani Zrobkowa uczyła języka polskiego moją siostrę, ale nie śmiałem jej pytać o wspomnienia z czasów granatowego fartuszka. Nie śmiałem pytać siostry o wspomnienia. Mógłbym, ale ona nie zwykła o szkole rozmawiać.

Z przejściem o niej opowiada Andrzej Horst, który ma wiele czułości do historii i – co szczególnie cenne – zdrowy rozsądek, który chyba w Pamiętce zaczął rozkwitać. Andrzej jest dla mnie takim *cicerone*, który podrzuca mi różne dokumenty, jakie wyszukał w archiwach, bo to jest taki peregrynujący historyk. Ponieważ nie ruszam się prawie z domu, więc chwalę to sobie, że mam takiego mądrego, starszego kolegę historyka i na dodatek mojego krajana. Ubolewam tylko, że Andrzej zbyt na mnie liczy. Mam wrażenie, że traktuje mnie na kredyt, bo moje pisanie jest bardzo nieudolne. Rozmówca ze mnie też nietęgi, by nie powiedzieć – kiepski. Staram się, jak mogę, i maluczko robię. Ponieważ choruję, więc podejmuję wysiłki, żeby pisać zdrowo.

Na starych zdjęciach widać panią Zrobkową. Siedzi sobie na krzeselku obok Kierownika Szkoły Józefa Chodeckiego, opleciona wianuszkami uczniów. Ci, co siedzą w pierwszym rzędzie, prawie wszyscy już nie żyją i to jest smutne. Przykro, że muszę o tym skrobać, ale ktoś przecież musi zacząć.

Pani Zrobkowa musiała mieć coś takiego niezwykłego skoro ją zapamiętałem, jak zdąża do pokoju nauczycielskiego. Ba! Widzę, jak

idzie z klasy od południowej strony do gabinetu nauczycielskiego. Skosem. Uczniowie czekają przed drzwiami, żeby jej pomóc otworzyć naoliwione drzwi. To znaczyło, że była bardzo słaba. A jednak... do końca życia nie chciała się rozstawać ze szkołą. Może to był sposób, żeby odreagować na traumatyczne przeżycia. Nie słyszałem, żeby ktoś o niej powiedział złe słowo. Wręcz przeciwnie! Chętnie bym jeszcze coś o tej pani napisał, ale więcej nie pamiętam. Jak słowo daję!

Kiedy zapytałem swoją siostrę o panią Zrobkową, to powiedziała, że ją uczyła języka polskiego i paliła w długiej fifce papierosa. *Mirus, miała taką dużą firkę czarną i kopcila papierosy. W tamtych czasach to było wydarzenie. Ja widziałam, jak pani Zrobkowa paliła.*

Zapytałem, czy w pokoju nauczycielskim też.

A siostra na to: *nie wiem, ale jak był Fijałkowski, to kopcili w pokoju nauczycielskim.*

Piszę o tym z dziką satysfakcją, bo lubię puścić sobie dymka i wypić mocną, gorzką kawę. O wódeczce nie wspominam, bo jestem Polakiem i wiadomo, co powinien pić Polak przy różnych okazjach, których nie brakuje. We dnie i w nocy.

Aleksandra Zrobek. Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 20 lutego 2007 roku.

Aleksandra Zrobek

To była najstarsza nauczycielka SZKOŁY Powszechniej Imienia Wojciecha i Anieli Małżonków Górskich w Pamiętce, otwartej od roku 1925. GMACH WYBUDOWANO W R. 1927–8.

Staruszka, zasuszona. O rysach semickich. Wzrok ostry.

Wiedzieliśmy, że jej męża, pierwszego kierownika szkoły, Ryszarda Zrobka zabili Niemcy. Wyobraźcie sobie, jak to było, idzie korytarzem z klasy pani Zrobkowa z papierosem w fifce. Zdąza głównym holem i ćmi, jest lekko nerwowa. Moja siostra mówi, że

tłumaczyła na lekcji, że *to jest proste: zdanie proste i zdanie złożone.*

Idzie i kurczy papierosa.

Mijam ją. Kłaniam się. Patrzę i widzę w jej oczach błysk, i ostre spojrzenie. Ćmi i pędzi nerwowo do pokoju nauczycielskiego.

Moja siostra, kiedy ją pytam, jak zapamiętała panią Zrobkową, odpowiada, że *zapamiętałam jak uczyła nas na lekcji języka polskiego i mówiła: «Zdanie nadrzędne to jest takie zdanie...». Robiła «psi» ustami, jakby chciała pstryknąć palcami, po czym szybko dodawała: «to nie jest trudne».* W taki sposób tłumaczyła to o czym *Słownik języka polskiego PWN* (Warszawa 2006) napisał krótko: „Zdanie n—e «zdanie, któremu podporządkowane jest zdanie podrzędne».

Zapomnieć taką nauczycielkę, nie sposób!

Aleksandra Zrobek (2 VI 1901–IV 1968, z domu Nojbrandt). Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 5 maja 2011.

Na kartce ANNA ANTONI MĄCZAK RADNA 2/4-21 00-34I
WARSZAWA:

Szanowny Panie

Wspomnienie o mojej Matce, zamieszczone w „Gazecie Wyborczej” wywołało oburzenie rodziny i przyjaciół, którzy Ją znali w przeciwieństwie do Pana; zniekształcił Pan nawet Jej nazwisko panińskie. Szkoda, że nie sięgnął Pan do materiałów i zdjęć zachowanych w Szkole w Pamiętce. Dowiedziałby się Pan, że po śmierci męża, kierowała szkołą, że była b. cenionym nauczycielem, o czym świadczą m.in. tłum ludzi żegnających Ją na cmentarzu w Rembertowie, w kwietniu 1968 roku. Nie przypominam sobie Mamy palącej papierosa. Z pewnością jednak w związku z zaawansowaną astmą rzuciła wcześniej palenie. Nie zmarła też jako dziedziciniata staruszka „o ostrym spojrzeniu i rysach semickich”, miała bowiem w chwili śmierci zaledwie 67 lat.

Zastanawia mnie celowość zamieszczenia w gazecie tego typu wspomnienia.

Anna Mączakowa z domu Zrobek

9.04. 2011

Nie odpisałem na list, no bo, co miałem pisać? Że nieraz zaglądałem do książki Hanny Wołkiewicz pt. *Pamiętka każe pamiętać. Szkic monograficzny z dziejów Szkoły Powszechnej imienia Wojciecha i Anieli małżonków Górskich w Pamiętce w latach 1925–1998*. Wydawca: Regionalny Ośrodek Kultury w Tarczynie na zlecenie Szkoły Podstawowej imienia Wojciecha Górskiego w Pamiętce, Pamiętka kwiecień 1998. Na stronie 56 jest rozdział *Aleksandra Zrobkowa (z domu Nojbrandt)*, więc pochylałem się na tym źródłem i nie zawsze było mi rześko.

Aleksandra Zrobkowa

To była zacna nauczycielka języka polskiego w Szkole Podstawowej im. Wojciecha i Anieli Małżonków Górskich w Pamiętce koło Tarczyna. Dziś byśmy powiedzieli: chodząca legenda. Matka opowiadała, że pierwszego kierownika szkoły Ryszarda Zrobka (3 IV 1901–1944) zamordowali Niemcy. Myślałem sobie wtedy, jakie to musieli być łobuzy, skoro tak postąpili z człowiekiem o gołęmbim sercu. Panią Zrobkową mijałem na przerwach. Byłem za młody, żeby mieć z nią lekcje. Pamiętam jej filigranową i kruchą postać. To jej spojrzenie zza grubych szkieł okularów. Surowe, ale z takim wdziękiem i błyskiem. Kłaniałem się najstarszej nauczycielce w Pamiętce. Jak uczeń.

Za to moja siostra Czesława Bożena miała z nią lekcje języka polskiego. Do dziś pamięta, jak pani Zrobkowa się denerwowała, to mówiła: *Zdanie podrzędne...* Zamyślała się, by po chwili dodać, że *trudne nie jest*.

Miała językowy dowcip. Z klasą!

Aleksandra Zrobek (2 V 1901–IV 1968, z domu Nojbrandt). Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 8 stycznia 2015 roku.

Ryszard Zrobek (3 IV 1901–1944)

O Ryszardzie i Aleksandrze Zrobkach jest dość duży passus w książce Hanny Wołkiewicz pt. *Pamiętka każę pamiętać. Szkic monograficzny z dziejów Szkoły Powszechnej imienia Wojciecha i Anieli małżonków Górskich w Pamiętce w latach 1925–1998* (Wydawca: Regionalny Ośrodek Kultury w Tarczynie na zlecenie Szkoły Podstawowej imienia Wojciecha Górskiego w Pamiętce, Pamiętka kwiecień 1998). To był pierwszy kierownik Szkoły Powszechnej im. Anieli i Wojciecha Małżonków Górskich w Pamiętce koło Tarczyna. Urodził się w Gałkowie, powiat Brzeziny, koło Łodzi. W rodzinie chłopskiej. Naukę pobierał w Łodzi. Na Uniwersytecie Warszawskim studiował prawo – naukę przerwał, bo musiał zarabiać na życie.

W 1926 roku podejmuje pracę nauczycielską w Grójcu. Zaczyna studiować na wydziale filozoficzno-humanistycznym. W 1928 r. Wojciech Górski zatrudnia go w świeżo wybudowanej przez siebie szkole w Pamiętce, co należała do Kopanej. W grudniu 1929 r. bierze ślub z Aleksandrą Nojbrandt, nauczycielka języka polskiego. W roku 1940/1941 zostaje aresztowany przez okupanta i wypuszczony. W 1944 roku trafia na Pawiak i ślad po nim ginie. Ostatnią wiadomość pisze na karteczce, która trafia do żony Aleksandry Zrobkowej. Wieść głosi, że został rozstrzelany przez Niemców. O jego działalności konspiracyjnej w Armii Krajowej krążyły opowieści, które wychodziły poza powiat grójecki. Wzbudzały szacunek. Męczeńska śmierć była pieczęcią pamięci. Z wielką estymą o nim mówiono, choć najczęściej znano go tylko ze zdjęć, na których stoi w kapeluszu, z wąsikiem. Z dziećmi (Anną, Piotrem) albo nieopodal pana Wojciecha Górskiego, z siwą bródką. Silny, postawny mężczyzna, jak chłop. Z fasonem. Jeden z tych szlachetnych nauczycieli tajnego nauczania, którzy wiedzieli: *My róbmy swoje, my musimy siać*.

Ryszard Zrobek – kierownik szkoły w Pamiętce. Ze świetną reputacją. Jego odwaga była krystaliczna. I ten chłopski upór, zakoń-

czony społecznym awansem, który został w brutalny sposób przezwany przez łobuzów od historii. Dzielny człowiek.

*Ryszard Zrobek (3 IV 1901–1944). Wspomnienie,
„Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 16 maja 2019 roku.*

Władysław i Stanisław Zykubkowie

W latach 70. XX wieku pojawili się w Kopanie koło Tarczyna Władysław i Stanisław Zykubkowie. Pan Stanisław – były dyrektor PGR w Drozdach k. Tarczyna oraz myśliwy. Jego małżonka Władysława uczyła w szkole podstawowej w Tarczynie. Mieli dwóch synów – Stanisława i Władysława. Upatrzyli sobie dom po prawej stronie drogi, która prowadziła od stacji do szosy krakowskiej (E 7). Z widokiem na *Pałac*. Teren zwany okolicie *Kwitnącej Jabłoni*.

Pan Zykubek podpierał się elegancką laseczką, chodził niespiesznie. Miał wąsik oraz włosy starannie zaczesane z przedziałkiem. W południe szedł do sklepu. Obserwował. Rozdawał ukłony. Był uprzejmy do świata i ludzi. Nikt by nie pomyślał, że to był zapalony myśliwy, wyborowy strzelec.

Dzieci przychodziły na jego podwórko. Pan Stanisław miał zawsze w kieszeni cukierki, które rozdawał na lewo i prawo. Starsi chłopcy schodzili, żeby narąbać drewna na podpałkę albo wykonać inne prace na działce. Stał i uczulał wyrostków, aby się nie spieszyli, bo zawsze jest jutro. Chłopcy zanosili szczapy do drewni i otrzymywali symboliczną złotówkę. I byli onieśmieleni, ale starszy pan uważał, że w życiu wszystko jest płatne.

Pod jesień pan Zykubek zaprosił mojego ojca. Okazało się, że pan Stanisław chciał, żeby tata wykonał schody i przy okazji dokonał drobnego przeglądu konserwatorskiego. Ojciec uwinął się z robotą, a nie odkładał na tzw. ruski miesiąc. Za fuchę otrzymał stosowne wynagrodzenie i garść pochwał. Oczywiście że na te przechwałki machnął ręką, bo rzemieślnicy w owych czasach robili, co do nich należało i nie zaprzęтали sobie głowy komplementami.

Pan Zykubek radził się mojego ojca we wszystkim. Potem poprosił, żeby tata kupował mu warszawską popołudniówkę „Express Wieczorny”. Więc od poniedziałku do soboty przychodził do nas, jak do kiosku, po gazetę. Dzięki temu mogliśmy za darmo przeczytać trochę wiadomości, dobrze przefiltrowanych przez cenzurę, wilgotnych od plotek. Resztę ojciec uzupełnił wieczorem przy radioodbiorniku („Wolna Europa”, „Głos Ameryki”). Musiałem szybko się uwijać, żeby zdążyć, bo nasz starszy sąsiad też się spieszył. Jak emeryt. Brałem gazetę do pokoju i nad czystym obrusem rozkładałem, żeby nie poplamić szpalt. Szybciućko omiatałem kolumny, pędziłem od pierwszej do ostatniej strony, jak express. Po lektorowaniu, składałem gazetę i oddawałem tacie, który mówił, że zaraz zjawi się *po ekspresiaka Zykubek*.

Zimą pan Zykubek narzekał na astmę. Kaszał. Wyjmował chustę i wycierał łzy, które odrywały się od oczu, jak przysłowiowe groszki. Drzewa i krzewy zasłoniły dom państwa Zykubków. Wierzba tak się rozrosła, że przerosła dach. Pan Stanisław nieraz pokazywał mi swoje trofea pokotu, które wisiały na ścianach. Poroża z białymi czaszkami były jedynym komentarzem do pasji. Z regału wyjmował opaste tomy i wskazywał palcem passusy, w których odnotowano zdobycze, medale i dyplomy.

Był pierwszym medalistą, jakiego spotkałem w życiu. W 1947 roku wstąpił do Koła Łowieckiego „Srebrny Lis” w Tarczynie. (Grzegorz Filipiak pisał, że *Przypuszczalnie nazwa koła wywodzi się od srebrnych lisów, które zbiegły podczas wyzwolenia kraju z hodowli w Książowoli i spotykane były na wolności w okolicach Tarczyna*).

Z panią Zykubkową częściej rozmawiałem, bo zwykła siedzieć obok biblioteki. Była kiedyś kierowniczką szkoły powszechnej. Wystarczyło popatrzeć i posłuchać, żeby się przekonać, że wychowanie i dydaktyka to jej pasja. Nieraz przychodziłem do niej, bo miała w zbiorach małą encyklopedię i słowniki języka polskiego. Starsza pani zachęcała mnie do udziału w różnych konkursach, jakie ogłaszała telewizja, radio i prasa. Kiedy zostałem laureatem konkursu

„Z bratkiem”, to pierwsza mi pogratulowała. Pani Zykubkowa na maleńkim stoliku układała pasjansa. I zerkała w rozkład kart. O pasji wróżbiarskiej dowiedziałem się od siostry, która nieraz ją widziała, jak pochyla się nad talią kart.

Państwo Zykubkowie mieli telewizor, więc mogłem oglądać programy (czarno-białe) adresowane do dzieci. Z panem Stanisławem maluczko rozmawiałem, tj. tyle, ile trzeba. Miałem wrażenie, że hołubi zdrowych i silnych chłopców, a nie wybrakowanych, jak ja.

W tym, co piszę, pomykam się, tj. przysuwam i zbliżam, i oddalam. Najpierw bardzo szybko, puszczam się naprzód, pędzę, pognam jak się da. Po Mickiewiczowsku rzecz biorąc – jak w *Panu Tadeuszu*, Księga druga, Zamek: *Tak dzieje się z rozmowa: z wolna się pomyka, / Aż trafi na przedmiot wielki, jak na dzika.*

Kiedy już wszystko wokół domu było wymuskane, pan Zykubek poinformował moich rodziców, że wyprowadza się do syna na stare lata. Dom i działkę sprzedał. Zamieszkał pod Radomiem w miejscowości Przytyk. O tym wiem dzięki p. Jolancie Sas z Kopanej, która zasięgnęła języka u pana Grzegorza Filipiaka z Rembertowa, z Koła Łowieckiego „Srebrny Lis”. Informuję, bo już za dużo jest tych zartanych śladów.

Mijały noce i dni.

I nagle, wiosną, na naszej uliczce pojawił się pan Zykubek. Rodzice wyszli na podwórze. Starszy sąsiad w telegraficznym skrócie opowiedział, że mieszka w Radomiu i nie narzeka. Że ma telefon i blisko do lekarzy-specjalistów. Rodzice wysłuchali i byli niepokieszeni, że nie chciał wdepnąć na ciasto i herbatę, jak to bywa w zwyczajach na wiosieczce polskiej.

Mijały kolejne lata.

Na styku wiosny i lata sąsiad przyniósł kartkę zgiętą na pół, adresowaną do mojego ojca. Tata wziął powiastkę i zaczął na głos czytać jego list z maja 1974 roku, gdzie m.in. rzucił na papier:

(...) Moi państwo, napiszcie bodaj list do mnie, bo bardzo ciekawy jestem co tam w Kopanej nowego, czy córa ukończyła szkołę i synowie też?

Co tam słychać u moim gospodarzu któremu sprzedałem dom, czy drzewa mu rodzą i czy nie wymarzęły?

Jak wasze zdrowie?

Nie piszę na razie więcej, bo nie jestem pewny, czy list dojdzie, ponieważ brak jest mi, a ja nie wiem symbolu waszego, to znaczy tych cyfr na adresie.

Kreślę się Stanisław Zykubek

P.S. Co słychać u pp. Grzeszkiewiczów?

Ojciec nie udzielił odpowiedzi.

Liścik wziąłem i schowałem na wieczną pamiątkę. Okrajek zapisanego papieru leży w moich szpargałach. Bez niebieskiej koperty.

Jedni zapalają świeczki ku pamięci i się modlą, ja piszę wspomnienia, czyli brodzę *w świetle druku* i papier zaczerniam, w granicach wspomnienia – pożegnania.

Śmierć zaciera ślady, które zostawili ci, co byli i odeszli tam, gdzie nie ma zegarów.

Postowie

W spisie treści zamieściłem teksty opublikowane (podaję dane bibliograficzne pod utworem) oraz te, które nie przeszły przez sito redakcyjne. Pisałem je do „Gazety Wyborczej Stołecznej”, na kolumnę funeralnych wspomnień (nekrologi, małe formy literacko-dziennikarskie). Ukazało się 259 odcinków. Oczywiście, że za żaden z nich nie otrzymałem honorarium. Do druku wybrałem tylko te, które dotyczą bezpośrednio lub pośrednio okolic *Kwitnącej Jabłoni*. Z okolicznych wioszek, PGR-ów, z Grójca, Piaseczna a nawet Warszawy. Ludzi zwyczajnych, biednych i fortunatów, i takich, którzy robili kłopoty.

Tekst publikuję wedle zasady: imię, nazwisko, data urodzenia i śmierci. Po kropce dodaję Wspomnienie/Pożegnanie. Czynię tak nie dlatego, że mam taką manierę, ale dla jasności. Kropka jest zamknięciem, które spowodowało, że otworzyły się formy wypowiedzi o tych, co odeszli.

Czasami rozpisuję się albo streszczam; w poetyce felietonu są też noty. Zdaniem się nie obejmie tego, co mamy na myśli oraz w wyobraźni, ale trzeba próbować fragmentem. To nie jest *ganc egal* czy *ganc pomada* (wszystko jedno).

Jest to fragment większej całości o krajanach, z fraszkami i fraszunkami, a nawet frazesami. (Kiedy coś robisz na swoich warunkach, obce jest frycowe – gapowego nie płacisz, żeby się wkupić. Nie musisz skrewić).

Jeżeli ktoś pała większą ciekawością, to musi podjąć kwerendę, tj. zacząć od nekropolii, gdzie są początki rozmyślań o tych, co pod darń się *zaszyli węzłem śmiertelnym*.

Do ziomków mam dług wdzięczności, który oddaję po kawałku. We wspomnieniach i pożegnaniach.

Piszę ku pamięci, bo nie ma przykazania *nie umieraj!*

Skrobię, żeby powiedzieć spójrzcie – oto nasza ziemia: pola, sady, domy z podwórkami i drogi asfaltowe, pod którymi zaszyto ścieżki i drogi z *kocimi łbami*, oraz lasy i strumyki, co płynęły z wolna

i oczka stawów. Chciałbym, żeby ktoś, kto przejeżdża przez Kopanę, zwolnił albo się zatrzymał i spojrzął. Żeby sprawdzić, czy na pewno tak jest jak opisuję. Pomny tego, że Adam Mickiewicz w *Panu Tadeuszu* pisał tyle o pastewnych rzeczach, zrozumiałem, że za mało mam czasu, żeby się bać. Że pisanie to rzecz wtórna do mowy (języka mówionego), która ulega poprawkom i zmianom. Wiersz jest niedojrzałością, zaś proza bywa jak pożegnanie/wspomnienie z dzieciństwa. Dalekie jest mi łapanie ryb w mętnej wodzie. Jeżeli już to wolę – metaforycznie rzecz ujmując – iść w kierunku źródła.

Adam Mickiewicz (1798–1855) nie pisze wprost o Zaosiu czy Nowogródku, łączy to w jedno *Soplicowo*. Tworzy litewskie centrum polszczyzny. Ja zaś na odwyrtkę robię. Nie jestem taki odważny i mądry, i nie znam, jak swojej kieszeni, okolic *Kwitnącej Jabłoni*, więc próbuję ocalić fragment z całości. Ponieważ uprawiam małe formy literackie, więc muszę wybierać i streszczać, i przebierać owoce – raczej nie naginam gałęzi. To jest literatura, która karmi się pospolitością, co mocno stąpa po ziemi.

Człowieka ciągnie tam, gdzie się urodził, nawet gdy są poprzerwane nici pamięci. Rozmyśla o tym, gdzie padło na niego pierwsze światło i się zachłysnął powietrzem, oraz dostał pierwszego klapsa od akuszerki. Miejsce, gdzie nawrzeszczał i pokazał światu rozdartą buzię, i język. Dobrze mieć takie umiejscowienie, które się strzeże jak źrenic i pod powiekami się nosi, i wyciera łzami. Dzięki temu światło nie wyżera nam oczu.

Dla swoich byłem zdefigurowany, jak drzewiej pisali, o tych, co byli zeszpeceni. Należałem do tych osób, które były ukrywane i zamykane przed światem, żeby tylko nie rzucali się w oczy. Nie było jak pozdrowienie okulisty (do zobaczenia) czy laryngologa (do usłyszenia).

Zajmuje mnie kultura chłopska z całym dobrodziejstwem, ze światłem, blaskiem, cieniem, ciemnością. Z przesadami, baśniami, przerażeniem oraz strachami; spokojem oraz lamentem. Nie zadziwia mnie chłop, który wie swoje, o sobie najpierw myśli – rozumie,

że musi na siebie liczyć albo iść do sąsiadów, ale to już ostateczność. Staram się zachować to, co zwie się zdrowym rozsądkiem. Moje sady są pełne kwiatów i owoców. Poza nimi są lasy, łąki, nieużytki etc. Kultura agrarna, z lekkim wzorem urbanizacji, ale bez zazdrości, nie na podobieństwo miasta, choć z przedmieściem.

Obcowałem z tymi, co uprawiali sztukę stosowną. Cyprian Kamil Norwid (1821–1883) pisał o świecie niepisanim i nieliterackim (*Czarne kwiaty*, 1856), zaś w *Białych kwiatach* notował o miejscu urodzenia *w zagrodzie bezpoetycznej (...) w Mazowszu; równej jak piaski ziemi*. Leopold Staff w wierszu *Ziemia dziewicza* pogodził epikureizm ze stoicyzmem, pisząc, że *Człowiek raną życia, śmierć zgojoną bliźną*.

I jeszcze jedna dygresja. Wajdelota, ze szkolnej lektury, uczulał słuchaczy, że *Pieśń ujdzie cało*. Po dłuższej chwili dodawał, że trzeba *Karmić ją żalem i poić nadzieją, (...)*. W prozie i poezji już tak się nie da, ponieważ wymagają powtórzeń i objaśnień. Z wiekiem mam wrażenie, że *Często przeszłości głosu nie słyszę*. Że w zapomnienie odeszła ludu *myśli przędza i uczuć kwiaty*. Idę za radą Autora *Pana Tadeusza*, choć nie roszczę sobie tego, żeby *na nowo zagrzewać*. To, co skreślał/wystukuję na komputerze, jest raczej w ramach przypomnienia wieści gminnej, co *Między dawnymi i młodymi laty*; (Adam Mickiewicz, *Konrad Wallenrod*).

Są słowa jak ziarna, które dojrzewają, jak myśl, w zdaniu. W otwartej formie kłosa, więc musimy czekać żniw – wymiatając plewy i kąkol. Świat ma wiele melodii, w których początki i koniec. Nie wiadomo, czyje to jest dzieło. Nie mam takiego słuchu poetyckiego jak Emily Dickinson (1830–1886), która odbierała sygnały jak ziemia *elegię (...)* *zaśpiewać każę świerszczowi* (1775, przekład Tadeusz Sławek).

Tylko poezja gładzi szorstkość świata, więc zamiast pointy, przytoczę wierszyk z tomiku *Małe i duże wiersze* (Gminny Ośrodek Kultury, Tarczyn 2016):

*Jestem ten sam, co furmanką przyjechał do
Kopanej, z woźnicą, co trzyma lejce i bat, żeby
parę koni zaciąć, bo czas nagli. Jeszcze zdążyłem...*

*A potem wsiałem do ciuchci i odjechałem.
W Piasecznie się przesiadłem na pociąg z szerokich
torów, co był pod prądem. Jeszcze zdążyłem...*

*Peregrynowałem rzemiennym dyszlem.
Nieraz byłem na wozie i pod wozem.
Z jednym słowem – chciałyby. Jeszcze zdążyłem...*

Uwaga końcowa

Po złożeniu książki opublikowano:

*Zofia i Szczepan Grzondkowsy. Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza
Stołeczna” z 5 marca 2020 roku.*

Ponieważ praca była już zakończona i przygotowana do drukarni, więc nie nanoszono danych pod tekstem, bo tego rodzaju zabieg wymagałby ustawienia treści na nowo.

Bibliografia alfabetów, jakie wydałem własnym sumptem*

- Drugi alfabet*, Warszawa-Ursynów 1997.
- Alfabet w wielkanocnym nastroju*, Warszawa-Ursynów 2003.
- Alfabet między życiem a śmiercią*, Warszawa-Ursynów 2004.
- Alfabet warszawski (bardzo subiektywny)*, Warszawa-Ursynów 2004.
- Alfabet na Pamiątkę*, Warszawa-Ursynów 2005.
- Alfabet na jajku pisany*, Warszawa-Ursynów 2005.
- Alfabet wokół ronda ONZ*, Warszawa-Ursynów –Mirów 2005.
- Alfabet o choince*, Warszawa-Ursynów 2005.
- Alfabet o Wacławie z Białolasu*, Warszawa-Ursynów 2006.
- Alfabet z pamięci. Kiedy myślę Zduńska Wola, to...*, Warszawa-Ursynów 2007.
- Alfabet o ciuchci (peregrynacje sentymentalne)*, Warszawa-Ursynów 2007.
- Alfabet śliwkowy*, Warszawa-Ursynów 2009.
- Alfabet bananowy. Z cyklu: Wielka księga o sadach, owocach i pestkach*, Warszawa-Ursynów 2009.
- Alfabet pestkowy. Z cyklu: Wielka księga o sadach, owocach i pestkach*, Warszawa-Ursynów 2009.
- Alfabet z Ochotą pisany*, Warszawa-Ursynów 2010.
- Alfabet malinowy. Z cyklu: Wielka księga o sadach, owocach i pestkach*, Warszawa-Ursynów 2010.
- Dosyp słów, czyli alfabet z subiektywnym objaśnieniem*, Warszawa-Ursynów 2010.
- Alfabet mikołajkowy*, Warszawa-Ursynów 2010.
- Alfabet truskawkowy. Z cyklu: Wielka księga o sadach, owocach i pestkach*, Warszawa-Ursynów 2011.

Alfabet poziomkowy. Z cyklu: Wielka księga o sadach, owocach i pestkach, Warszawa-Ursynów 2011.

Łódzkim sznytem, Warszawa-Ursynów 2013.

Alfabet z Główna wzięty, Warszawa-Ursynów – Główno 2013.

Glosariusz wleński. Alfabet z listów i kartek od Michała Fludra, pod redakcją Czesława Mirosława Szczepaniaka, Warszawa-Ursynów – Wleń 2014.

Alfabet bez szkolnej wymówki, Warszawa-Ursynów 2015.

- * Druki zwarte są wśród wolumenów Biblioteki Uniwersyteckiej (ul. Dobra 56/66, 00-312 Warszawa).
- Dlaczego nie ma w księżnicy narodowej?
Odpowiem dłuższą notą.
- Biblioteka Narodowa (al. Niepodległości 213) została wzniesiona tylko dlatego, że stara siedziba przy ul. Hankiewicza 1 (obecnie Archiwum Akt Nowych) pękała w stropach, ścianach i na suficie. Na polach Mokotowskich wygospodarowana teren i pobudowano za społeczne pieniądze okazały gmach. Mauzoleum. Taki był ówczesny trend w urbanistyce. Czyli bzik na punkcie Wschodu. Dziś jest w drugą stronę. Biblioteka miała być tym skarbcem kultury i sztuki Polski. Nie będę pisał – arką, bo to byłoby nadużyciem tego słowa. Do tego skarbczyka nieraz wysyłałem różne okolicznościowe druczki, bo nigdy nie wiadomo, czy *późny wnuk* albo wnuczka ich nie wykorzysta. Słałem gratisowe egzemplarze książek i czasopism, jakie mi podsyłano. Zwykle nie podawałem adresu zwrotnego, bo peszą mnie wszelkiego rodzaju podziękowania. Wystarczy, że robiłem to całkiem bezinteresownie. Chciałem mieć w miarę czyste sumienie, że te niby drobiazgi ubogacą zbiory. I trwało to latami. Ponieważ sztuka poligrafii bardzo się ostatnimi czasy rozwinęła, więc co rusz miałem pretekst do przesyłki. W 2003 roku otrzymałem zwrot daru z listem pouczającym.
- Expressis verbis:

Biblioteka Narodowa
Zakład Uzupelniania Zbiorów Sekcja Wymiany i Darów
Nr I – I – 13/03
Warszawa, dn. 27.01.2003 r.

Szanowny Pan
Czesław Mirosław Szczepaniak
ul. Marii Grzegorzewskiej
02-777 Warszawa-Ursynów

Szanowny Panie!

Biblioteka Narodowa z przykrością zwraca 1 egzemplarz publikacji Pana autorstwa pt. : „WTRETY”, ponieważ jest to odbitka kserograficzna, a tego typu materiałów nie gromadzimy. Przyjmujemy tę pracę z radością, jeżeli zostanie wydrukowana. Z wyrazami szacunku

Kierownik Zakładu Uzupelniania Zbiorów Biblioteki Narodowej
/podpis/

Oniemiałem i poczułem się jak barbarzyńca.

Dlaczego?

Ponieważ kserokopia też jest dokumentem, więc Biblioteka Narodowa mogłaby je dołączyć do swoich woluminów. Łacińska sentencja poucza: *słowa ulatują, to co zostało napisane, pozostaje (verba volant, scripta manent)*.

Pora na pointę.

Dobry początek trzyma koniec, więc dobro musi być sprytne, bo inaczej zło go drapnie.

John Barclay (1582–1621) w powieści alegorycznej *Argenis*, przetłumaczonej przez Wacława Potockiego, Warszawa 1697 roku, napisał ku pamięci:

*Próżna ufność w marmurze, próżna i w żelazie,
To trwa do skonu świata, co na papier wlezie.*

